

CLIVE STAPLES LEWIS

PERELANDRA

Tytuł oryginału: Perelandra

Przełożył: Andrzej Polkowski

Data wydania polskiego: 1990

Data wydania oryginalnego: 1943

TMN

1

Kiedy opuszczałem dworzec w Worcester, rozpoczynając pieszą wędrówkę do wiejskiego domu Ransoma, przyszło mi na myśl, że na peronie nikt nie byłby w stanie odgadnąć, kim naprawdę jest człowiek, którego miałem odwiedzić. Mieszkał w osadzie leżącej jakieś pięć mil na północ od stacji. Rozciągające się przede mną płaskie wrzosowiska nie wyróżniały się niczym szczególnym, a pochmurne niebo wyglądało tak, jak powinno wyglądać niebo w zwykłe jesienne popołudnie. Trudno też było doszukać się czegoś niezwykłego w nielicznych wiejskich domach lub w kępach drzew okrytych czerwonymi i żółtymi liśćmi. Kto mógłby się domyślić, że po przejściu paru mil przez tę spokojną, typowo angielską okolicę uścisnę rękę człowiekowi, który przebywał, jadł i pił w świecie oddalonym o czterdzieści milionów mil od Londynu, który widział Ziemię jako zielonawy punkcik jarzący się na czarnym niebie, który rozmawiał z istotą zrodzoną w czasach, gdy na naszej planecie nie było jeszcze życia?

Przebywając na Marsie Ransom spotkał bowiem nie tylko Marsjan. Spotkał tam istoty zwane eldilami, a przede wszystkim wielkiego eldila, który rządzi tą planetą i w tamtejszym języku nazywany jest Ojarsą Malakandry. Eldile różnią się znacznie od wszystkich innych mieszkańców planet - ludzi czy Marsjan. Nie odżywiają się, nie rozmnażają, nie oddychają, nie umierają ze starości; pod tym względem bardziej przypominają myślące minerały niż coś, co można uznać za organizmy zwierzęce. Choć pojawiają się na planetach, a nawet - w naszym odczuciu - niekiedy na nich mieszkają, to dokładne określenie, gdzie się eldil znajduje w danym momencie, nie jest sprawą łatwą. One same za swoje prawdziwe środowisko uważają przestrzeń kosmiczną (czyli Głębiny

Niebios), a planety nie są dla nich zamkniętymi światami, lecz jedynie ruchomymi punktami - a może nawet lukami - w tym, co my nazywamy Układem Słonecznym, a one - Polem Arbola.

Bezpośrednim powodem odwiedzin u Ransoma był jego telegram:

„PRZYJEDŹ WTOREK JEŚLI MOŻLIWE STOP WAŻNE SPRAWY”.

Domyślałem się, o jakie sprawy chodzi, i chociaż wciąż sobie powtarzałem, że wieczór spędzony na rozmowie z Ransomem będzie wspaniałym przeżyciem, dręczyło mnie poczucie, że nie cieszę się z tego tak, jak powinienem. Prawdę mówiąc, źródłem mojego niepokoju były właśnie eldile. Zdołałem już pogodzić się z faktem, że Ransom był na Marsie, ale spotkania z eldilami, rozmowy z istotami w naszym pojęciu nieśmiertelnymi - tu już zaczynały się pewne problemy. Już sama podróż na Marsa wystarczała, by czuć się trochę nieswojo w jego towarzystwie. Człowiek, który przebywał w innym świecie, nie może z niego wrócić nie odmieniony, choć trudno tę odmianę ująć w słowa. Kiedy tym człowiekiem jest przyjaciel, odczuwa się ją wyjątkowo dotkliwie: trudno o zachowanie dawnej zażyłości. Ale o wiele przykrzejsze było narastające we mnie przekonanie, że mimo jego powrotu na Ziemię, eldile wcale nie zostawiły go w spokoju. Pewne drobne szczegóły w tym, co mówił, osobliwy sposób patrzenia na świat, przypadkowe aluzje, z których się nieporadnie wycofywał, wszystko to skłaniało do przypuszczenia, że nadal przebywa w dość dziwnym towarzystwie, że jego wiejski dom odwiedzają... no, powiedzmy, „goście”...

Maszerując pustą, nie ogrodzoną drogą biegnącą przez podmiejskie błonia Worchesteru, próbowałem pokonać narastające złe samopoczucie przez analizę jego źródeł. Czego właściwie się lękam? Ale natychmiast pożałowałem tego pytania, gdy uświadomiłem sobie, że zupełnie niespodziewanie użyłem słowa „lęk”. Do tego momentu wmawiałem w siebie, że czuję tylko niechęć, zakłopotanie, może nawet coś w rodzaju znudzenia. Ale słowo „lęk” wyszło samo, jak przysłowiowe szydło z worka. Nie mogłem już dłużej ukrywać przed sobą, że to, co czuję, to ni mniej, ni więcej, tylko po prostu lęk. Lęk przed czym? Odpowiedź nie była trudna. Bałem się dwóch rzeczy: tego, że wcześniej czy później sam mogę spotkać eldila, oraz tego, że zostanę w coś „wciągnięty”. Sądzę, że każdy zna takie uczucie: moment, w którym człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę, że to, co wydawało mu się do tej pory rozważaniem czysto teoretycznym, zaprowadziło go w końcu do drzwi, dajmy na to, partii komunistycznej lub jakiegoś Kościoła; poczucie, że za chwilę te drzwi się zatrzasną i nie będzie

już odwrotu. Ostatecznie cała ta sprawa była skutkiem nieszczęśliwego zrzędzenia losu. Sam Ransom został uprowadzony na Marsa (czyli na Malakandrę) wbrew swojej woli, właściwie przypadkowo, ja również zostałem wplątany w jego przygodę przez przypadek. I oto obaj byliśmy coraz głębiej wciągani w sprawy, dla których najwłaściwszym określeniem byłoby chyba pojęcie polityki międzyplanetarnej.

Jeśli chodzi o moją głęboką niechęć do spotkania z jakimś eldilem, to nie jestem pewien, czy zdołam to wytłumaczyć. Było w tym coś więcej niż płynąca z ostrożności chęć uniknięcia kontaktu z przedstawicielem obcego rodzaju - całkiem odmiennego, a jednocześnie obdarzonego niezwykłą mocą i inteligencją. Prawdę mówiąc, wszystko, co usłyszałem o eldilach, prowadziło do łączenia dwóch spraw, które umysł ludzki zwykle rozdziela. Trudno się dziwić, że to połączenie dawało w efekcie coś w rodzaju szoku. Jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia o pozaziemskich inteligencjach w dwu kategoriach: jedną można nazwać „naukową”, drugą - „nadprzyrodzoną”. Zupełnie inaczej myśli się o stworzonych przez wyobraźnię pana Wellsa Marsjanach (notabene wcale nie przypominających prawdziwych Malakandryjczyków) czy Selenitach, a zupełnie inaczej o aniołach, duchach, elfach i tym podobnych istotach. To dwa zupełnie różne światy wyobraźni. Ale gdy tylko zmuszeni jesteśmy uznać istotę należącą do jednej lub drugiej kategorii za *realną*, rozróżnienie to zaczyna się zacierać, a w wypadku eldila wydaje się zanikać zupełnie. Z jednej strony, nie ma on organizmu typu zwierzęcego i pod tym względem trzeba go raczej zaliczyć do drugiej kategorii, z drugiej - jego inteligencja dysponuje pewnego rodzaju nośnikiem materialnym, który (w zasadzie) można poddać naukowej weryfikacji, co skłaniałoby do umieszczenia go w kategorii pierwszej. W ten sposób granica między tym, co „przyrodzone” a „nadprzyrodzone”, pęka i dopiero wówczas docenia się całe dobrodziejstwo tego tradycyjnego podziału. Jak bardzo pomaga on człowiekowi znieść ową niesamowitą obcość wszechświata przez podzielenie go na dwie części, o których umysł ludzki nigdy nie myśli w tym samym kontekście! Jaką cenę płacimy za to dobrodziejstwo (myślę tu przede wszystkim o złudnym poczuciu bezpieczeństwa i zaakceptowanym przez wszystkich zafałszowaniu obrazu świata), to już inna sprawa.

„Cóż to za ponura i długa droga!”, pomyślałem. „Dzięki Bogu, nie mam żadnego bagażu.” I wówczas nagle zdałem sobie sprawę, że przecież powinienem nieść torbę z drobiazgami niezbędnymi podczas noclegu w obcym domu. Zakląłem cicho. Musiałem ją zostawić w pociągu. Czy

uwierzycie, że w pierwszym odruchu chciałem wrócić na stację, by „coś z tym zrobić”? Oczywiście nie miało to sensu, na stacji mogłem załatwić tyle samo, co przez telefon od Ransom. W tym czasie pociąg z bagażem musiał już być wiele mil od Worchesteru.

Teraz jest to dla mnie równie jasne jak dla was. Ale wtedy wydawało mi się oczywiste, że muszę natychmiast zawrócić. Prawdę mówiąc, zrobiłem nawet kilka kroków z powrotem, zanim rozsądek, a może i sumienie doszły do głosu i nakazały mi znowu podjęcie marszu naprzód. Ale wiedziałem już o wiele wyraźniej niż przedtem, że w istocie wcale nie mam ochoty na dojście do celu mojej podróży. Prawdę mówiąc, coś mnie od tego formalnie powstrzymywało. Szedłem z takim trudem, jakbym pokonywał wicherę wiejącą mi w twarz. W rzeczywistości był cichy, spokojny wieczór: ani jedna gałązka nie zadrżała na drzewach, nad ziemią zaczynała się gromadzić lekka mgła.

Im dalej szedłem, tym trudniej było mi myśleć o czymkolwiek innym niż eldile. Co właściwie Ransom o nich wiedział? Według jego słów te eldile, które spotkał na Marsie, nie odwiedzały zwykle naszej planety, a w każdym razie zaczęły ją odwiedzać dopiero po jego powrocie na Ziemię. Mówił, że mamy własne, ziemskie eldile, zasadniczo różniące się od tamtych i zdecydowanie wrogie człowiekowi. Właśnie dlatego nie było łączności między naszym światem a innymi planetami. Według Ransom Ziemia znajduje się jakby w stanie oblężenia, jest faktycznie terenem okupowanym przez nieprzyjaciela, czyli przez ziemskie eldile, prowadzące wojnę zarówno z nami, ludźmi, jak i z „kosmicznymi” eldilami z Głębin Niebios. Podobnie jak bakterie w skali mikroskopijnej, tak owe niewidzialne, szkodliwe istoty w skali makroskopowej przenikają całe nasze życie. To one są prawdziwą przyczyną owego fatalnego skrzywienia ludzkiej rasy, o którym dowiadujemy się studiując historię. Jeśli to wszystko prawda, to oczywiście należałoby się cieszyć, że owe lepsze eldile przełamały w końcu barierę (jest nią podobno orbita Księżyca), oddzielającą Ziemię od reszty Układu Słonecznego, i zaczęły nas odwiedzać. Tak, to rozsądny wniosek - oczywiście pod warunkiem, że informacje, jakimi dysponował Ransom, są wiarygodne.

Bo w tym momencie przyszła mi do głowy niezbyt przyjemna myśl. A jeśli Ransom padł ofiarą sprytnego oszustwa? Przecież gdyby jakieś istoty z kosmosu chciały dokonać inwazji naszej planety, to nie mogłyby stworzyć lepszej zasłony dymnej niż cała ta opowieść o dobrych i złych eldilach. Ostatecznie, czy mamy choćby najmniejszy dowód na istnienie

owych rzekomych złych eldilów na Ziemi? A jeśli mój przyjaciel - nie zdając sobie z tego sprawy - jest czymś w rodzaju konia trojańskiego przygotowującego lądowanie najeźdźców?

Znowu poczułem przemożną chęć powrotu na stację, jak wówczas, gdy odkryłem brak torby. Wracaj, wracaj - szeptało coś we mnie - wracaj i wyślij mu telegram, że jesteś chory, że przyjedziesz kiedy indziej, cokolwiek! Byłem zaskoczony siłą tego impulsu. Zatrzymałem się, powtarzając sobie w duchu: „Nie bądź głupcem”, a kiedy po kilkunastu sekundach ponownie ruszyłem naprzód, przyszło mi do głowy, że znajduję się u progu załamania nerwowego. Natychmiast dostrzegłem jeszcze jeden argument przemawiający za powrotem do domu. Przecież w tym stanie nie mogę się zajmować „niezwykle ważnymi sprawami”, jakie zapowiadał telegram Ransoma. W takim stanie nie powinienem opuszczać domu nawet na najzwyklejszy weekend! Jedyne rozsądne wyjście to natychmiastowe przerwanie marszu i bezpieczny powrót do domu, zanim utracę pamięć lub dostanę napadu hysterii. Muszę jak najszybciej poradzić się lekarza. Dalsza wędrówka to czyste szaleństwo!

Wrzosowe błonia już się kończyły. Droga opadała teraz po zboczu niewielkiego wzgórza. Po lewej stronie rósł zagajnik, po prawej dostrzegłem opuszczone budynki fabryczne. W dole gęstniała wieczorna mgła.

Najpierw mówi się zwykle, że to kryzys nerwowy... Ale czy symptomem jednej z chorób umysłowych nie jest właśnie złudzenie, że zwykłe przedmioty wydają się nieznośnie złowrogie?... Tak jak ta opuszczona fabryczka... Wielkie, bulwiaste kształty z betonu, dziwaczne ceglane widma, spoglądały na mnie groźnie poprzez pas suchej, marnej trawy popstrzonej tu i ówdzie kałużami i poprzecinanej resztkami kolejki wąskotorowej. Przypomniały mi się dziwy, jakie Ransom widział w innym świecie. Tyle że były to żywe istoty: długie, pająkowate olbrzymy, które nazywa sornami. I twierdzi, że są to istoty dobre, mało tego: o wiele lepsze od ludzi... Ależ to jasne! Ransom jest z nimi w zмовie. Skąd mi właściwie przyszło do głowy, że jest tylko nieświadomą ofiarą podstępny? A jeśli jest o wiele gorzej, jeśli... i znowu się zatrzymałem.

Czytelnik, który nie zna Ransoma tak jak ja, nie dostrzeże absurdalności tych podejrzeń. Rozumna część mojej świadomości bardzo dobrze wiedziała, że gdyby nawet cały wszechświat był chory, szalony i wrogi, to Ransom pozostałby zdrowy, rozsądny i uczciwy. W końcu rozum zwyciężył i ruszyłem w dalszą drogę, choć nadal odczuwałem trudną do opisan

niechęć. Szedłem, bo w głębi duszy *wiedziałem*, że każdy krok przybliży mnie do jedyne go przyjaciela, a jednocześnie *czułem*, że zbliżam się do wroga, zdrajcy, czarownika, człowieka w zмовie z „nimi”, że jak głupiec wążę z otwartymi oczami prosto w pułapkę.

Tak, najpierw nazywają to kryzysem nerwowym, potem wysyłają cię do sanatorium, a w końcu przenoszą do zakładu zamkniętego.

Minąłem opuszczoną fabrykę i szedłem w oparach mgły zalegających dno dolinki. Było bardzo zimno. Wtedy właśnie nadszedł moment absolutnej paniki i musiałem przygryźć wargi, aby powstrzymać okrzyk przerażenia. To tylko kot przebiegł przez drogę, a ja całkowicie straciłem panowanie nad nerwami. „Jeszcze chwila i naprawdę zaczniesz wrzeszczeć”, odezwał się mój wewnętrzny dręczyciel. „Będiesz latał w kółko, wrzeszczał ze strachu i nic na to nie poradzisz.”

Przy drodze pojawił się jakiś domek. Większość okien zabito deskami, tylko jedno spoglądało na mnie jak oko zdechłej ryby. W normalnych warunkach idea „domu, w którym straszy”, nie znaczy dla mnie więcej niż dla was. Ani więcej, ani mniej. Wówczas jednak myśl o duchach wydawała mi się najbardziej naturalna. „Straszyć”... „tam straszy”... Coś jest w samym brzmieniu tego słowa. Czy dziecko, które nigdy przedtem go nie słyszało i nawet nie wie, co ono oznacza, nie zadrży, gdy o zmierzchu ktoś z dorosłych powie: „W tym domu straszy”?

Wreszcie doszedłem do skrzyżowania przy niewielkiej wesleyańskiej kaplicy. Miałem tu skręcić w lewo, w brzozową aleję. Stąd powinienem już widzieć światło w oknach domu Ransoma. A może to już pora zaciemnienia?* Spojrzałem na zegarek, ale stanął. Nie potrafiłem określić bliżej czasu, bo choć było ciemno, mogły to spowodować gęsta mgła i drzewa. Wszyscy znamy te chwile, gdy przedmioty nieożywione zdają się mieć jakby wyraz twarzy, jakby robiły miny. Mina tego odcinka drogi nie była najprzyjemniejsza.

To nieprawda - mówiło coś we mnie - że ludzie, którzy są bliscy obłądu, nie zdają sobie z tego sprawy. Przypuśćmy, że moja choroba umysłowa ma się zacząć właśnie w tym miejscu. W takim wypadku wrogość owych czarnych, ociekających wodą drzew byłaby, oczywiście, halucynacją. Ale czy ten wniosek naprawdę polepsza sytuację? Jeśli nawet wiemy, że widmo, które widzimy, jest przywidzeniem, nie staje się ono przez to mniej straszne, a dochodzi jeszcze lęk przed samym szaleństwem i okropne przypuszczenie, że tylko ci, których reszta nazywa szaleńcami, widzą świat

* Akcja powieści rozgrywa się w czasie ostatniej wojny światowej, gdy obowiązywało zaciemnianie okien w obawie przed niemieckimi nalotami (przyp. tłum.).

takim, jakim jest naprawdę.

Posuwałem się niepewnie naprzód, w ciemności i chłodzie, prawie już pewien, że przekraczam próg tego, co nazywa się obłądem. Co chwila zmieniały się jednak moje poglądy na tak zwaną „normalność”. Czy tym, co nie pozwala nam dostrzec obcości i złowrogości wszechświata, w którym przyszło nam zamieszkiwać, nie jest jedynie pewna konwencja, wygodna przesłona, uzgodniony system pobożnych życzeń? Już samo to, czego się dowiedziałem od Ransoma w ciągu ostatnich miesięcy, przekraczało wszelkie granice „normalności”, a przecież wcale nie próbowałem uznać przytaczanych przez niego faktów za nieprawdziwe. Mogłem mieć zastrzeżenia do jego interpretacji tych faktów, mogłem nawet wątpić w jego wiarę, ale nigdy nie wątpiłem w egzystencję istot, które spotkał na Marsie: pfifltryggów, hrossów, sornów czy międzyplanetarnych eldilów. Nie wątpiłem nawet w realność owej tajemniczej istoty, którą eldile nazywały Maleldilem, i która - według nich - ma władzę, jakiej nie miał nigdy żaden ziemski dyktator. Znałem też przypuszczenia Ransoma co do prawdziwej tożsamości Maleldila.

Teraz byłem już pewien, że dotarłem do siedziby mojego przyjaciela, mimo że mający za ogrodzeniem dom był skrupulatnie zaciemniony. Przyszło mi do głowy niedorzeczne, pełne dziecinnego rozżalenia pytanie: dlaczego nie oczekuje mnie przy furtce? A zaraz potem zaczęły mnie nawiedzać jeszcze bardziej dziecinne lęki. A może Ransom *czeka* w ogrodzie, ukryty w cieniu? Może rzuci się na mnie z tyłu? Może za chwilę ujrzę postać podobną do niego, lecz kiedy przemówię, odwróci się, a twarz, jaką zobaczę, wcale nie będzie twarzą człowieka?...

Odczuwam naturalną niechęć do rozwodzenia się nad tą fazą mojej przygody. Stan, w jakim się wówczas znajdowałem, trudno wspominać bez poczucia pewnego upokorzenia. Nie pisałbym o tym w ogóle, gdyby nie przekonanie, iż opis moich myśli i uczuć w tamtych chwilach jest niezbędny do pełnego zrozumienia tego, co nastąpiło później, a może i niektórych innych spraw. W każdym razie naprawdę *nie potrafię* opisać, jak znalazłem się przed drzwiami domu. Tak czy inaczej, pomimo lęku, a nawet jakiejś niewytłumaczalnej odrazy, walcząc ze sobą o każdy krok naprzód, przebijając się przez coś w rodzaju ściany, zdołałem w końcu przejść przez furtkę i dojść ścieżką do drzwi domu. Pamiętam, że omal nie wrzasnąłem, gdy gałązka żywopłotu musnęła mi twarz. I oto stałem w końcu przed drzwiami, waląc w nie pięściami, szarpiąc kołatkę i wołając do Ransoma, aby mnie wpuścił, jakby od tego zależało moje życie.

Ale nikt na to wszystko nie reagował. Jediną reakcją było echo hałasu, jaki sam robiłem. W pewnej chwili zauważyłem coś białego, przyczepionego do kołatki, i domyśliłem się, że to kartka z wiadomością. Chcąc ją odczytać, spróbowałem zapalić zapałkę, ale nie mogłem opanować dygotania rąk. Płomyk zgasł i znalazłem się w nieprzeniknionych ciemnościach. Wreszcie, po wielu nieudanych próbach, zdołałem odczytać:

„Wybacz. Musiałem wyjechać do Cambridge. Wrócę ostatnim pociągami. Jedzenie w spiżarni, łóżko posłane w twoim zwykłym pokoju. Nie czekaj na mnie z kolacją, chyba że miałbyś na to wielką ochotę. E. R.”

Natychmiast, tym razem z iście demoniczną gwałtownością, poraził mnie impuls, którego doświadczyłem już kilkakrotnie w czasie tej podróży. Cofnij się, wracaj, droga wolna! Ta kartka wprost do tego zaprasza. To może być ostatnia okazja! Jeżeli ktoś oczekuje, że wejdę do tego ciemnego domu i będę w nim siedział samotnie przez kilka godzin, to się głupio myli. Ale gdy tylko zacząłem sobie wyobrażać drogę powrotną, zawahałem się. Wizja wędrówki przez brzozową aleję (było już zupełnie ciemno) nie należała do przyjemnych. I jeszcze ten dom za plecami... Miałem absurdalne uczucie, że będzie za mną podążał!

A potem musiało się we mnie obudzić coś dobrego - jakieś resztki zdrowego rozsądku, może niechęć do zrobienia Ransomowi zawodu. Ostatecznie mogę sprawdzić, czy drzwi rzeczywiście nie są zamknięte na klucz. Zrobiłem to - były otwarte. W następnej chwili (sam nie wiem jak) znalazłem się wewnątrz, a za sobą usłyszałem głuchy łoskot zatrzaskujących się drzwi.

Ogarnęła mnie kompletna ciemność i poczułem ciepło. Zrobiłem kilka kroków po omacku, uderzyłem o coś nogą i przewróciłem się. Sądziłem, że dobrze pamiętam rozkład dużego pokoju, do którego wchodziło się prosto z dworu, nie miałem więc pojęcia, na co mogłem wpaść. W końcu sięgnąłem po zapałki i spróbowałem jedną zapalić, lecz główka odpadła z trzaskiem. Przydeptałem ją i pociągnąłem nosem, żeby się upewnić, że dywan się nie tli. I wtedy zdałem sobie sprawę z jakiegoś dziwnego zapachu wypełniającego pokój. W żaden sposób nie mogłem odgadnąć, co to może być. Od zwykłych domowych zapachów różniło się to tak jak woń niektórych chemikaliów, ale na pewno nie był to zapach chemiczny. Potarłem drugą zapałkę. Błysnęła i prawie natychmiast zgasła. Nie było w tym nic niezwykłego, bo w końcu siedziałem na podłodze, a nawet w domach zbudowanych solidniej niż wiejski domek Ransoma trudno o frontowe drzwi bez szpary, przez którą przedostaje się przeciąg. Nie

zdołałem dostrzec niczego poza własną dłonią osłaniającą płomyk. No tak, muszę oddalić się od tych drzwi. Wstałem ostrożnie i spróbowałem zrobić po omacku kilka kroków, ale natychmiast natrafiłem na przeszkodę. Było to coś gładkiego i bardzo zimnego, sięgającego niewiele ponad moje kolana. Poczułem też, że tu właśnie jest źródło owego szczególnego zapachu. Przesuwając się w lewo, wymacałem koniec dziwnego przedmiotu. Jego powierzchnia zdawała się mieć kilka płaszczyzn, nie potrafiłem jednak odtworzyć sobie kształtu całości. Nie był to na pewno stół - nie wyczułem blatu. Przejechałem ręką wzdłuż górnej krawędzi, trzymając kciuk na zewnątrz, a palec wskazujący wewnątrz zamkniętej przestrzeni. Gdybym wyczuł dotykiem drewno, pomyślałbym, że to jakaś wielka skrzynia. Ale to nie mogło być drewno. Przez chwilę zdawało mi się, że dotykam czegoś wilgotnego, ale szybko doszedłem do wniosku, że wzięłem zimno za wilgoć. Kiedy wymacałem drugi koniec, zapaliłem trzecią zapałkę.

Ujrzałem coś białego i półprzejrzystego, przypominającego lód. Przedmiot był długi - coś w rodzaju dużej, otwartej skrzyni. W jej kształcie było coś niepokojącego, ale w pierwszej chwili nie skojarzyłem tego z przedmiotem, który wszyscy dobrze znamy. W każdym razie pudło mogło pomieścić człowieka. Cofnąłem się o krok, podnosząc płonąca zapałkę, aby lepiej ogarnąć spojrzeniem całość, i znowu na coś wpadłem. Zapałka zgasła, a ja straciłem równowagę i upadłem, tym razem nie na dywan, lecz na zimną, gładką powierzchnię wydzielającą ten sam dziwny zapach. Czyżby cały pokój był zastawiony owymi piekielnymi przedmiotami?

Właśnie postanowiłem wstać i obejść systematycznie cały pokój w poszukiwaniu świecy, gdy usłyszałem, jak ktoś wypowiedział nazwisko mojego przyjaciela i prawie natychmiast zobaczyłem to, czego się lękałem od tak dawna. Usłyszałem słowo „Ransom”, choć trudno mi powiedzieć, czy usłyszałem głos, który je wypowiedział. Ten dźwięk nie przypominał głosu. Był doskonale artykułowany, a nawet piękny, lecz brakowało mu owej trudnej do opisu cechy, po której bezbłędnie poznajemy głos żywej istoty. Mam nadzieję, że rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Wszyscy wyczuwamy bardzo wyraźnie różnicę między głosem zwierzęcia (włączając w to ludzkie zwierzę) a wszystkimi innymi dźwiękami, chociaż jest to różnica bardzo trudna do określenia. W każdym prawdziwym *głosie* brzmią w jakimś sensie krew, płuca i ciepła, wilgotna jama ust. W tym głosie tego nie było. Dwie sylaby - Ransom - brzmiały raczej tak, jakby je odegrano na jakimś instrumencie. A jednak nie brzmiały mechanicznie! Maszyna to coś,

co jest zrobione z metalu, a ten dźwięk brzmiał tak, jakby przemówiła skała, kryształ lub światło. Ten dźwięk przeszył mi piersi, jak gwałtowny dreszcz przenikający człowieka, który podczas górskiej wspinaczki traci nagle oparcie pod stopą.

Tyle o tym, co usłyszałem. To, co zobaczyłem, przypominało wąski słup słabego światła. O ile pamiętam, światło nie znaczyło jasnego kręgu na podłodze czy na suficie, ale mogę się mylić. Natomiast z całą pewnością nie miało takiej mocy, aby rozjaśnić otoczenie. Dotąd opis nie jest trudny, ale teraz muszę przejść do innych, mniej uchwytnych cech tego zjawiska. Pierwszą z nich była jego barwa. Skoro je zobaczyłem, to wydaje się oczywiste, że musiało być albo białe, albo kolorowe, ale choćbym nie wiem jak wysilał pamięć, nie potrafię uchwycić choćby najśłabszego sygnału, jaki to mógł być kolor. Błękit, złoto, purpura? Żadna barwa nie budzi odzewu w mojej pamięci. Jak to możliwe, by odebrać wrażenie wzrokowe i już w chwilę później nie móc go sobie przypomnieć? Nie potrafię tego wyjaśnić. Drugą niezwykłą cechą był kąt między ową kolumną światła a podłogą. Chciałem napisać, że nie był to kąt właściwy, ale musiałbym natychmiast dodać, że tego rodzaju opis jest już późniejszą rekonstrukcją wizji. Wówczas zdawało mi się, że kolumna światła jest pionowa, natomiast podłoga wcale nie jest pozioma. Całe pomieszczenie przekrzywiło się, jakby było częścią statku na pełnym morzu. Nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, jakby ta istota podlegała swojemu własnemu, pochodzącemu spoza Ziemi systemowi kierunków i że sama jej obecność narzucała mi ten obcy system, niwecząc ziemskie poczucie tego, co poziome.

Nie miałem wątpliwości, że widzę eldila. Co więcej, byłem prawie pewien, że jest nim archont Marsa, czyli Ojarsa Malakandry. Nagle opuścił mnie upokarzający strach, choć uczucie, jakiego nadal doświadczałem, nie należało do przyjemnych. Najbardziej mi przeszkadzało, że istota nie miała nic wspólnego z tym, co nazywamy życiem organicznym, że osobowa inteligencja jest w jakiś sposób zakotwiczona w cylindrze światła, lecz nie jest z nim związana tak, jak ludzka świadomość z mózgiem i nerwami.

Ta istota po prostu nie mieściła się w naszych kategoriach. Nie pasowało do niej to, co zwykle czujemy patrząc na żywe stworzenie, ani to, co czujemy patrząc na obiekt nieożywiony.* Z drugiej strony, znikły -

* Oczywiście w tym opisie próbuję oddać to, co myślałem i czułem wówczas, jako że chcę nadać mu charakter świadectwa z pierwszej ręki. Można jednak snuć dalsze spekulacje na temat formy, w jakiej eldile objawiają się naszym zmysłom. O ile wiem, jedyne poważne rozważanie tego tematu można znaleźć w pewnym tekście z początków XVII wieku. Jako punkt wyjściowy do dalszych poszukiwań polecam następujący ustęp z dzieła Natvilcusa

przynajmniej wówczas - wszystkie wątpliwości, które dręczyły mnie, zanim wszedłem do domu mojego przyjaciela: nie zastanawiałem się już, czy eldile są naszymi sprzymierzeńcami czy wrogami, a Ransom pionierem czy ofiarą podstępu. Mój lęk przybrał teraz inną postać. Byłem już pewien, że ta istota jest „dobra” (w naszym ziemskim pojęciu), zacząłem jednak wątpić, czy rzeczywiście lubię „dobroć” tak, jak mi się dotąd wydawało. Było to naprawdę okropne przeżycie. Dopóki to, czego się boimy, jest czymś złym, możemy mieć nadzieję, że jakieś dobro przyjdzie nam na ratunek. Przypuśćmy jednak, że walczymy ze złem, doczekujemy się nadejścia dobra i stwierdzamy, że i ono jest czymś strasznym? To tak, jakby normalne pożywienie stało się nagle zupełnie niejadalne, nasz dom okazał się miejscem niemożliwym do zamieszkania, a życzliwy pocieszyciel osobą, która pogłębia nasze troski. Wówczas nie ma już żadnego ratunku - straciliśmy ostatnią kartę.

Przez sekundę lub dwie byłem bliski takiego właśnie stanu. Oto wreszcie zetknąłem się z częstką tego pozaziemskiego świata, który zawsze uważałem za coś drogiego i upragnionego. Częstka tego świata objawiła mi się, przełamała dotychczasowe bariery - i wcale nie czułem do niej sympatii, pragnąłem uciec. Pragnąłem, by rozdzielił nas jakiś dystans, przepaść, kurtyna, zasłona, bariera. I, prawdę mówiąc, wpadłem w przepaść, ale w nieco innym sensie. Może to się wydać dziwne, ale uratowało mnie poczucie bezradności. Poczulem spokój. Teraz stało się już oczywiste, że zostałem „wciągnięty”. Dalszy opór nie miał sensu. Następną decyzja nie należała już do mnie.

A potem, jak odgłos z zupełnie innego świata, usłyszałem otwieranie drzwi i szuranie butów po wycieraczkę. Na tle ciemnej szarości nocy ujrzałem ludzką sylwetkę i poznałem Ransoma. Kolumna światła ponownie przemówiła dźwiękiem nie przypominającym ludzkiego głosu. Był to dziwny, wielosylabiczny język, jakiego nigdy nie słyszałem. Nie próbuję usprawiedliwiać uczuć, jakie obudziły się we mnie, gdy usłyszałem nieludzki dźwięk, którym eldil zwracał się do mojego przyjaciela, i nieludzki

pt. *De Aethereo et aërio Corpore* (Bazylea, 1627, II, XII): liquet simplicem flammam sensibus nostris subjectam non esse corpus proprie dictum angeli vel demonis, sed potius aut illius corporis sensorium aut superficiem corporis in coelesti dispositione locorum supra cogitationes humanas existens. („Wydaje się, że ten jednorodny płomień, odbierany przez nasze zmysły, nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu ciałem anioła czy demona, lecz raczej jego systemem zmysłów lub widzialną powierzchnią ciała, które naprawdę istnieje w niebiańskim systemie odniesień przestrzennych w sposób przekraczający nasze pojmowanie.”) Sądzę, że przez „niebiański system odniesień przestrzennych” Natvilcius chce wyrazić to, co obecnie nazywamy „przestrzenią wielowymiarową”. Oczywiście Natvilcius nie mógł mieć pojęcia o geometrii wielowymiarowej, ale osiągnął empirycznie to, co nasza matematyka odkryła później na płaszczyźnie czysto teoretycznej.

język, w jakim ten mu odpowiedział. Wiem, że to niewybaczalne, ale jeśli sądzicie, że w takich okolicznościach niemożliwe, to powiem wam szczerze, że nie znacie dobrze ani historii, ani swego własnego serca. Poczuję gwałtowną odrazę, przerażenie i zazdrość. Chciałem zawołać: „Zostaw go, ty przeklęty czarowniku, i zajmij się MNA!” Ale powiedziałem tylko:

- Och, Ransom! Dzięki Bogu, wróciłeś.

2

Drzwi trzasnęły (po raz drugi tego wieczora) i po chwili szukania po omacku Ransom zapalił świecę. Rozejrzałem się szybko dookoła, lecz prócz nas dwóch nie dostrzegłem nikogo. Najbardziej rzucał się w oczy ów duży, biały przedmiot. Tym razem nie miałem trudności z identyfikacją. Była to wielka, otwarta skrzynia w kształcie trumny. Tuż obok leżało wieko i to o nie musiałem się potknąć w ciemności. Skrzynia i wieko zrobione były z białego tworzywa przypominającego lód, lecz bardziej mętnego i matowego.

- Ach, to ty! Jakże się cieszę, że cię widzę - rzekł Ransom podchodząc i ściskając mi rękę. - Wszystko przez ten pośpiech. Miałem szczerą ochotę wyjść po ciebie na stację, ale dopiero w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że muszę być dzisiaj w Cambridge. Wierz mi, nigdy bym cię nie narażał na *taką* samotną wędrówkę. - A po chwili, widząc zapewne, że wciąż gapię się na niego z niezbyt mądrą miną, dodał: - Ale *wszystko w porządku*? Nic ci nie jest? Przeszedłeś przez zaporę szczęśliwie?

- Zaporę? Nie rozumiem.

- Mam na myśli pewne trudności po drodze.

- Ach, *to!* A ja sądziłem, że to po prostu moje nerwy. Czy to znaczy, że naprawdę coś mi przeszkadzało w dojeździe do twego domu?

- Naturalnie. Nie chciały, abyś tutaj dotarł. Obawiałem się, że coś takiego może się zdarzyć, ale naprawdę nie miałem czasu, by temu jakoś zaradzić. Zresztą byłem pewien, że sam dasz sobie radę.

- Nie chciały... Czy masz na myśli te inne... to znaczy, nasze, ziemskie eldile?

- Oczywiście. Zwietryły, na co się zanosili...

- Szczerze mówiąc, Ransom - przerwałem mu - cała ta sprawa coraz bardziej mnie niepokoi. Kiedy tu szedłem, przyszło mi do głowy...

- Och, będą ci wpychać do głowy najróżniejsze rzeczy, jeśli im na to pozwolisz - powiedział Ransom lekceważąco. - Najlepiej nie zwracać na to uwagi i robić swoje. Nie próbuj im odpowiadać. Bardzo lubią wciągać ludzi

w nie kończące się dyskusje.

- Ależ Ransom, przecież to nie są dziecinne zabawy! Czy jesteś całkowicie pewny, że ów Ciemny Archont, zepsuty Ojarsa Ziemi, naprawdę istnieje? Czy wiesz na pewno, że są dwie strony, a jeśli tak, to po której naprawdę jesteśmy?

Zmierzył mnie nagle łagodnym i zarazem dziwnie przenikliwym spojrzeniem.

- *Czy naprawdę* masz wątpliwości w obu tych kwestiach? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałem po chwili namysłu i poczułem wstyd.

- A więc wszystko w porządku - rzekł Ransom beztrąsko. - A teraz zrobimy sobie kolację. Wyjaśnię ci wszystko przy stole.

- Co to za historia z tą trumną? - zapytałem, gdy szliśmy do kuchni.

- Zamierzam odbyć w niej podróż.

- Ransom! - zawołałem. - On... ono... ten eldil nie chce cię chyba wysłać z powrotem na Malakandrę!

- Nie rań mi serca - odpowiedział. - Och, Lewis, ty nic nie rozumiesz. Wysłać mnie z powrotem na Malakandrę? Gdyby tylko zechciał! Oddałbym wszystko, co posiadam... byleby tylko choć raz spojrzeć na jeden z tych wąwozów, na błękitną, naprawdę błękitną wodę, wijącą się tu i tam wśród lasów. Albo znaleźć się w górze, na harandrze, i zobaczyć sorna ześlizgującego się po zboczu. Albo być tam wieczorem, kiedy wschodzi Jowisz, zbyt jasny, aby nań patrzeć, i wszystkie asteroidy, niby jakaś Droga Mleczna, a każda gwiazda jest tak jasna, jak Wenus widziana z Ziemi... A te zapachy! Nigdy tego nie zapomnę. I nie myśl, że najbardziej tęsknię w nocy, gdy Malakandra jest widoczna. Nie, najgorzej jest w gorące, letnie dni, gdy patrzę w głębię błękitu nad sobą i wiem, że *tam*, miliony mil stąd, tam, dokąd już nigdy nie wrócę, jest tak dobrze znane mi miejsce, gdzie w tej samej chwili rozchylają się kwiaty nad Meldilornem, gdzie moi przyjaciele krzątają się wokół swoich codziennych spraw. Och, jakby się ucieszyli, gdybym wrócił! Ale nie. Nie dla mnie takie szczęście. Nie wysyłają mnie na Malakandrę. Tym razem moim celem jest Perelandra.

- Czyli... Wenus?

- Tak.

- I mówisz, że cię tam wysyłają...

- Tak. Pamiętaj, zanim opuściłem Malakandrę, Ojarsa dał mi do zrozumienia, że moja pierwsza podróż międzyplanetarna może być początkiem zupełnie nowej ery w życiu Układu Słonecznego, czyli Pola Arbola. Według niego może to oznaczać, że izolacja naszej planety, pewien

stan oblężenia, zbliża się ku końcowi.

- Tak, pamiętam.

- No więc są pewne oznaki, że na coś takiego się zanosi. Przede wszystkim owe dwie strony, jak to nazywasz, zaczynają coraz wyraźniej manifestować swoją obecność na Ziemi. Zaczynają się mieszać do naszych spraw i to w sposób coraz bardziej jawny.

- Zauważyłem to.

- Na tym nie koniec. Czarny Archont, nasz ziemski, skrzywiony Ojarsa, przygotowuje coś w rodzaju ataku na Perelandrę.

- Ale przecież on jest tutaj uwięziony! Nie może wędrować swobodnie po Układzie Słonecznym.

- O to właśnie chodzi. Nie może dostać się na Perelandrę sam, w swoim ciele świetlnym, fotosomie, czy jak to tam nazwać. Jak wiesz, został tu uwięziony na długie wieki przed początkiem życia ludzkiego na naszej planecie. Gdyby się ośmielił przeniknąć poza orbitę Księżyca, zostałby siłą zmuszony do powrotu. Ale byłaby to zupełnie inna wojna i mój czy twój wpływ na jej wynik można porównać z udziałem muchy w bitwie o Moskwę. Nie, on musi zaatakować Perelandrę w jakiś inny sposób.

- Ale jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

- No cóż, po prostu otrzymałem rozkaz, żeby się tam udać.

- Rozkaz? Od... od Ojarsy?

- Nie. Rozkaz przyszedł z o wiele wyższej instancji. Tak się zresztą zawsze dzieje.

- A co masz tam zrobić?

- Tego mi nie powiedziano.

- Domyślam się, że masz towarzyszyć Ojarsie?

- Ach, nie! Ojarsy tam nie będzie. On mnie tylko przeniesie na Wenus... przekaże mnie tam. A potem będę zdany na własne siły.

- Ależ Ransom, posłuchaj... wydaje mi się... - zacząłem i głos uwiązł mi w gardle.

- Wiem, wiem - powiedział ze swoim charakterystycznym, rozbajającym uśmiechem. - Dostrzegasz absurdalność tego wszystkiego. Doktor Elwin Ransom staje do samotnej walki z niebiańskimi Mocami i Zwierzchnościami. Może nawet podejrzewasz mnie o chorobliwą megalomanię.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć.

- Naprawdę? A mnie się wydaje, że właśnie o tym myślałeś. W każdym razie ja sam coś takiego czuję od czasu, gdy to na mnie się zważyło. Ale

kiedy się nad tym dobrze zastanowić... Czy to jest naprawdę bardziej niezwykle od tego, co wszyscy musimy robić dzień po dniu? Kiedy Biblia mówi o walce z Mocami, Zwierzchnościami i upadłymi, nadcielesnymi istotami na wysokościach - notabene nasze przekłady są tu bardzo nieściste - to do kogo właściwie się zwraca? Do zwykłych ludzi. To oni mają toczyć tę walkę.

- No tak, ale ośmielę się zauważyć, że to nieco inna sprawa. Przecież to się odnosi do konfliktu moralnego.

Ransom odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Och, Lewis, Lewis - powiedział. - Jesteś niezrównany, po prostu niezrównany!

- Mów, co chcesz, ale to naprawdę jest różnica.

- Oczywiście. Jest różnica. Ale nie aż taka, by uważać za megalomana kogoś, kto zamierza podjąć walkę bezpośrednią. Powiem ci, jak ja to widzę. Czy nie zauważyłeś, że w tej naszej małej ziemskiej wojnie są różne fazy i że ludzie bardzo łatwo zaczynają myśleć i zachowywać się tak, jakby dana faza miała trwać wiecznie? A przecież naprawdę wszystko się wciąż zmienia i ani nasze możliwości, ani zagrożenia nie są takie same, jak w roku ubiegłym. Otóż twój pogląd, że zwykli ludzie mogą walczyć z Ciemnymi Eldilami jedynie w sferze psychologicznej lub moralnej, na przykład odpierając pokusy, jest słuszny w odniesieniu do pewnej fazy wojny kosmicznej. Nazwijmy ją fazą wielkiego obłączenia, fazą, dzięki której nasza planeta uzyskała nazwę Tulkandry, czyli Milczącej Planety. A jeśli ta faza mija? Może w następnej fazie każdy będzie musiał stawić im czoło... no, w każdym razie w jakiś inny sposób?

- Rozumiem.

- Nie wyobrażaj sobie, że dlatego zostałem wybrany, by udać się na Perelandrę, bo jestem kimś niezwykłym. Nigdy się nie wie, a w każdym razie nie wcześniej, zanim to się stanie, dlaczego właśnie *ten*, a nie inny człowiek zostaje wybrany, by spełnić określone zadanie. A kiedy się już wie, okazuje się zwykle, że nie jest to wcale powód, z którego można być dumnym. A już na pewno powodem tym nie jest nigdy to, co ów człowiek uważa za swoją podstawową zaletę. Skłonny jestem raczej przypuszczać, że wybór dlatego padł na mnie, bo ci dwaj łajdacy, którzy mnie porwali i uprowadzili na Malakandrę, zrobili coś, co wcale nie leżało w ich zamiarach: dali istocie ludzkiej szansę opanowania języka.

- O jakim języku mówisz?

- O *hressa-hlab*, oczywiście. To ten język, którego się nauczyłem na

Malakandrze.

- Ale przecież chyba sobie nie wyobrażasz, że na Wenus mówi się tym samym językiem!

- Nie mówiłem ci o tym? - Ransom wychylił się do przodu. Siedzieliśmy przy stole kończąc kolację składającą się z zimnego mięsa, piwa i herbaty.

- Dziwne, bo odkryłem to już dwa lub trzy miesiące temu. Z naukowego punktu widzenia to najciekawszy aspekt całej tej sprawy. Myliliśmy się uważając *hressa-hlab* za język tylko Marsjan. Okazuje się, że to język całego Układu Słonecznego, *hlab-Eribol-ef-Cordi*, czyli stary język solarny.

- Co?! Język solarny?... Czy zdajesz sobie sprawę...

- Tak, to znaczy, że niegdyś rozumni mieszkańcy planet naszego Układu Słonecznego używali wspólnego języka. Oczywiście mam na myśli planety zamieszkane, te, które eldile nazywają Dolnymi Światami. Jak wiesz, większość naszych planet nigdy nie była i nie będzie zamieszкана, w każdym razie nie w tym sensie, w jakim my rozumiemy to słowo. Ten pierwotny język wymarł na Tulkandrze, czyli Ziemi, kiedy rozpoczęła się nasza tragedia. Nie pochodzi od niego żaden ze znanych obecnie języków ludzkich.

- No dobrze, ale przecież mówiłeś, że na Marsie są w użyciu trzy języki, nie jeden.

- Przyznam się, że i ja tego nie rozumiem. Wiem jedno, i mógłbym tego dowieść na gruncie czystej filologii, że te dwa pozostałe są nieporównywalnie młodsze od *hressa-hlab*, zwłaszcza *urnibur*, język sornów. Można wykazać, że *urnibur* jest w skali malakandryjskiej osiągnięciem całkiem świeżym. Wątpię, czy jego początki można datować wcześniej niż na nasz okres kambryjski.

- I sądzisz, że na Wenus znajdziesz ten *hressa-hlab*, czyli stary język solarny?

- Tak. Przybędę tam, znając już język. To oszczędzi wielu kłopotów, chociaż muszę wyznać, że jako filologa wcale mnie to nie cieszy.

- I zupełnie nie wiesz, co masz tam robić i co tam zastaniesz?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, czego się ode mnie oczekuje. Widzisz, bywają takie zadania, że lepiej z góry nie wiedzieć zbyt wiele... Czasem efekt tego, co ma się powiedzieć, jest większy, jeśli mówi się bez przygotowania. A co do warunków na Wenus... Cóż, zbyt wiele o nich nie wiem. Będzie ciepło, bo mam podróżować nago. Niestety, nasi astronomowie nie potrafią nic powiedzieć o powierzchni Perelandry, bo jej zewnętrzna atmosfera jest zbyt gęsta. Nie jest nawet pewne, czy planeta

obraca się wokół swojej osi, a jeśli tak, to z jaką prędkością. Są dwie szkoły. Jest taki uczonec, Schiaparelli, który twierdzi, że obrót Wenus wokół swej osi trwa tyle, ile jej pełne okrążenie wokół Arbola... to znaczy Słońca. Inni sądzą, że obraca się w ciągu dwudziestu trzech godzin. To będzie jedna z tych spraw, które ustalę na miejscu.

- Jeśli Schiaparelli ma rację, to na jednej półkuli panuje wieczny dzień, a na drugiej wieczna noc.

- Tak - powiedział Ransom i zamyślił się. - Ależ to by była niesamowita granica! - dodał po chwili. - Pomyśl tylko! Wkraczasz do krainy wiecznego zmierzchu, z każdym krokiem robi się coraz zimniej i ciemniej, aż w końcu nie możesz już iść dalej, bo dochodzisz do miejsca, w którym brakuje powietrza. Ciekawe, czy można stanąć po stronie dnia i patrzeć w noc, której nigdy się nie osiągnie... I widzieć kilka gwiazd niedostrzegalnych z krainy dnia... No, jeśli tam jest cywilizacja i nauka, to mogą się poruszać po krainie nocy w skafandrach albo pojazdach w rodzaju łodzi podwodnych na kołach...

Jego oczy płonęły i nawet ja odczułem dreszcz tęsknoty i żądzy wiedzy, chociaż przede wszystkim myślałem o tym, że będzie mi go brak, i że prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczę.

- Nie zapytałeś dotąd, na czym ma polegać *twoja* rola - odezwał się Ransom po chwili milczenia.

- Czy... chcesz powiedzieć, że mam ci towarzyszyć?... - zapytałem, czując dreszcz zupełnie innego rodzaju.

- Ależ nie! Musisz mnie tylko zapakować i... jeżeli wszystko pójdzie dobrze... odpakować po moim powrocie.

- Zapakować? Ach, zapomniałem o twojej trumnie! Na miłość boską, Ransom, jak sobie wyobrażasz podróż w czymś takim? Co będzie siłą napędową? Co z powietrzem, wodą, jedzeniem? Przecież tam starczy miejsca tylko dla ciebie!

- Siłą napędową będzie sam Ojarsa Malakandry. On po prostu przeniesie tę trumnę na Wenus. Nie pytaj jak, bo sam nie mam pojęcia. Ale istota, która przez kilka bilionów lat utrzymuje planetę na orbicie, chyba sobie poradzi z taką skrzynką.

- Ale co będziesz jadł? Czym będziesz oddychał?

- Ojarsa mówi, że obejdę się bez tego. O ile zdołałem zrozumieć, będę w stanie zawieszenia czynności życiowych. Próbowałem mi to opisać, ale niczego nie zrozumiałem. W końcu to jego sprawa.

- I to cię zadowala? - zapytałem, czując, jak znowu ogarnia mnie

zgroza.

- Jeżeli pytasz o to, czy mój rozum akceptuje przekonanie, iż pomijając jakieś nieprzewidziane wypadki, Ojarsa przetransportuje mnie bezpiecznie na powierzchnię Perelandry, to odpowiedź brzmi: tak. Jeśli jednak pytasz, czy moje nerwy i wyobraźnia podzielają to przekonanie, odpowiem: nie. Można wierzyć w anestezjologię, a mimo to odczuwać lęk, gdy przed operacją nakładają ci maskę na twarz. Chyba czuję się jak człowiek wierzący w życie pozagrobowe, który ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Ale może to i dobra zaprawa na przyszłość.

- I ja mam cię zapakować do tej piekielnej skrzyni?

- Tak - odparł Ransom. - To twoje pierwsze zadanie. Gdy tylko wzejdzie słońce, musimy przenieść ją do ogrodu i ustawić tak, by na jej drodze nie było drzew lub budynków. Myślę, że najlepszy będzie zagon kapusty. Potem wejdę do środka z bandażem na oczach, bo ścianki tej skrzyni przepuszczają słońce, a ty nałożysz wieko i dobrze je zaśrubujesz. A potem... cóż, chyba zobaczysz, jak skrzynia poszybkuje w powietrze.

- I co dalej?

- Tu zaczyna się trudniejsza część twojego zadania. Musisz być przygotowany na szybki powrót tutaj, gdy tylko zostaniesz wezwany, żeby zdjąć wieko i wypuścić mnie, kiedy wyląduję.

- Jak sądzisz, kiedy to może nastąpić?

- Tego nie wiem. Może za sześć miesięcy, może za rok, a może za dwadzieścia lat. W tym cały kłopot. Obawiam się, że obarczam cię dość ciężkim obowiązkiem.

- Przecież mogę do tego czasu umrzeć.

- Myślałem o tym. Musisz od razu wybrać sobie jakiegoś następcę. W końcu znamy chyba czterech czy pięciu ludzi, którym możemy zaufać.

- Jak zostanę wezwany?

- Ojarsa da ci znać. Nie bój się, rozpoznasz wezwanie, gdy nadejdzie. Nie powinieneś się tym kłopotać. I jeszcze jedno. Nie mam szczególnych powodów, by sądzić, że wrócę ranny, ale na wszelki wypadek znajdź jakiegoś zaufanego lekarza i przywieź ze sobą.

- Myślisz, że Humphrey by się nadawał?

- Idealnie! A teraz kilka bardziej osobistych spraw. Musiałem cię pominąć w testamencie i chcę, abys wiedział dlaczego.

- Ależ Elwin, jeszcze nigdy nie pomyślałem o spadku po tobie!

- Nie wątpię. Bardzo bym jednak chciał zostawić ci coś po sobie, a jeśli tego nie czynię, to dlatego, że próbuję wszystko przewidzieć. W końcu

zamierzam zniknąć i nie można wykluczyć, że na zawsze. Nietrudno sobie wyobrazić, że może być śledztwo, a nawet posądzenie o morderstwo. W tych sprawach trzeba być bardzo ostrożnym. Więc jeśli cię pomijam w testamencie, to tylko dla twojego dobra. A teraz jeszcze parę drobnych spraw prywatnych.

Przez dłuższy czas rozmawialiśmy poufnie o sprawach, o których zwykle mówi się raczej w gronie krewnych niż przyjaciół. Przy tej okazji poznałem Ransoma lepiej, a liczba dziwnych ludzi, których polecił mojej opiece („jeśli tylko będziesz w stanie coś dla nich zrobić”), powiedziała mi wiele o rozmiarach jego dyskretnej działalności charytatywnej. Mijały minuty i na każde wypowiedziane zdanie kładł się coraz gęstszy cień bliskiego rozstania, pogrążając nas w jakimś grobowym nastroju. Przyłapałem się na tym, że zwracam tkliwą uwagę na jego różne drobne gesty i charakterystyczne wyrażenia, jakie zwykle dostrzegamy u ukochanej kobiety, a u mężczyzny tylko wówczas, gdy dobiegają ostatnie godziny jego życia, lub gdy zbliża się dzień jakiejś bardzo ryzykownej operacji. Poddawałem się chętnie właściwemu ludzkiej naturze niedowiarstwu i odsuwałem od siebie myśl, że to, co było teraz tak bliskie, tak dotykalne i (w pewnym sensie) tak bardzo zależne od mojej woli, będzie za kilka godzin nieuchwytnie, stanie się tylko obrazem - a wkrótce obrazem bardzo mglistym - w mojej pamięci. Wreszcie zapanowało między nami coś w rodzaju zażenowania, bo każdy zdawał sobie sprawę, co czuje drugi. Zrobiło się bardzo chłodno.

- Niedługo musimy ruszać - rzekł Ransom.

- Chyba nie wcześniej, niż... Ojarsa wróci - powiedziałem, chociaż, prawdę mówiąc, wolałbym, żeby już było po wszystkim.

- Nigdy nas nie opuszczał - odpowiedział Ransom. - Przez cały czas jest w domu.

- Chcesz powiedzieć, że przez tyle godzin czekał w sąsiednim pokoju?

- Nie, nie czekał. Eldile nie znają czegoś takiego. My przeżywamy oczekiwanie, ponieważ mamy ciało, które męczy się i nuży, a wobec tego potrafimy odczuwać kumulujące się przemijanie. Rozróżniamy czas pracy i czas odpoczynku, stworzyliśmy nawet pojęcie „czasu wolnego”. Z Ojarsą jest zupełnie inaczej. Był tu przez cały czas, ale powiedzieć o nim, że *czekał*, to tak, jak nazwać całe jego istnienie *czekaniem*. Równie dobrze można by powiedzieć, że czeka drzewo w lesie albo światło słońca na zboczu wzgórza.

Zapanowała cisza. Ransom ziewnął.

- Jestem zmęczony, a i ty chyba też. No, ale wyśpię się dobrze w mojej trumnie. Chodźmy. Trzeba ją wytaszczyć z domu.

Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju i tu stanąłem ponownie przed owym bezkształtnym światłem, które nie czeka, lecz po prostu jest. Przy pomocy Ransoma jako tłumacza zostałem w pewnym sensie przedstawiony i zaprzysiężony jako uczestnik wielkiej sprawy. Potem zdjęliśmy z okien zasłony, wpuszczając do środka ponurą szarość brzasku, i wynieśliśmy skrzynię z pokrywą na zewnątrz. Były tak zimne, że aż parzyły w palce. Na trawie leżała gęsta rosa i natychmiast przemoczyłem nogi. Eldil towarzyszył nam, unosząc się nad niewielkim trawnikiem, choć w świetle dziennym był prawie niewidoczny.

Ransom pokazał mi, gdzie są i jak działają zatrzaski mocujące wieko. Teraz nadszedł czas nieznośnego, dłużącego się oczekiwania, kiedy nie bardzo było wiadomo, co z sobą zrobić. Aż w końcu Ransom poszedł jeszcze raz do domu, a potem wrócił nagi: biała, trzęsąca się z zimna postać, sprawiająca zupełnie groteskowe wrażenie o szarym świcie, w zagonie mokrej od rosy kapusty. Wszedł do tej ohydnej skrzyni, kazał zawiązać sobie oczy grubym, czarnym bandażem i położył się. Nie byłem w stanie myśleć o planecie Wenus i nie wierzyłem, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczę. Miałem nawet ochotę wycofać się z tego wszystkiego i pewnie bym tak zrobił, gdyby nie obecność tej istoty - tej, która nie czeka. Z uczuciem, które od tego czasu powraca do mnie w koszmarach snach, zamknąłem lodowate wieko nad żywym człowiekiem i cofnąłem się kilka kroków. W następnej chwili byłem już sam. Nie wiem jak i kiedy trumna zniknęła. Wszedłem do domu i zrobiło mi się niedobrze. W kilka godzin później pozamykałem dom i wróciłem do Oksfordu.

A potem wolno mijały miesiące, minął rok, obfitujący w naloty bombowe, złe wiadomości i zawiedzione nadzieje, a cała Ziemia pogrążyła się w mrokach grozy i okrucieństwa. I nagle pewnej nocy przyszedł do mnie Ojarsa. Dla mnie i dla Humphreya oznaczało to pospieszną podróż w zatłoczonych korytarzach wagonów i nocne wyczekiwanie w zimnych podmuchach wiatru na peronach, aż w końcu nadszedł moment, gdy staliśmy obaj w porannym słońcu pośród bujnych chwastów, jakimi zdążył zarosnąć ogród Ransoma.

Na wschodnim nieboskłonie pojawiła się czarna plamka i niemal natychmiast biała skrzynia wylądowała cicho pomiędzy nami. Rzuciliśmy się do niej i nim minęła minuta, zdjęliśmy pokrywę.

- Wielki Boże! - zawołałem zajrzawszy do środka. - Roztrzaskany na miazgę!

- Nie spiesz się tak z diagnozą - powiedział spokojnie Humphrey i zanim skończył mówić, postać w trumnie poruszyła się i usiadła, strząsając z siebie jakąś czerwoną masę. W tym, co w pierwszej chwili wzięłem za krwawe szczątki ludzkie, teraz rozpoznałem czerwone kwiaty. Ransom zamrugał oczami, rozejrzał się trochę nieprzytomnie, a potem zawołał nas po imieniu i uścisnął nam dłonie.

- Jak się macie? - zapytał. - Nie wyglądacie za dobrze.

Milczałem, zdumiony widokiem postaci, która powstała z trumny.

Był to zupełnie nowy Ransom, tryskający zdrowiem, muskularny i młodszy o jakieś dziesięć lat. Przed rokiem zauważyłem u niego kilka siwych włosów; teraz bujna grzywa i broda spływająca mu na piersi miały kolor czystego złota.

- Ej, skaleczyłeś się w stopę - rzekł Humphrey. Dopiero teraz zauważyłem krew ciekącą z pięty Ransoma.

- Brr, strasznie tu zimno - powiedział, gdy szliśmy w kierunku domu. - Mam nadzieję, że uruchomiliście bojler. Marzę o gorącej kąpieli i o ubraniu się w coś ciepłego.

- Oczywiście - odpowiedziałem. - Humphrey o wszystkim pomyślał. Ja bym chyba o tym nie pamiętał.

Wkrótce Ransom zniknął w kłębach pary buchających z łazienki, a Humphrey i ja zasypywaliśmy go pytaniami stojąc na półpiętrze.

- Ta teoria Schiaparelliego jest całkowicie błędna! - odkrzykiwał Ransom. - Mają normalny dzień i normalną noc... Nie, pięta mnie nie boli... no, może dopiero zaczyna... Tak, może jakieś stare ubranie. Zostawcie je na krześle... Och nie, bardzo dziękuję, ale jakoś nie mam ochoty na bekon z jajkiem. Nie ma żadnych owoców?... Nie szkodzi, może być chleb i owsianka... Za pięć minut będę gotowy...

Nieustannie też dopytywał się, czy naprawdę nic nam nie jest. Zszedłem na dół, aby przygotować śniadanie, a Humphrey został, chcąc zbadać i opatryć ranę w jego stopie. Kiedy w końcu przyszedł do kuchni, oglądałem właśnie jeden z czerwonych płatków, którymi wysłana była trumna.

- Spójrz, jakie to piękne - powiedziałem wręczając go Humphreyowi.

- Rzeczywiście - przyznał, przyglądając mu się badawczo okiem naukowca. - Cóż za niezwykła delikatność! Nasz angielski fiołek wyglądałby przy nim jak pospolite zielsko.

- Warto by włożyć trochę tych kwiatów do wody.
- E, chyba nic z tego nie będzie. Zobacz, już więdną.
- Co myślisz o stanie Ransoma?
- Ogólnie biorąc, pierwszorzędny. Nie podoba mi się tylko ta pięta.

Mówi, że krwawi już od dawna.

W tej chwili zszedł Ransom, kompletnie ubrany. Nalałem wszystkim herbaty. Cały ten dzień i część nocy spędziliśmy na słuchaniu jego opowieści.

3

Ransom nie opisał nam nigdy podróży w niebiańskiej trumnie. Twierdził, że nie potrafi. Jeśli mogę coś o niej powiedzieć, to tylko na podstawie dziwnych uwag i aluzji, jakie zdarzało mu się od czasu do czasu wygłosić podczas rozmów na zupełnie inne tematy.

Z tego, co mówił, wynikało, że nie był w czasie lotu świadomy, przynajmniej w tym sensie, jaki zwykle nadajemy temu pojęciu, bo jednak doznawał jakichś szczególnych, bardzo przyjemnych odczuć. Pewnego razu ktoś mówił przy nim o „oglądaniu życia” w utartym sensie, a więc o włączeniu się po świecie i poznawaniu różnych ludzi. Obecny przy tym B., wyznawca antropozofii, powiedział wówczas coś, czego dobrze nie pamiętam, polemizując z takim rozumieniem „oglądania życia”. Chodziło mu chyba o pewien system medytacji, dzięki któremu „sama forma życia” staje się widzialna dla „wewnętrzznego oka”. W każdym razie Ransom włączył się do rozmowy, niezbyt ostrożnie ujawniając, że to pojęcie wiąże się dla niego z bardzo konkretnym przeżyciem. Wywiązała się ożywiona dyskusja, w której mój przyjaciel został zasypany pytaniami. Pod ich naciskiem wyznał, że w pewnych określonych warunkach życie jawiło mu się jako „barwny kształt”. Zapytany o konkretny kolor, zrobił dziwną minę i powiedział tylko: „Ach, cóż to były za barwy!”, a potem dodał, jakby zaprzeczając samemu sobie: „Oczywiście to nie były w ogóle kolory w naszym znaczeniu”. Po tych słowach zamilkł i nie odzywał się już do końca wieczoru.

Innym razem nasz sceptycznie nastawiony znajomy, niejaki McPhee, atakował chrześcijańską doktrynę o zmartwychwstaniu ciał. Chwilowo ja byłem jego ofiarą. Przyciskał mnie do muru w typowo szkocki sposób, zadając takie pytania, jak: „A więc sądzisz, że będziesz miał wiecznie kałdun i podniebienie w świecie, w którym nie będzie żarcia? Że będziesz miał genitalia w świecie bez kopulacji? Człowieku, ale sobie użyjesz!” Na to Ransom nagle wybuchnął: „Czy nie rozumiesz, ośle, że jest różnica między życiem trans-sensualnym i życiem a-sensualnym?” Naturalnie McPhee

natychmiast skierował swe działa na niego. Z dalszej wymiany zdań wynikało, że według Ransoma po zmartwychwstaniu obecne funkcje i żądze ciała zanikną, nie dlatego, że po prostu zamrą, lecz dlatego, że zostaną, jak się wyraził, „pochłonięte”. Pamiętam, że użył też w dyskusji słów „życie trans-seksualne” i zaczął szukać jakiegoś podobnego słowa w odniesieniu do czynności jedzenia. Nowotwór „życie trans-gastronomiczne” nie przypadł mu do gustu, a że nie był jedynym filologiem w towarzystwie, rozmowa zoczyła na inne tory. Jestem jednak przekonany, że nawiązywał wówczas do swoich przeżyć z okresu podróży na Wenus.

Chyba najbardziej zagadkowa uwaga padła z jego ust przy innej okazji. Zadałem mu wówczas wprost pytanie na ten temat (a bardzo rzadko na to w ogóle pozwalał) i widząc jego niechęć do odpowiedzi, dodałem: „Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wszystko to było dla ciebie zbyt nieuchwytnie, byś to mógł ująć w słowa”. Ransom zareagował bardzo ostro jak na człowieka tak zrównoważonego: „Przeciwnie, to słowa są zbyt nieuchwytnie! Jeśli trudno mi o tym mówić, to dlatego, że to przeżycie było *zbyt konkretne* jak na możliwości naszego języka”.

To wszystko, co mogę powiedzieć o samym locie na Wenus. Jedno jest pewne: wrócił stamtąd jeszcze bardziej zmieniony niż z Marsa. Ale, rzecz jasna, mogło to być skutkiem nie tyle samego lotu, co wydarzeń, jakie miały miejsce już po wylądowaniu.

Opiszę teraz to lądowanie zgodnie z relacją Ransoma.

Obudził się (jeśli to wyrażenie właściwe) ze swego trudnego do opisanego, niebiańskiego stanu, czując, że „spada”, a więc innymi słowy wówczas, gdy znajdował się dostatecznie blisko Wenus, by odczuwać ją „w dole”. Było mu bardzo gorąco z jednego boku i bardzo zimno z drugiego, chociaż doznania te nie były aż tak silne, by mu sprawiały przykrość. W każdym razie i tak wkrótce zostały pochłonięte przez przeraźliwie białe światło, przenikające od dołu przez półprzezroczyste ścianki skrzyni. Przybierało wciąż na sile i w końcu, pomimo czarnego bandaża, jaki mu zawiązałem na oczach, stało się bardzo uciążliwe. Było to bez wątpienia *albedo*, zewnętrzna powłoka bardzo gęstej atmosfery Wenus, która odbija promienie Słońca z niesłychaną mocą. Z jakichś niewytłumaczonych powodów nie odczuwał szybko rosnącej wagi swego ciała, co - jak pamiętał - miało miejsce przed lądowaniem na Marsie. W momencie, gdy białe światło stało się naprawdę trudne do zniesienia, nagle znikło zupełnie. Wkrótce po tym poczuł zimna z lewej strony i gorąca z prawej zaczęło

słabnąć, aż w końcu ogarnęło go jednolite, łagodne ciepło. Sądzę, że znajdował się już w atmosferze Wenus - najpierw w bladym, później w coraz silniej nasyconym barwami blasku. Dominował kolor złota i miedzi, tak przynajmniej widział to przez niezupełnie przejrzyste ścianki swojej trumny, która opadała pionowo ku powierzchni planety, tak że miał uczucie, jakby zjeżdżał w ciasnej kabinie windy. Było to dość niemiłe przeżycie: niesamowita szybkość, poczucie bezradności i uwięzienia. A potem nagle ogarnęła go zielonawa ciemność, usłyszał trudny do zidentyfikowania dźwięk - pierwszy odgłos nowego świata - a jednocześnie temperatura wyraźnie się obniżyła. Jego pojazd przybrał pozycję poziomą i przestał opadać w dół - przeciwnie: zaczął się wznosić do góry! Ransom był tym tak zdumiony, że w pierwszej chwili poczytał to za złudzenie.

Od pewnego czasu musiał nieświadomie poruszać kończynami, bo nagle stwierdził, że ściany jego ciasnego więzienia ustępują pod naciskiem. Tak, naprawdę *poruszał* rękami i nogami w czymś, co sprawiało wrażenie kleistej mazi.

Co się stało z trumną? Doznawał teraz niesamowitych, sprzecznych odczuć. Czasem zdawało mu się, że opada, czasem, że unosi w górę, to znowu, że szybuje poziomo. Mazista substancja była biała. Miał wrażenie, że z każdą chwilą jest jej mniej... Biała, mętna substancja, barwą przypominająca tworzywo tej dziwnej trumny, tyle że na pewno nie ma cech ciała stałego... I nagle, z dreszczem zgrozy, uświadomił sobie, że to *jest* jego skrzynia, jego kosmiczny pojazd, topniejący, rozpływający się w trudnej do opisanego mieszaninie barw, ustępujący miejsca bogatemu, mieniącemu się i zmieniającemu światu, w którym nic, przynajmniej w tym momencie, nie było namacalne. Jeszcze chwila - i skrzynia przestała istnieć. Był uwolniony - przekazany - samotny. Był na Perelandrze.

Jego pierwsze wrażenie bardzo trudno opisać słowami. Zobaczył coś ukośnego, jakby patrzył na fotografię zrobioną krzywo ustawionym aparatem. Ale i to wrażenie trwało zaledwie chwilę. Pierwsza pochyłość ustąpiła miejsca drugiej, o innym kącie nachylenia, potem obie wystrzeliły w górę, połączyły się i utworzyły szczyt, lecz już w następnej chwili ów szczyt spłaszczył się do linii poziomej, a potem ta linia pochyliła się i oto była już krawędzią gigantycznego, lśniącego zbocza, które pomknęło ku niemu z przerażającą szybkością. W tym samym momencie poczuł, że coś unosi go w górę, coraz wyżej i wyżej, aż zdawało mu się, iż dosięgnął płomienistej złotej kopuły, która wisiała nad nim zastępując sklepienie nieba. Był już na samym szczycie. Ujrzał otwierającą się pod nim

bezkresną dolinę, połyskującą szklistą zielenią i poznaczoną jak marmur białymi, pienistymi żyłami, i prawie w tej samej chwili runął w tę zieloną czeluść z szybkością trzydziestu mil na godzinę. Nagle uświadomił sobie, że całe jego ciało nurza się w cudownym chłodzie, że stopy nie znajdują żadnego oparcia i że od pewnego czasu wykonuje bezwiednie ruchy pływaka. Unosiła go potężna, gładka fala jakiegoś oceanu, orzeźwiającego i chłodnego po nieznośnym żarze Niebios, lecz według ziemskich pojęć ciepłego, jak wody płytkiej, piaszczystej zatoki w podzwrotnikowym klimacie. Kiedy po chwili zaczął się wznosić po wypukłym zboczu kolejnej fali, trochę wody dostało mu się do ust. Nie była słona, przypominała świeżą ziemską wodę, lecz różniła się od niej nieuchwytnym, mineralnym posmakiem. Choć nie odczuwał dotąd pragnienia, teraz ów łyk płynu sprawił mu zadziwiającą przyjemność - prawie taką, jakby po raz pierwszy w życiu zakosztował samej czystej Rozkoszy. Zanurzył rozgrzaną twarz w półprzejrzystej zieloności, a kiedy wychynął na powierzchnię, zobaczył, że ponownie jest na szczycie fali.

Nigdzie nie było lądu. Dziwnie płaskie, złociste sklepienie nieba przypominało tło średniowiecznego malowidła. Zdawało się bardzo odległe, jak lekkie cirrusy oglądane z Ziemi. Jak można się było spodziewać, ocean miał również barwę złota, nakrapianego niezliczonymi cieniami w bruzdach fal. Najbliższe fale, połyskujące złotem na szczytach, tam, gdzie chwytały światło nieba, w dole przechodziły w zieleń: najpierw szmaragdową, niżej przypominającą barwę ciemnych, lśniących butelek, jeszcze głębiej prawie granatową w cieniu sąsiednich fal.

Wszystko to Ransom uchwycił jednym krótkim spojrzeniem, gdyż natychmiast osunął się z zawrotną szybkością w kolejną cieniistą dolinę. Tym razem udało mu się przekręcić na plecy. Ujrzał, jak złote sklepienie nieba rozedrgało się szybkimi błyskami jaśniejszych światła, niby sufit łazienki z tańczącymi nań słonecznymi plamami odbitymi od wody w wannie, do której wchodzi się w letni poranek. Odgadł, że są to odbicia fal pochodzące z miejsca, w którym płynął. Jak później się okazało, zjawisko to można obserwować na tej planecie miłości przez większość dni w roku. Królowa tego oceanu może się nieustannie przeglądać w niebiańskim zwierciadle.

I znowu w górę, na sam szczyt fali - i wciąż nie widać żadnego lądu. Daleko, po lewej stronie, uchwycił spojrzeniem coś przypominającego obłok - a może to jakieś okręty? Teraz w dół, coraz niżej i niżej - zdawało mu się, że już nigdy nie dosięgnie dna wodnej doliny. Tym razem, patrząc

w górę, zauważył, że oświetlenie jest tu dziwnie przyćmione, jakby pozbawione blasku. Na Ziemi taka cudowna, rozkoszna kąpiel w ciepłych falach morza kojarzy się natychmiast z oślepiającym słońcem. Lecz tu, nad Perelandrą, nie było słońca. Woda lśniła, niebo płonęło złotem, lecz cały ten przepych barw był jakby zmatowiały; Ransom sycił się nim swobodnie, nie będąc zmuszony do mrużenia powiek. Opisując krajobraz Perelandry, użył z konieczności słów „zieleń” i „złoto”, ale tak naprawdę były one - jak mówił - zbyt szorstkie dla oddania delikatnej opalizacji i subtelnego przepychu tego ciepłego, macierzyńskiego świata. Był to świat łagodny jak pogodny wieczór, ciepły jak letnie popołudnie, cichy i zwycięski jak wczesny poranek. Chłonąc ten świat spojrzeniem, węchem, dotykiem, nie mógł się powstrzymać od głębokiego westchnienia rozkoszy.

Lecz w następnej chwili ujrzał przed sobą falę tak wysoką, że rozkosz ustąpiła nagle miejsca przerażeniu. W naszym świecie mówimy bez zająknienia o „górach wodnych” na wzburzonym morzu, chociaż największe fale nie przewyższają masztu. Tutaj to porównanie w pełni oddawało rzeczywistość. Gdyby ów potworny garb, piętrzący się nad nim, był wzgórzem na lądzie, musiałby wspinać się na jego szczyt przez całe popołudnie. Fala wchłonęła go w siebie na dnie wodnej doliny i w ciągu kilku sekund uniosła w górę, lecz zanim znalazł się na samym szczycie, z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia. Ujrzał nad sobą straszliwy grzebień: jakieś zębate, postrzępione, fantastyczne kształty - nienaturalne, bo na pozór niepełne - wieńczyły szczyt fali. Skały? Piana? Żywe potwory? Te pytania zapłonęły mu w głowie jak ostrzegawcze sygnały, lecz nie było czasu na odpowiedź. Instynktownie zamknął oczy. Kiedy je znów otworzył, osuwał się już ponownie po zboczu fali. Nie wiedział, przez co przepełnął, ale na pewno nie miał złudzenia: przed sekundą wyraźnie poczuł uderzenie w twarz. Przesunął ręką po policzku, lecz nie wyczuł zranienia. Musiało go uderzyć coś miękkiego, coś, co nie wyrządziło mu krzywdy, tylko smagnęło po twarzy jak batem, z powodu szybkości, z jaką na to wpadł. Odwrócił się znowu na wznak w chwili, gdy zaczął mknąć w górę po stromym zboczu kolejnego grzbietu. Pod sobą, na dnie przepastnej doliny, ujrzał to, co wyminał tak szczęśliwie. Był to dziwaczny obiekt o nieregularnych, pełnych krzywizn i wklęsłych kształtach, mieniący się kolorami, jak kołdra zrobiona ze skrawków różnych tkanin. Dostrzegł barwy złota, ultramaryny, purpury, gumiguty* pomarańczy, fioletu. Na dokładniejszą obserwację nie miał czasu. Czymkolwiek był ten obiekt, musiał unosić się na wodzie, bo wspiał

* Gumiguta - barwna żywica otrzymywana z soku niektórych drzew egzotycznych rodzaju *garcinia*, stosowana w malarstwie jako barwnik (przyp. tłum.).

się szybko po zboczu następnej fali i zniknął za jej grzbietem. Ransom zdążył tylko zauważyć, że przylegał do powierzchni wody jak skóra, odtwarzając jej krzywizny i załamania, bo na samym szczycie fali załamał się tak, że w połowie był już niewidoczny, a w połowie zwiślał po tej stronie grzbietu. Zachowanie obiektu przypominało trochę płat grubej rzęsy na powierzchni stawu, wiernie odtwarzający pofałdowania wody powstałe przy poruszeniach wiosła. Tylko proporcje były nieco inne, bo to coś miało powierzchnię przynajmniej trzydziestu akrów.

Słowa nie nadążają za życiem. Trzeba pamiętać, że od wylądowania Ransoma na Wenus nie minęło nawet pięć minut. Nie odczuwał zmęczenia ani poważniejszego niepokoju o swój los. Ufał tym, którzy go tu wysłali, a chłód wody i swoboda ruchów sprawiały mu prawdziwą przyjemność. Ale prócz tego czuł jeszcze coś, o czym już napomknąłem, a co trudno jest oddać słowami: jakby przesadną rozkosz działającą na wszystkie zmysły jednocześnie. Użyłem określenia „przesadna rozkosz”, bo gdy sam Ransom próbował przybliżyć mi to uczucie, powiedział, że przez pierwsze dni pobytu na Perelandrze przenikało go zdumienie z powodu braku jakiegokolwiek poczucia winy. Czuł jakąś obfitość lub nawet nadmiar rozkoszy płynącej z doznawania życia jako takiego - uczucie, które rodzaj ludzki niemal automatycznie kojarzy z zakazanymi i dalekimi od umiaru uciechami.

A jednak nowy świat potrafił być również groźny. Ledwo stracił z oczu ów dziwny, pływający obiekt, gdy poraziła go straszliwa jasność. Pochyła, błękitnofioletowa iluminacja rozświetliła cały krajobraz, tak że złoto nieba stało się niemal czarne. W jednej sekundzie dostrzegł tyle, ile nie zdołał zobaczyć od momentu wyłonienia się z zanikającej skorupy kosmicznego pojazdu. Ujrzał przed sobą bezkres fal, a daleko, gdzieś na samym krańcu tego świata, samotną, gładką kolumnę widmowej zieleni, rysującą się ostro na tle nieba - jedyny nieruchomy i pionowy kształt pośród rozkołysanego, pofałdowanego oceanu. Potem oślepiająca zorza zgasła, pogrążając świat prawie w ciemnościach. Rozległ się grzmot. Brzmiał nieco inaczej niż na Ziemi, był bardziej dźwięczny, a nawet - gdy zanikał w oddali - przywodził na myśl melodyjne dzwonięcie. Był to raczej śmiech, a nie ryk niebios. A potem zajaśniała nowa błyskawica, potem jeszcze jedna i rozszalała się burza. Napłynęły ogromne, purpurowe chmury i nagle, bez jednej kropli ostrzeżenia, lunął taki deszcz, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Nie były to strugi: woda spadająca z chmur zdawała się tylko trochę rzadsza od wody w morzu, tak że z trudem łapał powietrze. Błyskawice nieustannie rozrywały przymgloną, różową poświatę. W krótkich przerwach pomiędzy

nimi dostrzegał teraz zupełnie odmieniony świat. Czuł się tak, jakby go zawieszono w samym środku tęczy albo w obłoku różnobarwnej pary. Wypełniająca powietrze woda zmieniała morze i niebo w chaos wirujących, przejrzystych jaskrawości. Był oszołomiony, oślepiiony i po raz pierwszy trochę przestraszony. W świetle błyskawic widział tylko bezkresne morze i ową nieruchomą zieloną kolumnę na końcu świata. Nigdzie nie było lądu, nigdzie nie było nawet skrawka barwy przywodzącej na myśl brzeg.

Nieustanny grzmot ogłuszał, a woda utrudniała oddychanie. Wraz z ulewą spadały do oceanu jakieś drobne kształty; obserwując je doszedł do wniosku, że to żywe stworzenia. Przypominały uduchowione, zwiewne, pełne wdzięku żaby ubarwione jak ważki. Nie był jednak w stanie dokładniej im się przyjrzeć. Zaczynał odczuwać pierwsze oznaki zmęczenia, a orgia barw w atmosferze wprawiała go w oszołomienie. Nie potrafił określić, jak długo to wszystko trwało, zapamiętał tylko, że w pewnym momencie fale zaczęły się wyraźnie zmniejszać. Odniósł wrażenie, że zbliża się do skraju łańcucha wodnych gór, z którego spogląda na rozległą morską nizinę. Przez długi czas nie mógł jednak do niej dotrzeć, bo wody, które z daleka wydawały się spokojne, okazywały się wciąż falami tylko trochę niższymi od tych, przez które przebył. W polu widzenia pojawiły się też jakieś wielkie obiekty. Z daleka sprawiały wrażenie łańcucha wysp, lecz gdy podpłynął bliżej, zobaczył flotyllę owych dziwnych, różnobarwnych mat.

W końcu jednak morze zaczęło się naprawdę uspokajać. Ulewa minęła. Fale miały rozmiary najwyżej atlantyckie. Tęczowe barwy nie były już tak agresywne, lecz bardziej przejrzyste. Żłociste niebo wyrzało zza nich najpierw nieśmiało, a wkrótce zaśniło matowo nad całym widnokregiem. Fale wciąż mały. Ransom począł oddychać swobodniej. Był jednak naprawdę zmęczony i teraz, gdy już przeminął chaos burzy, zaczął odczuwać lęk.

Jeden z wielkich, pływających obiektów zsuwał się właśnie po zboczu fali odległej o jakieś kilkaset metrów. Obserwował go uważnie, zastanawiając się, czy nie można by na nim odpocząć. Podejrzewał jednak, że okaże się plamą gęstej rzeszy lub koroną podwodnych roślin, zbyt wiotkich, by utrzymać jego ciężar. Ale po chwili ten właśnie obiekt wypłynął na grzbiet fali i przez chwilę zawisł na tle nieba. Wcale nie był płaski. Z jego brązowej powierzchni wyrastały pierzaste, zmierzwione wypustki o różnej wysokości, prawie czarne na tle matowozłotego sklepienia. Nagle wszystkie przechyliły się w jedną stronę, gdy cały obiekt

załamał się na grzbiecie fali i zniknął mu z oczu. Niebawem jednak ujrzał inny, i to zaledwie trzydzieści metrów od siebie. Kiedy popłynął ku niemu, poczuł, jak bardzo słabe i obolałe ma ręce; po raz pierwszy przeszył go dreszcz prawdziwego przerażenia. Podpłynął blisko, by dostrzec, że to coś jest zakończone niewątpliwie roślinnymi frędzlami: wlecze za sobą ciemnoczerwony fartuch splątanych rurek, sznurów i pęcherzy. Chciał je schwytać, ale był jeszcze za daleko, zaczął więc rozpaczliwie młócić wodę rękami, bo obiekt mijał go z szybkością około dziesięciu mil na godzinę. Ponownie wyciągnął ręce, lecz garść wypustek, podobnych do rzemieni bata, wyśliznęła mu się z dłoni, boleśnie ocierając skórę. Wreszcie rzucił się do przodu i trafił całym ciałem w plątaninę bulgoczących lian i pękających z trzaskiem pęcherzy, przypominającą gęsty rosół z makaronem. W następnej chwili zdołał schwycić rękami coś bardziej stałego, przypominającego miękkie, rozmokłe drewno. Wreszcie, bez tchu i z potłuczonymi boleśnie kolanami, legł twarzą w dół na gąbczastej powierzchni. Podciągnął się z wysiłkiem nieco dalej i odetchnął z ulgą. Nie zapadła się pod nim, można na tym leżeć.

Chyba bardzo długo leżał tak na brzuchu, nie robiąc nic i nic myśląc o niczym. Kiedy w końcu przyszedł do siebie, poczuł się całkowicie wypoczęty. Przede wszystkim spostrzegł, że leży na suchej powierzchni czegoś, co przypominało gęsty wrzos, tyle że nie było zielone, lecz koloru miedzi. Zanurzył w tym ostrożnie rękę i poczuł pod palcami coś sypkiego, jak suchy piasek, ale nie było tego wiele, bo wkrótce wyczuł twardą warstwę żyłastych, ciasno splątanych włókien. Przewrócił się na plecy i przy tej okazji odkrył zadziwiającą elastyczność powierzchni, na której leżał. Nie mogło to polegać jedynie na uginaniu się owej wrzosowatej, gęstej roślinności porastającej obiekt. Odniósł raczej wrażenie, że cała pływająca wysepka jest czymś w rodzaju miękkiego materaca. Odwrócił się znowu i spojrzał w jej głąb. Przez chwilę zdawało mu się, że patrzy na kawałek lądu. Widział długą, pustą dolinę, miedzianozłotą na dnie; łagodne stoki porastał różnobarwny las. Nagle na jego oczach nastąpiła gwałtowna zmiana: dolina stała się miedzianozłotym górskim grzebieniem, a pokrywający jej zbocza las rósł teraz wierzchołkami „drzew” w dół! Ransom powinien być na to przygotowany, a jednak doznał nie lada wstrząsu. Na pierwszy rzut oka tak bardzo przypominało to prawdziwy ląd, że zapomniał, iż w rzeczywistości jest czymś w rodzaju pływającej wyspy. Wzgórza i doliny co chwila zmieniały miejsca, tak że ich mapę konturową mogłaby uchwycić tylko kamera. Taka jest właśnie natura pływających

wysp na Perelandrze. Utrwalone na czarno-białej fotografii przypominałyby do złudzenia fragmenty ziemskich krajobrazów, jednakże w rzeczywistości, choć powierzchnię mają suchą i żyzną jak ziemska gleba, ich ukształtowanie oddaje nieustanne falowanie wody pod nimi.

Konsekwencje tego złudzenia odczuł Ransom na własnej skórze. Jego rozum rozeznał się już w tym, co się dzieje, lecz nie dostosowały się jeszcze do tego jego mięśnie i nerwy. Wstał, by zrobić kilka kroków w głąb wyspy, w dół zbocza - bo akurat w tym momencie znajdował się na szczycie wzniesienia - i natychmiast upadł na twarz, nie raniąc się dotkliwie tylko z powodu elastyczności owych wrzosowatych roślin. Dźwignął się na nogi, ujrzał, że ma przed sobą dość strome zbocze - i upadł po raz drugi. Po raz pierwszy, po napięciu, w jakim się znajdował od chwili wylądowania na Perelandrze, poczuł błogostawione odprężenie i roześmiał się. Przez pewien czas tarzał się i toczył po miękkiej, wonnej murawie, jak rozbawiony uczeń.

Ale nie trwało to długo. Następne parę godzin poświęcił na naukę chodzenia. Okazało się to o wiele trudniejsze niż przyswojenie sobie marynarskiego kroku na statku, bo bez względu na to, co wyprawia morze, pokład jest zawsze czymś stałym i płaskim, natomiast to, co Ransom robił teraz, bardziej przypominało naukę chodzenia po powierzchni wody. Oddalenie się sto metrów od brzegu wyspy zajęło mu dobre kilka godzin. Był dumny, jeśli zdołał przejść pięć kroków bez upadku, z szeroko rozłożonymi rękami, z nogami ugiętymi w kolanach, gotowymi w każdej chwili na nieoczekiwane zachwianie równowagi, w nieustannym napięciu, jak człowiek uczący się chodzić po linie. Ta nauka prawdopodobnie trwałaby krócej, gdyby upadki nie były tak łagodne i gdyby nie sprawiało mu takiej przyjemności leżenie bez ruchu na miękkim materacu porostów i gapienie się w złocistą kopułę nad sobą, wsłuchiwanie w kojący szum fal i wdychanie rozkosznej woni dziwnych ziół. A potem wywijał kozły i nurkował w jakiś zalesiony wąwóz, by otworzyć oczy i stwierdzić, że siedzi na najwyższym w tym momencie szczycie wyspy i niby Robinson Crusoe spogląda z góry na łąki i lasy, aż do dalekich wybrzeży. Wytrzymał tak parę sekund bez trudu i za każdym razem bawiło go na nowo, że gdy już zdecydował się wstać, by ruszyć w dół, góry i doliny nagle zniknęły i cała wyspa stawała się płaską równiną.

W końcu dotarł jednak do zalesionej części wyspy. Poszycie stanowiły pierzaste rośliny o wysokości krzaków jeżyn i o barwie wodnych anemonów. Ponad nie wystrzelały dziwne drzewa o szaropurpurowych,

gładkich jak rury pniach, zwieńczonych rozłożystymi baldachimami o barwie przeważnie pomarańczowej, srebrnej i niebieskiej. Tutaj, przytrzymując się gładkich pni, łatwiej utrzymywał równowagę. Napętniające las zapachy trudno było porównać z czymkolwiek znanym z Ziemi. Ransom próbował je opisać mówiąc, że budziły głód i pragnienie, ale zaraz po tym dodał, iż był to zupełnie nowy rodzaj głodu i pragnienia - raczej jakaś dziwna tęsknota przenikająca z ciała do duszy i sprawiająca niebiańską rozkosz. Raz po raz przystawał, uczepiwszy się jakiegoś pnia, i wdychał łapczywie te wonie, jakby samo oddychanie nabrało wartości rytuału. A jednocześnie leśny krajobraz podlegał nieustannym zmianom ukazując formy, które na Ziemi można by spotkać w dziesiątkach różnych miejsc: raz była to równina porośnięta pionowymi wieżami drzew, raz dno głębokiego wąwozu, w którym aż się prosiło o strumień, raz lesiste zbocze, a zaraz potem szczyt wzgórza, z którego poprzez gęstwinę pochyłych pni i delikatnych zarośli prześwitywało dalekie morze. Ciszę zakłócał tylko miarowy, martwy szum fal. Ransom czuł bezmierne osamotnienie, nie sprawiające mu jednak bólu - przeciwnie, dopełniało nieziemską rozkosz posmakiem ekstazy. Jeśli odczuwał teraz jakiś lęk, to był to jedynie błąkający się w jego świadomości niepokój o stan zmysłów. W Perelandrze było coś takiego, czego nie mógł znieść ludzki mózg.

Doszedł do miejsca, w którym z drzew zwieszały się wielkie kule żółtych owoców, zebrane w kiście, jak sylwestrowe baloniki, i tych samych mniej więcej rozmiarów. Zerwał jeden i obejrzał dokładnie ze wszystkich stron. Gładka i twarda powłoka sprawiała wrażenie niezwykle mocnej, lecz gdy niechcący zadrasnął ją paznokciem, palec wszedł bez trudu w chłodne wnętrze. Po chwili wahania podniósł owoc do ust. Miał zamiar tylko spróbować chłodnego płynu wylewającego się ze szczeliny, lecz już po pierwszym małym łyku zapomniał o ostrożności. Smak, jaki poczuł, był niewątpliwie smakiem, tak jak głód i pragnienie, jakie odczuwał, były prawdziwym głodem i pragnieniem. Ale ów smak był tak niepodobny do tego, co znał z Ziemi, że nazywanie go smakiem zakrawało na akt czystej pedanterii. Czuł się tak, jakby odkrył całkowicie nowy *genus* rozkoszy, coś obcego ludziom, zupełnie nieoczekiwanego, wykraczającego poza wszelkie ziemskie konwencje. Na Ziemi o jeden łyk tego soku toczono by wojny i zdradzano swe kraje. Jego smak wymykał się wszelkim próbom klasyfikacji. Ransom nie potrafił powiedzieć, czy sok był pikantny czy słodki, aromatyczny czy zmysłowy, gęsty czy musujący. Na wszelkie takie pytania odpowiadał: „Nie, to nie to”. Kiedy odrzucił pustą łupinę owocu i

miał sięgnąć po następny, uświadomił sobie nagle, że nie jest już ani spragniony, ani głodny. Powtórzenie rozkoszy tak dojmującej, że prawie duchowej, wydawało się jednak oczywiste. W każdym razie przemawiał za tym rozum albo to, co w naszym świecie nazywamy rozumem: niemal dziecięca nieskazitelność owocu, trudy, jakie Ransom przeżył, niepewność co do przyszłości - wszystko skłaniało go do powtórzenia tego cudu. A jednocześnie coś w nim sprzeciwiało się temu „rozumowi”. Trudno przypuszczać, by sprzeciw rodził się z pożądania, bo jakie pożądanie odwróciłoby się od takiej rozkoszy? Jakakolwiek była przyczyna owego sprzeciwu, poczuł, że lepiej będzie nie sięgać po drugi owoc. Być może doznanie było tak pełne, że powtórzenie go graniczyłoby z wulgarnością, jak słuchanie tej samej symfonii dwukrotnie w ciągu jednego dnia.

Kiedy tak stał, rozmyślając nad tym i zastanawiając się, ile razy na Ziemi zrezygnował z przyjemności wbrew pożądaniu a w posłuszeństwie rzekomemu racjonalizmowi, zauważył, iż oświetlenie ulega zmianie. Za nim zrobiło się wyraźnie ciemniej, przed nim niebo i morze nie prześwitywały już przez las z dawną intensywnością. Na Ziemi wyjście z takiego lasu zajęłoby mu minutę; na tej chwiejnej wyspie trwało o wiele dłużej.

Kiedy wreszcie wydostał się na otwartą przestrzeń, uderzył go niezwykle widok. Przez cały dzień żadna zmiana tonacji złocistego sklepienia nie zdradzała położenia Słońca, lecz teraz świadczyła o nim cała połowa nieboskłonu. Sam krąg słoneczny pozostawał niewidoczny, ale nad widnokreślami spoczywał łuk zieleni tak olśniewającej, że trudno było na nią patrzeć, a nad tą zielenią roztaczał się prawie do zenitu wielki wachlarz barw podobny do rozpostartego ogona pawia. Spojrzał przez ramię i ujrzał, że cała wyspa tonie w ciemniejącym błękicie, a przez nią - i dalej, niemal do krańców tego świata - biegnie jego własny, gigantyczny cień. Morze, teraz o wiele spokojniejsze, dymiło ku niebu dziwaczными, strzelistymi fantomami niebieskiej i purpurowej mgły. Lekki, orzeźwiający wiatr podnosił mu włosy na czole. Dzień dopalał się w ostatniej feerii kolorów. Powierzchnia morza wygładzała się z każdą chwilą, zapowiadając prawdziwą ciszę morską. Ransom - samotny kapłan tych uroczystych obrzędów - usiadł ze skrzyżowanymi nogami na skraju wyspy. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że może został wysłany na bezludną planetę. Chłodny dreszcz trwogi, jaki go nagle przeszył, dodał jedynie głębi owemu nadmiarowi odczuwanej rozkoszy.

I raz jeszcze zaskoczyło go zjawisko, które rozum mógł jednak

przewidzieć. Był nagi, lecz nie odczuwał chłodu, wędrował pośród drzew okrytych owocami lata, wylegiwał się na pościeli z wonnych wrzosów - wszystko to pozwalało spodziewać się nocy niezbyt ciemnej, szarej, jak w środku lata na Ziemi. Ale nim jeszcze apokaliptyczna orgia barw zgasła na zachodzie, na wschodzie już zaległy ciemności, które w ciągu kilkunastu sekund pokryły całe niebo. Jeszcze przez chwilę utrzymywała się w zenicie czerwona łuna, w której świetle Ransom zdążył szybko powrócić do lasu. Już teraz zrobiło się tak ciemno, że z trudem odnalazł drogę, a nim ułożył się między drzewami, zapadła prawdziwa noc. Miał wrażenie, jakby go zamknięto w hermetycznie szczelnym lochu, w ciemnościach, w których nie mógł dostrzec swojej ręki tuż przed twarzą. Absolutna czerń, w której wymiary i kierunki utraciły swój sens, uciskała mu gałki oczu. Nie było księżycy, a światło gwiazd nie przebijało grubej pokrywy chmur.

Ale ta ciemność była ciepła i przyjemna. Nadpływały z niej nowe, delikatne wonie. Świat utracił wymiary, skurczył się do granic jego ciała i małego skrawka pachnącego pościeli, które kołysało go łagodnie jak hamak. Noc otuliła go jak aksamitna kołdra, pod którą poczucie samotności nie miało dostępu. Taka ciemność mogła równie dobrze zalegać jego sypialnię. Sen przyszedł nagle, jak owoc spadający w ręce, zanim dosięgną gałęzi.

4

W momencie przebudzenia Ransom doświadczył czegoś, co może się człowiekowi przytrafić jedynie poza jego światem: ujrzał rzeczywistość, a był przekonany, że to sen. Otworzył oczy i zobaczył dziwne drzewo o heraldycznych barwach, ciężkie od żółtych owoców i srebrzystych liści. Wokół podstawy granatowego pnia owinięty był mały smok pokryty czerwonożółtą łuską. Ransom od razu rozpoznał w tej scenie ogród Hesperyd i pomyślał, że nigdy jeszcze nie miał równie żywego, plastycznego snu. Gdy po jakimś czasie uświadomił sobie, że to jednak jawa, zarówno wygoda pośłania, na którym leżał, jak i to, co widział, utrzymywały go wciąż w stanie podobnym do transu. Leżąc bez ruchu w sennym oszołomieniu przypominał sobie, jak w zupełnie innym świecie, na planecie zwanej Malakandrą (teraz wydała mu się światem zimnym i archaicznym), zetknął się z prawdziwymi Cyklopami: z olbrzymem zamieszkującym jaskinię i z pasterzem. Czyżby wszystko to, co pojawia się w ziemskiej mitologii, było rozproszone po innych planetach jako rzeczywistość? Potem przemówił rozsądek: „Jesteś na obcej, nie znanej ci planecie, nagi i samotny, a to może być niebezpieczne zwierzę”.

Nie odczuwał jednak strachu. Wiedział, że krwiożerczość ziemskich zwierząt jest w skali kosmicznej wyjątkiem, a zresztą doświadczył już życzliwości stworzeń o wiele dziwniejszych. Leżał wciąż spokojnie i przyglądał się smokowi, przypominającemu jaszczurkę o karbowanym grzbiecie, wielkości dorosłego bernardyna.

Ransom uniósł się na łokciu obserwowany przez dziwne stworzenie. Rozejrzał się dookoła i stwierdził, iż wyspa jest teraz idealnie płaska. Usiadł. Między gładkimi pniami drzew lśniła niby złote zwierciadło tafli morza. Ponownie zaczął obserwować smoka. A może to istota rozumna - *hnau*, jak mówią na Malakandrze? Może został tu przysłany, aby spotkać się właśnie z nią? Nie wydawało się to prawdopodobne, ale warto było spróbować. Sformułował w myśli zdanie w języku solarnym, a potem wypowiedział je. Własny głos zabrzmiał mu w uszach dziwnie obco.

- Nieznana istota - rzekł - zostałem przysłany z Niebios do twojego świata przez sługi Maleldila. Czy powitasz mnie życzliwie?

Smok popatrzył na niego bardzo uważnie, a może nawet bardzo mądrze, po czym po raz pierwszy zamknął oczy. Nie wyglądało to na obiecujący początek rozmowy. Ransom zdecydował się wstać i stworzenie ponownie otworzyło oczy. Stał przez jakiś czas nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co robić dalej, gdy nagle smok zaczął odwijać długie cielsko z pnia. Teraz Ransom musiał przywołać całą siłę woli, by pozostać na miejscu, pomagając sobie racjonalnym wnioskiem, że niezależnie od tego, czy stworzenie jest rozumne, czy nie, ucieczka i tak nie na wiele się przyda. Smok zsunął się na ziemię, wstrząsnął ciałem i rozwinął parę lśniących, błękitnozłoty skrzydeł przywodzących na myśl nietoperza. Zatrzepotał nimi, zwinął je ponownie, spojrzał raz jeszcze na Ransoma, po czym popęłzył na brzeg wyspy kołyszając się niezdarnie i zanurzył metaliczny ryjek w wodzie. Kiedy się napił, podniósł łeb i wydał z siebie coś w rodzaju ochrypłego beku, w którym można się było doszukać pewnej melodyjności. Potem odwrócił się, raz jeszcze popatrzył uważnie na Ransoma i ruszył w jego stronę.

„To czyste szaleństwo - czekać spokojnie na tego potwora!”, przemówił znowu fałszywy rozsądek, lecz Ransom zacisnął zęby i nie ruszył się z miejsca nawet wówczas, gdy smok podszedł zupełnie blisko i zaczął szturchać jego kolana chłodnym ryjkiem. Nie miał pojęcia, jak się zachować. Mogło to być stworzenie rozumne, które w ten sposób chce się z nim porozumieć. Mogło być nierozumne, lecz przyjazne, a jeśli tak, jak powinien na to zareagować? Trudno przecież głaskać stworzenie pokryte grubymi łuskami! W tym momencie smok uczynił coś, co przekonało Ransoma, że to tylko zwierzę, bo nagle przestał się nim interesować i zaczął żarłocznie szczypać rdzawe porosty. Ransom doszedł do wniosku, że jego poczucie godności zostało w ten sposób uratowane, więc również się odwrócił i wycofał do lasu.

W pobliżu rosły drzewa uginające się pod owocami, których smak poznał już poprzedniego dnia, ale jego uwagę przykuło osobliwe zjawisko nieco dalej. Pośród ciemnej gęstwiny szarozielonych krzewów kątem oka uchwycił jakieś błyski, jakby wśród zieleni krył się odbijający słońce dach cieplarni. Przyjrzał się uważniej i stwierdził, że choć to coś nadal przypomina szkło, to znajduje się w nieustannym ruchu, bo świetliste refleksy zapalają się i gasną w spazmatycznym rytmie. Ruszył w tym kierunku, by zbadać dziwne zjawisko, gdy nagle poczuł zimny dotyk na

lewej łydce. Smok szedł za nim i znowu próbował się o niego ocierać i trącać go ryjkiem. Ransom przyspieszył kroku i zwierzę uczyniło to samo; zatrzymał się - i ono stanęło również. Kiedy zaczął iść, towarzyszyło mu, drepcząc tak blisko, że pokryty łuskami bok ocierał się o jego udo, a od czasu do czasu zimna, twarda i ciężka łapa przydeptywała mu stopę. Nie było to wcale przyjemne i zaczął poważnie przemyśliwać, jak pozbyć się tego towarzystwa, gdy nagle jego uwagę pochłonęło coś innego. Tuż nad jego głową zwieszała się z włochatej, podobnej do rury gałęzi wielka, prawie przezroczysta kula. Część powierzchni odbijała światło, reszta mieniła się barwami tęczy. A więc tym właśnie można wytłumaczyć owe refleksy świetlne błyskające wśród gęstwiny! Rozejrzał się wokół i wszędzie zobaczył setki takich migocących kul. Skupił uwagę na najbliższej i odniósł wrażenie, że się porusza, później jednak uznał to za złudzenie. Powodowany naturalnym odruchem wyciągnął rękę i dotknął kuli. W tej samej chwili głowę, twarz i ramiona oblała mu fontanna cieczy, która w tym ciepłym świetle sprawiała wrażenie lodowatej. Nozdrza wypełnił mu ostry, przenikliwy, upojny zapach, który w jakiś sposób wywołał z jego pamięci słowa Pope'a o „śmierci róży w wonnej męce”. Poczł taką rześkość, jakby dopiero teraz naprawdę obudził się ze snu. Kiedy ponownie otworzył oczy, zamknięte instynktownie w momencie wytrysku cieczy, wszystkie barwy wydały mu się bogatsze, a charakterystyczna matowość tego świata ustąpiła miejsca niezwyklej czystości i wyrazistości konturów. Ponownie, jak poprzedniego dnia, ogarnął go frenetyczny zachwył. Towarzystwo kroczącego u jego boku złocistego stworzenia nie wydawało mu się już ani groźne, ani przykre. Pogodził się nawet z myślą, że nagi człowiek i mądry smok mogą być jedynymi mieszkańcami tego pływającego raj. W tym momencie nie miał poczucia przeżywania niebezpiecznej przygody, lecz raczej ekstatyczną świadomość odtwarzania nieznanego mitu. Wystarczyło mu, że odgrywa jakąś rolę w tym niezemskim misterium.

Spojrzał jeszcze raz na najbliższe drzewo. Powłoka kuli, która go opryskała, znikła. Na końcu rurowatej gałęzi pojawił się teraz mały, drżący otworek, z którego zwisał paciorek kryształowej cieczy. Ransom rozejrzał się dookoła, zdumiony. Gaj jarzył się od połyskujących owoców, lecz po krótkiej obserwacji odkrył, że całe to zjawisko ma swój stały rytm. Każda z owych świetlistych kul stopniowo pęczniała i osiągnąwszy pewien rozmiar pękała nagle z lekkim trzaskiem, pozostawiając na murawie pod drzewem szybko niknącą, wilgotną plamę, a powietrze przenikał rozkoszny zapach i

chłód. Kule nie były wcale owocami, lecz czymś w rodzaju pęcherzy lub baniek mydlanych. Życie tych „bankowych drzew”, jak je w myśli nazwał, polegało widocznie na pobieraniu wody z oceanu, a następnie oddawaniu jej w postaci wzbogaconej dzięki szybkiej fermentacji w pełnych soku wnętrzach. Usiadł, by nasycić wzrok tym widowiskiem. Teraz zrozumiał, dlaczego ten gaj wygląda i pachnie zupełnie inaczej niż pozostała część wyspy. Każda bańka oglądana z osobna pojawiała się na macierzystej gałęzi jako kropelka nie większa od ziarnka grochu, a następnie rosła i pękała. Obejmując jednak spojrzeniem cały gaj, widziało się jedynie nieustanne słabe migotanie światła, słyszało ledwo uchwytnie zakłócenia panującej na Perelandrze ciszy, czuło w powietrzu niezwykły chłód i ożywczą świeżość woni. Człowiek urodzony na Ziemi znajdował w tym gaju większe odświeżenie, wytchnienie i pobudzenie sił witalnych niż w pozostałych częściach wyspy, a nawet w owym ciepłym, opiekuńczym oceanie. Patrząc na wspaniałą kiść świetlistych baniek, zwisającą tuż nad jego głową, Ransom pomyślał, że wystarczy tylko wstać i zanurzyć się w chłodnej kąpieli, aby odczuć zwielokrotnione, niemal magiczne odświeżenie. Powstrzymywało go jednak to samo uczucie, które poprzedniego wieczoru odwiodło go od spróbowania drugiego żółtego owocu. Nigdy nie rozumiał ludzi domagających się bisowania ulubionej arii. Uważał, że może to tylko zepsuć wrażenie. Teraz jednak zaczął to odczuwać nieco inaczej, jako zasadę mającą o wiele szerszy zasięg i głębsze znaczenie. Czy początkiem wszelkiego zła nie jest przypadkiem owo przemożne pragnienie powtarzania tych samych przyjemnych doznań, tak jakby życie było filmem, który można puścić jeszcze raz lub nawet cofnąć? Na ogół za źródło zła uważa się pieniądze... Tak, ale jakże często pieniądze są tylko gwarancją ochrony przed przypadkiem, zabezpieczeniem prawa do przeżywania wciąż i wciąż tych samych przyjemności, a więc środkiem umożliwiającym zatrzymanie lub powtórzenie filmu...

Z rozmyślań wyrwało go poczucie męczącego ciężaru na kolanach. To smok ułożył się tuż obok i wsparł długi, ciężki łeb na jego nogach.

- Czy wiesz - Ransom zagadnął go po angielsku - że okropny z ciebie nudziarz?

Smok nie zareagował na tę przyganę i Ransom doszedł do wniosku, że lepiej się z nim zaprzyjaźnić. Pogłaskał suchą, twardą głowę, ale stworzenie nie zwróciło na to najmniejszej uwagi. Przesunął rękę niżej i natrafił na bardziej miękką powierzchnię, może nawet na szczelinę w

pancerzu. Ach tak... to mu się podoba! Smok chrząknął, a spomiędzy jego szarych warg wystrzelił długi, cylindryczny język, którym wyraźnie polizał rękę człowieka. Potem przewrócił się na grzbiet odstawiając prawie biały brzuch, który Ransom zaczął ugniatać palcami. Jego przyjaźń ze smokiem rozwijała się nader pomyślnie. W końcu zwierzę usnęło.

Ransom wstał i ponownie zażył natrysku ze świetlistych baniek. Poczł się tak odświeżony i pełen wigoru, że pomyślał o posiłku. Zapomniał już, w jakiej części wyspy rosły owe żółte owoce, lecz gdy ruszył na ich poszukiwanie, odkrył, iż chodzenie sprawia mu pewną trudność. Przestraszył się, że może ciecz z baniek ma jakieś narkotyczne właściwości, ale niebawem dostrzegł przyczynę chwiejności kroków. Porośnięta czerwonozłotym wrzosem równina wydeła się w niewielkie wzgórze, które sunęło wolno w jego kierunku. Urzeczony na nowo widokiem lądu toczącego się ku niemu jak fala, zapomniał o przystosowaniu się do jego ruchu, stracił równowagę i upadł. Wstał i ruszył naprzód już z większą ostrożnością. Nie miał wątpliwości, że morze znowu zaczyna się burzyć. Kiedy dwa sąsiadujące ze sobą gaje utworzyły coś w rodzaju alei biegnącej do krawędzi tej żywej tratwy, ujrzał w perspektywie wzburzone fale, a gorący wiatr zadał z wystarczającą siłą, by potargać mu włosy. Brnąc z trudem ku wybrzeżu, natknął się na kępę krzaków obsypanych owalnymi, zielonymi jagodami, prawie trzykrotnie większymi od migdałów. Zerwał jeden owoc i przełamał na pół. Miąższ był dość suchy, gąbczasty, przypominający banan i - jak się okazało - zupełnie niezły w smaku. Nie dawał owej ekstatycznej i prawie niepokojącej rozkoszy, jaką się czuło po wypiciu soku ze złotej tykwy, lecz specyficzną przyjemność niewyszukaną potrawy, którą się przeżuwa powoli i która daje „spokojną pewność bliskiej błogości nasycenia”. Człowiek, a w każdym razie człowiek pokroju Ransoma, przy takim posiłku odczuwa potrzebę modlitwy dziękczynnej, co też uczynił. Sok ze złotych tykw domagał się raczej oratorium lub mistycznej medytacji. Ale i ten posiłek obfitował w przyjemne niespodzianki. Od czasu do czasu trafiał na owoc o jasnoczerwonym wnętrzu i smaku tak niezapomnianym wśród tysięcy innych, że zaczęłby wyszukiwać i zjadać tylko te jagody, gdyby nie głos tego samego wewnętrznego doradcy, który już dwukrotnie przemówił doń na Perelandrze.

„Na Ziemi - pomyślał Ransom - wkrótce by odkryto, jak wyhodować tylko te jagody z czerwonym miąższem i na pewno kosztowałyby o wiele więcej niż te zielone. Tak, pieniądze pozwalają wołać: *encore!* głosem nie

znoszącym sprzeciwu.”

Skończył posiłek i zaczął schodzić na brzeg, by zaspokoić pragnienie, zanim jednak tam dotarł, rzeźba terenu zdążyła się zmienić, tak że musiał iść pod górę. Wyspa przybrała postać niewielkiej kotliny jasnego łądu wtulonej między wzgórze zielonej wody. Kiedy wreszcie położył się na brzuchu i zaczął pić, doznał niezwykłego wrażenia: zanurzył twarz w wodzie położonej wyżej niż brzeg! Potem usiadł i opuścił nogi między czerwone frędzle wodorostów otaczających wyspę.

Poczucie osamotnienia przeniknęło wyraźniej do jego świadomości. Po co został tu wysłany? Czego się od niego oczekuje? Przyszła mu do głowy szalona myśl, że ten bezludny świat czekał na niego od wieków jako na pierwszego swego mieszkańca, że to on został wybrany, by zostać założycielem nowej rasy, protoplastą nowego stworzenia. Wydawało się dziwne, że długie godziny najgłębszego odosobnienia nie dręczą go teraz tak, jak jedna samotna noc na Malakandrze, Różnica, pomyślał, polega na tym, że na Marsa dostał się jedynie przez przypadek (albo dzięki czemuś, co uznał za przypadek), natomiast tutaj jest częścią jakiegoś planu. Tu nie był zdany na łaskę losu, nie był „na zewnątrz”.

Kiedy jego mały świat wznosił się na łagodne wzgórze matowo połyskującej wody, raz po raz dostrzegał w pobliżu wiele innych wysp. Różnorodność barw tych wielkich mat czy dywanów łądu była zdumiewająca. Przywodziły na myśl flotyllę jachtów w przystani podczas burzliwej pogody. Porastające je drzewa zmieniały co chwila kąt, jak maszty. Dziwnie wyglądał na szczycie fali skrawek soczystej zieleni lub aksamitnej purpury, który potem spływał leniwie w wodną rozpadlinę, rozwijając przed oczami krajobraz całej wyspy. Czasami jego wyspa i wyspa sąsiednia rozpościerały się na przeciwległych zboczach tego samego parowu, tak że dzielił je tylko wąski przesmyk wody i przez moment miało się złudzenie ziemskiego krajobrazu: porośniętej lasem doliny z płynącą jej dnem rzeczką. Lecz nagle z rzekomą rzeczką działo się coś zupełnie niemożliwego: najpierw unosiła się tak wysoko, że dawne zbocza doliny zamieniały się w stoki wału, po którym płynęła, a potem jeszcze wyżej, przesłaniając połowę widnokręgu, aby w końcu stać się potężnym, zielonozłotym grzbietem wodnym wiszącym na niebie i grożącym potopem skrawkowi łądu, na którym się stało. Tymczasem ów łąd - przez chwilę wklęsły i osuwający się do stóp następnej fali - wspinał się już chyżo na jej szczyt, wybrzusząc się ponownie w zalesiony garb.

Nagle rozległ się świszczący, jazgotliwy dźwięk. Ransom wzдрыgnął się.

Przez chwilę miał wrażenie, że jest w Europie, a nad głową przelatuje mu samolot. Niebawem rozpoznał jednak swego przyjaciela smoka, który z wyprostowanym ogonem, podobny do latającej gąsienicy, leciał w stronę odległej o pół mili wyspy. Śledząc spojrzeniem kierunek jego lotu, ujrzał dwa rzędy skrzydlatych istot - czarnych na tle nieba - zbliżających się do tej samej wyspy z dwóch stron. Nie były to jednak gady o skrzydłach nietoperza. Wytężając wzrok, bo odległość była dość duża, doszedł do wniosku, że to ptaki. Za chwilę powiew wiatru przyniósł melodyjny świergot, co utwierdziło go w tym przekonaniu. Ptaki, chyba nieco większe od łabędzi, zmierzały wyraźnie w kierunku tej samej wyspy, na którą leciał smok. Ransom śledził tę scenę z uwagą. Po chwili poczuł narastające podniecenie: coś miało się wydarzyć! O wiele bliżej, w wodzie, dostrzegł pianiste smugi, również sunące ku wyspie. Sprawiały wrażenie flotylli w zorganizowanym szyku. Zerwał się na nogi, lecz wielka fala przestoniła mu widok. Za chwilę ukazały się znowu, tym razem kilkaset metrów niżej. Srebrzyste obiekty, najwyraźniej żywe, bo posuwające się falistym ruchem i wykonujące indywidualne zwroty... Ponownie stracił je z oczu i zaklął, bo w tym ubogim w wydarzenia świecie wydały mu się godne najwyższej uwagi. O, są znowu! To na pewno ryby. Olbrzymie, obłe, przypominające delfiny, suną w dwu długich kolumnach. Niektóre wyrzucają nozdrzami fontanny tęczowej wody. Na czele płynie przodownik. Ale... ma coś dziwnego na grzbiecie... jakąś narośl czy garb... Och, gdyby tylko falowanie wody wciąż nie zakrywało przed nim tego zjawiska! Srebrzyste stworzenia prawie już dopłynęły do tamtej wyspy, a ptaki opadały, by spotkać się z nimi przy brzegu. Znowu pojawił się przodownik z wysokim garbem. A potem nastąpił moment szaleńczego, zapierającego dech zdumienia i Ransom stał już na samej krawędzi swojej wyspy, z trudem utrzymując równowagę - i wrzeszczał, wrzeszczał na całe gardło.

Bo oto w tej samej chwili, gdy przodownik dopłynął do brzegu, wyspa uniosła się wysoko na potężnej fali, tak że ciemny zarys ryby zawisł na moment na tle jasnego nieba. Nie mógł się mylić: dziwna narośl na jej grzbiecie miała wyraźnie kształt ludzkiej postaci! Postać zeskoczyła lekko na ląd i odwróciła się, nachylając ku rybie, ale za chwilę znikła, gdy cała wyspa spłynęła po zewnętrznym stoku wodnego wału. Z mocno bijącym sercem czekał, aż ujrzy ją ponownie. Tym razem wyspa nie ukazała się na tle nieba i przez sekundę lub dwie nie mógł dostrzec ludzkiej postaci. Przeszył go dreszcz zawodu. Ale wkrótce odnalazł ją znowu - wiotki, ciemny kształt poruszający się wolno na tle błękitnych zarośli. Ransom

zaczął podskakiwać, wymachiwać rękami i krzyczeć, aż zupełnie zachryptł, ale postać wciąż nie zwracała na niego uwagi. Co jakiś czas nikła mu z oczu, a kiedy odnajdywał ją ponownie, zaczynał odczuwać lęk, że jest tylko złudzeniem, jakąś przypadkową konfiguracją roślin, której jego tęsknota nadaje kształt człowieka. Zawsze jednak, nim popadł w prawdziwą rozpacz, ukazywała się ponownie tak wyraźnie, że nie mogło być mowy o pomyłce. Po jakimś czasie wzrok mu się zmęczył i zdał sobie sprawę, że im dłużej będzie wypatrywał, tym gorzej będzie widział. Nie zaprzestał jednak obserwacji.

W końcu, całkowicie wyczerpany, usiadł. Lęk przed samotnością, dotąd niezbyt uciążliwy, teraz stał się prawdziwą męką. Nie wyobrażał sobie powrotu do osamotnienia, nie ośmielał się o tym myśleć. Zachwycające, upajające piękno otoczenia znikło. Bez tej jednej, jedynej ludzkiej postaci reszta tego świata zamieniła się nagle w koszmar, w jakiś okropny loch, w którym został uwięziony. Znowu owładnęły nim podejrzania, że zaczyna ulegać halucynacjom. Ujrzał w wyobraźni samego siebie, żyjącego wiecznie na tej okropnej wyspie, zawsze samotnego, lecz wciąż nawiedzanego przez zjawy o ludzkich kształtach, które idą ku niemu z uśmiechem i wyciągniętymi ramionami, a potem znikają, gdy tylko ruszy im na spotkanie. Oparł głowę na kolanach, zacisnął zęby i próbował zaprowadzić ład w swoich myślach. Zrazu słyszał tylko swój własny oddech i liczył uderzenia serca, więc spróbował jeszcze raz i wreszcie zdołał odzyskać nieco wewnętrznego spokoju. A potem nagle olśniła go myśl, że jeśli chce zwrócić na siebie uwagę tej istoty o ludzkich kształtach, musi poczekać, aż jego wyspa znajdzie się na grzbiecie fali i wówczas stanąć tak, by dostrzegła jego sylwetkę na tle nieba.

Trzykrotnie wyczekiwał, aż brzeg, na którym stał, przybierze postać grzbietu, a wówczas powstawał, z trudem utrzymując równowagę na ruchomym łądzie i wymachując rękami. Dopiero za czwartym razem odniósł sukces. W tym momencie sąsiednia wyspa znajdowała się oczywiście niżej - jakby w dolinie. Nie miał wątpliwości, że maleńka, ciemna postać ludzka odpowiedziała mu tymi samymi gestami, a potem oderwała się od mylącego tła zielononiebieskich zarośli i zaczęła biec ku niemu - to znaczy ku krawędzi swojej wyspy - przez pomarańczową łąkę. Biegła lekko, swobodnie, najwidoczniej chwiejność powierzchni nie sprawiała jej żadnych trudności. A potem wyspa Ransoma pomknęła w dół i wielka ściana wody przegrodziła oba skrawki ładu. Teraz znalazł się na dnie wodnej doliny i po chwili ujrzał pomarańczową łąkę spływającą ku

niemu po łagodnie wybrzuszonym zboczach fali. Przesmyk pomiędzy wyspami nie mógł mieć w tej chwili więcej niż dziesięć metrów. Postać wciąż biegła. Teraz był już pewien nie tylko jej ludzkich kształtów. Był to mężczyzna - zielony mężczyzna na tle pomarańczowej łąki, zielony jak cudowny żuk w jakimś angielskim ogrodzie - zbiegający ku niemu chyżo i zwinnie po zboczach. A potem morze znowu uniosło wyspę Ransoma na szczyt fali, a zielony człowiek zmałał nagle w perspektywnym skrócie, jak aktor oglądany z najwyższej galerii w Covent Garden. Ransom stał na samym skraju swej wyspy i krzychał, wychyliwszy się niebezpiecznie do przodu. Zielony człowiek spojrzał na niego, zadzierając głowę. Najwyraźniej krzychał również, osłaniając dłońmi usta, lecz jego głos nikał w ryku morza, a za chwilę wyspa Ransoma zsunęła się w wąwóz i niebotyczna, zielona fala zakryła mu widok.

Doprawdy, trudno to było znieść. Ransom drętwiał ze strachu, że w każdej chwili odległość między wyspami może się zwiększyć. Bogu niech będą dzięki - nie tym razem! Pomarańczowy skrawek lądu przelewał się już przez grzbiet fali i spływał ku niemu w wodną czeluść. A na samym brzegu, twarzą w twarz z nim, stał ów nieznajomy. Przez sekundę spoglądał na Ransoma z wyrazem radosnego powitania i miłości. Nagle zieloną twarz wykrzywił grymas zdumienia i rozczarowania. Ransom - sam boleśnie tym zawiedziony - uświadomił sobie, że został wzięty za kogoś innego. Ten bieg, to wymachiwanie rękami, okrzyki - wszystko to nie było przeznaczone dla niego. A zielona istota wcale nie była mężczyzną - była kobietą.

Trudno właściwie powiedzieć, dlaczego tak go to zaskoczyło. Od kiedy już rozpoznał nieomylnie ludzki kształt postaci, mógł się równie dobrze spodziewać kobiety, co mężczyzny. A jednak był zaskoczony, tak zaskoczony, że dopiero wówczas, gdy obie wyspy zaczęły się osuwać w oddzielne wodne doliny, uprzytomnił sobie, że nie odezwał się do niej, tylko stał, gapiąc się jak głupiec. Teraz, kiedy zniknęła mu z oczu, ogarnęły go dręczące wątpliwości. Czyżby właśnie *to* było celem jego podróży? Spodziewał się dziwów, ale zupełnie nie był przygotowany na to, że spotka boginkę wyrzeźbioną ze szmaragdu, a jednak żywą. Nagle uprzytomnił sobie (choć nie zwrócił na to uwagi, gdy na nią patrzył), że otaczał ją dziwny orszak. Stała wśród gromady zwierząt i ptaków, jak młode drzewo wystrzelające z zagajnika. Były tam wielkie ptaki gołębiej barwy i inne, płomienistoczerwone, były smoki i stworzenia podobne do bobrów, a u jej stóp wynurzały się z wody ryby przywodzące na myśl heraldyczne godła. A

może wszystko to było złudzeniem? Może to początek halucynacji, których tak bardzo się lękał? Może jest świadkiem wskrzeszenia jeszcze jednego mitu - tym razem jeszcze groźniejszego - mitu o Kirke lub Alkione? A ów grymas na jej twarzy... Kogo oczekiwała, jeśli jego widok sprawił jej taki zawód?

Wyspa ukazała się ponownie. Zwierzęta nie były złudzeniem. Wszystkie otaczały zieloną boginię, wpatrzone w nią nieruchomo, tylko niektóre przesuwają się cicho i nieśmiało, jakby szukały swego miejsca tuż przed początkiem jakiejś uroczystości. Ptaki siedziały w długich szeregach, a nowe wciąż nadlatywały i opadały na pomarańczową łąkę przyłączając się do pozostałych. Z pobliskiego gaju bańkowych drzew wynurzyło się z pół tuzina stworzeń przypominających krótkonogie, wydłużone świny - coś w rodzaju jamników w świńskim świecie. Małe, podobne do żab stworzonka, które widział już w czasie ulewy na morzu, skakały dookoła, niekiedy ponad jej głowę, niekiedy siadając na jej ramionach, tak bajecznie kolorowe, że w pierwszej chwili wziął je za zimorodki. A Zielona Pani stała nieruchomo, ze złączonymi stopami, z rękami zwisającymi swobodnie po bokach, przyglądając mu się spokojnie, bez lęku i zdziwienia. Jej oczy nie wyrażały żadnego uczucia.

Ransom zdecydował się przemówić pierwszy.

- Pochodzę z innego świata - zaczął, używając starego języka solarnego i urwał, bo Zielona Pani uczyniła coś, czego się zupełnie nie spodziewał. Uniosła rękę i wskazała na niego, jakby zapraszała wszystkie zwierzęta, aby mu się przyjrzały. Jej twarz znowu wykrzywił grymas i przez chwilę Ransom sądził, że zacznie płakać. Zamiast tego wybuchnęła perlistym śmiechem. Zanosiła się od śmiechu, kołysała, trzęsła, aż zgięła się w pół, opierając dłonie na kolanach i raz po raz wskazywała na niego. Zwierzęta, jak nasze psy w podobnych okolicznościach, wyczuły natychmiast rozweselenie swej pani, bo zaczęły swawolić, stawać na tylne łapy, popiskiwać, chrząkać i łopotać skrzydłami. A szmaragdowa bogini wciąż wybuchała nowymi kaskadami śmiechu, aż nadeszła kolejna fala i cała wyspa zniknęła mu z oczu.

Ransom był kompletnie zbity z tropu. Czyżby eldile wysłały go na obcą planetę, by spotkał obłąkaną lub złą nimfę szydzącą z ludzi? A może to jednak halucynacje?... Wszystko na to wskazuje. Nagle olśniła go myśl, która prawdopodobnie nie przyszłaby do głowy mnie i wam: a może to nie ona jest szalona, tylko on rzeczywiście śmieszny? Spojrzał na swoje ciało. Nie ulegało wątpliwości, że jego nogi mogły kogoś rozśmieszyć, bo jedna

była czerwono-brązowa (jak ciało Tycjanowskiego satyra), a druga zupełnie biała, niemal jak skóra trędowatego. Co gorsza, ta dwubarwność cechowała całe jego ciało. Był to naturalny efekt wystawienia na silne promieniowanie słoneczne tylko jednej połowy ciała podczas podróży w kosmicznej trumnie. Czyżby na tym polegał cały dowcip? W pierwszej chwili ogarnęła go irytacja wobec istoty, która z tak błahaego powodu kwituje śmiechem pierwsze spotkanie dwóch różnych światów, po chwili jednak sam się uśmiechnął na myśl o niezbyt chlubnych początkach swojej kariery na Wenus. Przygotowany był na najgorsze niebezpieczeństwa, a tu najpierw wywołał rozczarowanie, a potem gromki śmiech... Ale uwaga! Oto Zielona Pani i jej wyspa pojawiają się znowu!

Tym razem nie śmiała się już, siedząc na samym brzegu, ze stopami zanurzonymi w wodzie i półświadomie pieszcząc podobne do gazeli stworzenie, które wtulało pyszczek w jej pachę. Trudno było uwierzyć, że tak niedawno śmiała się lub że w ogóle robiła co innego niż trwanie w tej malowniczej pozie na skraju pływającej wyspy. Ransom nigdy nie widział twarzy tak spokojnej i tak nieziemskiej, a jednocześnie tak ludzkiej w każdym rysie. Znacznie później doszedł do wniosku, iż ową nieziemskość należy przypisać całkowitemu brakowi pewnej rezygnacji, której domieszka, choćby najmniejsza, widoczna jest zawsze na ludzkich twarzach wyrażających głęboki spokój. Teraz miał przed sobą ciszę, której nigdy jeszcze nie poprzedziła burza. Ta twarz była tajemnicą: mogła wyrażać wszystko - głupotę, nieśmiertelność albo stan ducha zupełnie nie znany ludzkiemu doświadczeniu. Ogarnęło go dziwne, budzące dreszcz grozy uczucie. Na starej Malakandrze spotykał istoty w ogóle nie przypominające ludzi, które jednak przy bliższym poznaniu okazywały się rozumne i życzliwe. Pod zupełnie obcymi powłokami cielesnymi odkrywał serca podobne ludzkim sercom. Czy tym razem miało być odwrotnie? Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przymiotnik „ludzki” odnosi się do czegoś więcej niż do cielesnych kształtów czy rozumnego umysłu. Określa również tę wspólnotę krwi i doświadczenia, która jednoczy wszystkich ludzi na Ziemi. Ta istota nie należała do jego gatunku. Nie łączyły ich żadne, nawet najbardziej zawile meandry jakiegokolwiek drzewa genealogicznego. W tym sensie w jej żyłach nie płynęła ani jedna kropla „ludzkiej” krwi. Wszechświat stworzył ich gatunki zupełnie niezależnie.

Wszystko to przemknęło mu błyskawicznie przez głowę, zanim spostrzegł, że oświetlenie ulega zmianie. W pierwszej chwili pomyślał, że to sama Zielona Pani zaczyna promieniować dziwnym, elektrycznym

światłem. Jej ciało stało się bardziej niebieskie niż zielone. Ale wkrótce zorientował się, że cały krajobraz płonie błękitem i purpurą, a jednocześnie, że obie wyspy nie są już tak blisko siebie jak uprzednio. Spojrzał na niebo. Rozlewała się już na nim łuna krótkiego wieczoru. W ciągu kilku minut będzie ciemno jak w grobie... a wyspy rozłączą się, być może na zawsze! Zaczerpnął głęboko powietrza i zawołał w starym solarnym:

- Jestem przybyszem! Przychodzę w pokoju! Czy chcesz, żebym przyplłynął do twojej wyspy?

Zielona Pani spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Co to jest „pokój”? - zapytała w tym samym języku.

Ransom poczuł, że ogarnia go zniecierpliwienie. Odległość między wyspami wyraźnie rosła. Właśnie miał przemówić do niej ponownie, gdy wielka fala rozdzieliła obie wyspy i stracił ją z oczu. Grzbiet fali płonął purpurą wieczornej zorzy na tle ciemniejącego nieba. Kiedy ze szczytu następnej fali ujrzał na dnie wodnej czeluści tamtą wyspę, jej kształty zacierał już szybko gęstniejący półmrok. Bez namysłu skoczył do wody. Z początku trudno mu było oderwać się od brzegu, bo co chwila prąd znosił go między czerwone frędzle i pęcherze. Wreszcie, wyężdżając siły, zdołał się jakoś oderwać i płynął miarowymi ruchami. Nagle zapadła całkowita ciemność. Przeraził się, że nie trafi na tamtą wyspę. Nieustanne piętzenie się i opadanie wielkich fal pozbawiło go zupełnie poczucia kierunku. Jeśli dopłynie gdziekolwiek, będzie to tylko szczęśliwy przypadek. Sądząc po tym, jak długo już płynął, posuwa się chyba *wzdłuż* brzegów obu wysp zamiast przecinać wąski przesmyk. Spróbował zmienić kierunek, po chwili zwątpił w słuszność tej decyzji, chciał więc wrócić do dawnego kierunku i w rezultacie kompletnie stracił orientację. Powtarzał sobie w duchu, że musi zachować zimną krew, ale zaczął odczuwać narastające zmęczenie. Mimo to płynął wytrwale, nie wiedząc dokąd.

Nagle - a wydawało mu się, że upłynęło już wiele czasu - poczuł, że ociera się o wodorosty. Uczepił się ich i podciągnął kilka metrów, a niebawem z ciemności przed nim napłynęła fala rozkosznych woni kwiatów i owoców. Wyteżył ramiona i po chwili leżał już - bez tchu i bez sił, ale bezpieczny - na suchej, słodko pachnącej, kołyszącej się łagodnie wyspie.

5

Musiał usnąć zaraz po wydostaniu się na brzeg, bo następnym wspomnieniem był śpiew ptaka wdzierający się do jego snu. Otworzył oczy i stwierdził, że ptak nie jest senną ułudą, lecz najprawdziwszym bocianem, tyle że śpiewającym jak kanarek. Jasny, przesycony matowym blaskiem perelandryjski dzień obudził w nim przeczucie nowej przygody. Wstał, przeciągnął się i rozejrzał dookoła. Wszystko wskazywało, że nie dotarł do pomarańczowej wyspy. Musiał wylądować na tym samym kawałku żywego lądu, na którym znalazł schronienie wkrótce po wylądowaniu na Wenus. Morze było wyjątkowo spokojne, nie miał więc trudności z dotarciem na brzeg. Tu stanął, wstrzymując oddech ze zdumienia. Wyspa Zielonej Pani dryfowała tuż obok, oddzielona zaledwie półtorametrowym pasem wody, a cały krajobraz zmienił się zupełnie. Zamiast bezmiaru rozkołysanych wód, wszędzie roztaczała się płaska, zalesiona równina. Szybko rozwiązał tę zagadkę: dziesięć lub dwanaście pływających wysp zbiło się w gromadę i utworzyło krótkotrwały kontynent. A przed nim, jakby po drugiej stronie strumienia, spacerowała z pochyloną głową Pani. Zajęta splataniem błękitnych kwiatów, cicho nuciła.

Nagle urwała i odwróciła się do niego, spoglądając mu prosto w oczy.

- Wczoraj byłam młoda... - zaczęła, lecz nie dosłyszał końca zdania. Teraz, gdy już doszło do spotkania, poczuł się dziwnie oszołomiony i zbity z tropu.

Jak podkreślał to później sam Ransom, ważne, by ustrzec się nieporozumienia w ocenie tego momentu jego niezwykłej przygody. Nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, że oboje byli nadzy. Wstyd i pożądanie pozostawił tysiące mil poza sobą. Jeśli krępowała go nieco własna nagość, to nie miało to nic wspólnego z różnicą płci, a jedynie ze świadomością brzydoty i śmieszności swojego ciała. Nie raził go również kolor jej skóry, tak dobrze harmonizujący z barwami świata, w którym żyła. W tym świecie dysonansem była jego własna skóra, w połowie ziemista i blada, w połowie pokryta świeżą, niezdrową opalenizną.

Poprosił ją, by powtórzyła swoje słowa.

- Wczoraj byłam młoda, kiedy śmiałam się z ciebie. Teraz wiem, że istoty z twojego świata nie lubią, gdy się z nich śmieje.

- Mówisz, że byłaś młoda?

- Tak.

- Czy dzisiaj już nie jesteś młoda?

Zastanawiała się przez chwilę tak intensywnie, że nie zauważyła, jak kwiaty wypadły jej z rąk.

- Tak, teraz to rozumiałam - odezwała się wreszcie. - To bardzo dziwne, gdy ktoś mówi, że jest młody w momencie wymawiania tych słów. Ale jutro będę starsza. I wtedy powiem, że dzisiaj byłam młoda. Masz rację, Łaciaty Człowieku. Przynosisz ze sobą wielką mądrość.

- Co masz na myśli?

- To patrzeć za siebie i przed siebie. Widzisz, że dzień inaczej wygląda, gdy nadchodzi, inaczej, gdy już jest, i inaczej, gdy minie. Jak fale.

- Ale przecież dzisiaj jesteś niewiele starsza niż wczoraj.

- Skąd wiesz?

- Chodzi mi o to, że jedna noc to krótki okres.

Znowu się zamyśliła, a potem zaczęła mówić z rozjaśnioną twarzą:

- Tak, teraz rozumiałam! Według ciebie, czas może być długi lub krótki. Noc jest zawsze nocą, bez względu na to, co się robi, tak jak od tego drzewa do tamtego jest zawsze tyle samo kroków, bez względu na to, czy zrobisz je wolno, czy szybko. Tak, chyba masz rację... Chociaż... fale nie przychodzą zawsze w jednakowych odstępach... Widzę, że przybywasz z mądrego świata... jeśli to jest mądre. Nigdy jeszcze tego nie robiłam: wychodzić ze swego życia, stawać obok i patrzeć na nie, jakby się nie żyło. Czy w twoim świecie wszyscy to robią, Łaciaty?

- A co w ogóle wiesz o innych światach? - zapytał Ransom.

- Wiem, że poza tym złocistym dachem są Głębiny Niebios, górny świat, a dolny świat - tu zatoczyła ręką wokół siebie - nie jest wcale taki rozciągnięty, jak się wydaje, lecz zwinięty w małe kule. Małe grudki dolnego świata pływają w górnym świecie. Na najstarszych i największych są rzeczy, których nigdy nie widzieliśmy, o których nigdy nie słyszeliśmy i których w ogóle nie potrafimy zrozumieć. Ale na młodszych żyją z woli Maleldila istoty takie jak my, które mnożą się i oddychają.

- Skąd wiesz o tym wszystkim? Przecież wasz dach jest tak gęsty, że nie możecie patrzeć na Głębiny Niebios i na inne światy?

Klasnęła w dłonie, a jej twarz - dotąd bardzo poważną - rozjaśnił

uśmiech, jakiego Ransom nigdy jeszcze nie widział. Na Ziemi podobny uśmiech można znaleźć chyba tylko na twarzy dziecka, ale tu, na Perelandrze, nie miał w sobie nic dziecięcego.

- Ach, rozumiem! - zawołała. - Jestem teraz starsza. Twój świat nie ma dachu. Możesz własnymi oczami oglądać górny świat i widzieć Wielki Taniec! Żyjesz wciąż w tej grozie i w tym zachwycie, widzisz to, w co my musimy jedynie wierzyć. Czyż to nie cudowny wynalazek Maleldila? Kiedy byłam młoda, potrafiłam sobie wyobrazić piękno tylko mojego świata. Ale On potrafi myśleć o wszystkim, a wszystko może być inne.

- To właśnie jest coś, co mnie zdumiewa - rzekł Ransom. - Ty wcale nie jesteś inna. Masz kształty takie jak kobiety w moim świecie. Nie spodziewałem się tego. Byłem już w jednym obcym świecie, ale żyjące tam stworzenia są inne niż ja i ty.

- Co w tym dziwnego?

- Nie pojmuję, dlaczego różne światy rodzą podobne istoty. Czy różne drzewa rodzą takie same owoce?

- Ale ten obcy świat, w którym byłeś, jest starszy od naszych światów.

- Skąd o tym wiesz? - zdumiał się Ransom.

- Maleldil mi to mówi - odparła i w tej samej chwili w otoczeniu zaszła trudna do określenia zmiana. Światło było nadal nieco przyćmione, powietrze łagodne, a całe ciało Ransoma przenikała rozkosz, lecz owocowy gaj, w którym stał, wypełnił się nagle czymś niepojętym. Ransom poczuł się tak, jakby na barki złożono mu niezmierny ciężar. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zachwiały się i osunął na ziemię do pozycji siedzącej.

- To wszystko pojawia się teraz przed oczami mego ducha - ciągnęła malachitowa bogini. - Widzę błękitne rzeki, jakieś wielkie, pokryte futrem stworzenia i białe olbrzymy... jak one się nazywają? Ach tak, sorny... Och, jak byłoby cudownie zobaczyć je zewnętrznymi oczami, dotknąć ich... Przecież już więcej ich nie będzie... Takie rodzaje stworzeń trwają jeszcze tylko w bardzo starych światach.

- Dlaczego? - szepnął Ransom, patrząc na nią z ziemi.

- Chyba wiesz o tym lepiej niż ja - odpowiedziała. - Czyż nie w twoim świecie stało się to wszystko?

- Co się stało?

- Myślałam, że to ty opowiesz mi o tym. - Tym razem na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- O czym mówisz?

- O tym, że to w twoim świecie Maleldil po raz pierwszy przybrał te

kształty, kształty rasy mojej i twojej.

- Wiesz o tym?! - zawołał Ransom nie mogąc opanować głębokiego wzruszenia. To, co w tej chwili czuł, potrafi zrozumieć ten, kto miał kiedyś cudowny sen, z którego jednak bardzo chciał się obudzić.

- Tak, wiem o tym. Od chwili, gdy zaczęliśmy rozmawiać, Maleldil uczynił mnie starszą. Na tyle starszą, aby o tym wiedzieć.

Na jej twarzy pojawił się wyraz, jakiego Ransom nigdy jeszcze nie widział. Nie był w stanie patrzeć dłużej na tę twarz. Poczuł, że zupełnie nie panuje nad tym, co się dzieje. Zaległa długa cisza. Zanim w końcu przemówił, nachylił się i wypił trochę wody.

- O pani, czemu powiedziałaś, że takie stworzenia żyją już tylko w bardzo starych światach i skazane są na wymarcie?

- Czy jesteś aż tak młody? - zdziwiła się. - Przecież nie mogą już powrócić. Skoro nasz Umiłowany stał się człowiekiem, po cóż miałyby Rozum przyjmować inny kształt na którymkolwiek ze światów? Czy tego nie rozumiesz? To wszystko już się stało. Pośród różnych czasów jest taki, który robi gwałtowny zakręt. Po tej stronie wszystko jest już nowe. Czas nigdy się nie cofa.

- I myślisz, że tak mały świat jak mój może być tym zakrętem?

- Nie rozumiem. Nasz zakręt nie ma nic wspólnego z rozmiarami.

- A czy wiesz - Ransom zawahał się przez chwilę - czy wiesz, *dlatego* On wybrał właśnie mój świat?

Od pewnego czasu nie potrafił patrzeć wyżej niż na jej stopy, więc gdy usłyszał odpowiedź, był to tylko głos spływający do niego z powietrza.

- Tak - mówił głos - znam powód, ale nie ten, który jest wiadomy tobie. Było więcej powodów. Ja znam jeden, lecz nie mogę go tobie wyjawić, ty znasz drugi, lecz nie możesz wyjawić go mnie.

- A więc w końcu nadejdzie czas - rzekł cicho Ransom - gdy wszyscy będą ludźmi.

- Mówisz to jakby z żalem.

- Myślę, że nie rozumiem z tego wszystkiego więcej niż zwierzę. Nie bardzo wiem, co mówię. Ale wiem jedno: bardzo kochałem te puszyste stworzenia, które spotkałem na Malakandrze, w tym starym świecie. Czy mają być wymiecione z dolnego świata? Czy są tylko śmieciem w Głębiniach Niebios?

- Nie wiem, co to znaczy „śmiecie” - odpowiedziała - ani o czym właściwie mówisz. Chyba nie uważasz tych stworzeń za coś gorszego tylko dlatego, że pojawiły się wcześniej i więcej już się nie pojawią? Są tą, a nie

inną częścią dziejów. My jesteśmy po tej stronie fali, one po drugiej. Wszystko jest nowe.

Jedną z niewygodnych stron tej rozmowy było dla Ransoma to, że nie miał całkowitej pewności, kto właściwie mówi do niego w danym momencie, a przyczyną tego mogły być (ale nie musiały) wspomniane już trudności z dłuższym patrzeniem w jej twarz. Teraz poczuł chęć przerwania rozmowy. „Miał dosyć” - nie w tym na pół żartobliwym sensie, który zwykle oznacza, że nasz rozmówca przebrał miarę, lecz zupełnie dosłownie, jak człowiek, który zaspokoił pragnienie snu lub jedzenia. Jeszcze godzinę temu nie ośmieliłby się wyrazić tego otwarcie, lecz teraz powiedział bez żadnego skrępowania:

- Nie chcę dłużej rozmawiać. Wolałbym jednak przedostać się na twoją wyspę, abyśmy mogli się znowu spotkać, gdy tego zapagniemy.

- Którą z wysp nazywasz moją? - zapytała Pani.

- Tę, na której jesteś - odparł Ransom. - A jaką inną?

- Chodź - powiedziała, rozkładając ręce takim gestem, jakby cały ten świat był domem, a ona jego gospodynią.

Ześliznął się do wody i wyszedł na brzeg tuż koło niej. Potem skłonił się - trochę niezgrabnie, jak wszyscy współcześni ludzie - i odszedł do pobliskiego lasu. Nogi uginały się pod nim i trochę go bolały; odczuwał zresztą dziwne fizyczne wyczerpanie w całym ciele. Usiadł, aby nieco odpocząć, i natychmiast zapadł w głęboki sen bez marzeń.

Obudził się całkowicie odświeżony, lecz z poczuciem jakiejś niepewności. Nie miało to nic wspólnego z odkryciem, że nie jest sam. Tuż przy nim, z rykiem spoczywającym na jego nogach, leżał smok. Jedno oko miał otwarte, drugie zamknięte. Ransom uniósł się na łokciu, rozejrzał wokoło i stwierdził, że przy jego głowie czuwa inny opiekun: pokryte futrem stworzenie przypominające małego kangura, tyle że żółtego. Nigdy jeszcze nie widział czegoś równie żółtego. Kiedy się poruszył, zwierzęta zaczęły go zaczepiać i trącać, a kiedy wstał, pozwalały mu iść tylko w jednym kierunku. Smok był zbyt ciężki, aby usunąć go z drogi, a żółte stworzenie tańczyło wokół człowieka w taki sposób, że mógł iść tylko tam, gdzie ono chciało. W końcu dał za wygraną i pozwolił się im prowadzić.

Przeszli przez gaj wyższych i bardziej brązowych drzew niż te, które widział dotychczas, później przez niewielką polanę, a wreszcie przez coś w rodzaju alei z bańkowych drzew. Za tą aleją rozciągały się łąki porośnięte srebrnymi, sięgającymi mu do pasa kwiatami. Teraz dopiero zrozumiał, że

zwierzęta prowadziły go do swojej pani. Stała o kilka kroków od niego, nieruchoma, lecz wyraźnie pochłonięta czymś, co było dla niego tajemnicą; wydawało mu się, że bierze w tym udział jej umysł, a może i mięśnie. Po raz pierwszy mógł się jej przyjrzeć dokładnie, sam pozostając niezauważony. Pomyślał, że jest bardziej dziwna, niż mu się uprzednio wydawało. Nie mieściła się w żadnych ludzkich kategoriach. Gdyby namalować jej wizerunek, myślał Ransom, nie byłaby to sztuka ani religijna, ani świecka. Mieszały się w niej skrajne sprzeczności. Była piękna, naga, bezwstydną, młoda - wszystkie te cechy czyniły z niej pogańską boginię, lecz jej twarz, tak spokojna, że można by ją uznać za bezmyślną, gdyby nie niesamowita koncentracja łagodności, twarz przywodząca na myśl nagły chłód i ciszę kościoła, gdy się do niego wejdzie z nagrzaną, zgiełkliwą ulicą - ta twarz czyniła z niej Madonnę. Czułny, wewnętrzny spokój promieniujący z jej oczu przejmował Ransoma lękiem, lecz w każdej chwili mogła się roześmiać jak dziecko, pobiec przez łąkę jak Diana lub zatańczyć jak menada.

Złote niebo, płaskie i ciężkie, tak że wydawało się wisieć tuż nad jej głową, podkreślało niesamowitość tej sceny. Zwierzęta pobiegły ku swej pani, a gdy biegły przez puszystą łąkę, płoszyły setki kolorowych żab. Sprawiało to wrażenie, jakby w powietrze tryskały wielkie krople tęczy rosy. Pani odwróciła się i powitała je serdecznie. Raz jeszcze Ransom ujrzał scenę na pozór podobną do tak wielu scen ziemskich, lecz w swej wymowie zupełnie odmienną. Zielona Pani nie przypominała kobiety, która pieści konia, lub dziecka bawiącego się ze szczeniakiem. Z jej twarzy promieniowała władza, w jej pieszczotach była pewna łaskawość czy tkliwość, świadcząca o tym, że poważnie traktuje niższość swych wielbicieli, a jednocześnie w pewien sposób ją łagodzi, jakby podnosząc ich ze szczebla ulubionych zwierzątek do poziomu sług. Kiedy Ransom do niej podszedł, pochyliła się i szepnęła coś do ucha złotemu stworzeniu, a potem zwróciła się do smoka i zabeczała niemal jego głosem. Odprawione w ten sposób zwierzęta pobiegły z powrotem do lasu.

- W twoim świecie zwierzęta zdają się prawie rozumne - powiedział Ransom.

- Sprawiamy, że z dnia na dzień stają się starsze - odparła. - Czy nie na tym właśnie polega to, że są zwierzętami?

Ransoma zaintrygowało użycie przez nią liczby mnogiej.

- Przyszedłem, aby właśnie o tym z tobą pomówić - zaczął. - Maleldil przysłał mnie do waszego świata w pewnym celu. Czy wiesz, o co chodzi?

Przez chwilę stała bez ruchu, jak człowiek, który czegoś nadśłuchuje. Potem odpowiedziała:

- Nie.
- A więc musisz mnie zaprowadzić do swojego domu, do swoich bliskich.
- Bliskich? Nie wiem, o co ci chodzi.
- Mówię o twoich krewnych. O innych istotach twojego rodzaju.
- Mówisz o Królu?
- Tak! Jeśli macie króla, powinnaś mnie do niego zaprowadzić.
- Nie mogę tego uczynić - odparła. - Nie wiem, gdzie go szukać.
- A więc chodźmy do twojego domu.
- Co to jest „dom”?
- Miejsce, gdzie ludzie razem mieszkają, gdzie mają swoje rzeczy, gdzie wychowują dzieci.

- To jest mój dom - powiedziała rozkładając szeroko ręce, jakby tym gestem ogarniała całe otoczenie.

- Czy żyjesz tu samotnie? - zapytał Ransom.
- Samotnie? Co to znaczy?

Ransom westchnął i spróbował zacząć od początku.

- Zaprowadź mnie tam, gdzie spotkam inne istoty twojego gatunku.
- Jeżeli masz na myśli Króla, to już ci powiedziałam, że nie wiem, gdzie jest. Kiedyś, wiele dni temu - byliśmy wtedy bardzo młodzi - przeskakiwaliśmy z wyspy na wyspę i gdy ja byłam na jednej, a on na drugiej, nadeszła wielka fala i rozłączyła nas.

- Ale możesz chyba zaprowadzić mnie do innych istot podobnych do ciebie? Przecież oprócz ciebie i Króla muszą być inni...

- Jest tylko on! Nie wiedziałaś o tym?
- Ale przecież muszą być inni... twoi bracia, siostry, krewni, przyjaciele...
- Nie wiem, co znaczą te słowa.

Ransom poczuł, że ogarnia go rozpacz i złość.

- Kim jest ten Król?
- On jest sobą. Jest Królem - odpowiedziała po chwili wahania. - Jak w ogóle można odpowiedzieć na takie pytanie?

- Posłuchaj - rzekł Ransom, z trudem opanowując irytację - musisz przecież mieć matkę! Czy ona żyje? Gdzie jest teraz? Kiedy widziałas ją po raz ostatni?

- Ja mam matkę? - powtórzyła Zielona Pani, patrząc na niego oczami pełnymi zdumienia. - O czym ty mówisz? To ja jestem Matką.

Raz jeszcze Ransom odniósł wrażenie, że to nie ona, albo przynajmniej nie tylko ona, wypowiedziała te słowa. Nie usłyszał żadnego innego dźwięku, na morzu i w powietrzu panowała cisza, a jednak miał uczucie, jakby całą jego istotę przeniknęła potężna, chóralna muzyka. Nagle powrócił lęk, który w ciągu ostatnich minut ustąpił irytacji wobec jej bezsensownych odpowiedzi.

- Nie pojmuję cię - powiedział.

- Ani ja ciebie. Ale mój duch wielbi Maleldila, który zstępuje na niziny z Głębin Niebios i czyni mnie błogosławioną po wszystkie czasy, które toczą się ku nam jak fale. To On jest mocny, to On obdarza mnie siłą, to On napełnia puste światy swoimi dobrymi stworzeniami.

- Jeżeli jesteś matką, gdzie są twoje dzieci?

- Jeszcze nie, jeszcze nie teraz - odpowiedziała.

- A kto będzie ich ojcem?

- Król! Któż by inny? - zdziwiła się.

- Król. A kim jest jego ojciec?

- Jego ojciec? To on sam jest Ojcem.

- Czy to znaczy - powiedział Ransom wolno - że ty i on jesteście jedynymi istotami waszego gatunku w całym waszym świecie?

- Ależ oczywiście! - odpowiedziała i nagle na jej twarzy pojawił się zupełnie inny wyraz. - Och, jak ja byłam jeszcze młoda! Dopiero teraz to widzę. Przecież wiedziałam, że w starożytnym świecie hrossów i sornów żyło wiele stworzeń tych gatunków. Zapomniałam jednak, że twój świat też jest starszy niż nasz. Ach tak! Was też jest wielu! Myślałam, że i was jest tylko dwoje. Myślałam, że ty jesteś Królem i Ojcem swojego świata. A więc są już u was dzieci zrodzone z dzieci tych, którzy sami byli kiedyś dziećmi?

- Tak - potwierdził Ransom.

- Pozdrów ode mnie waszą Panią i Matkę, kiedy wrócisz do swojego Świata.

Po raz pierwszy w jej głosie pojawił się ton wyszukanej, prawie ceremonialnej uprzejmości. Ransom zrozumiał. W końcu pojęła, że nie rozmawia z równym sobie. Teraz mówiła jak królowa przesyłająca pozdrowienia drugiej królowej przez zwykłego poddanego. Z pewnym trudem wypowiedział następną zdanie:

- Nasza Pani i Matka nie żyje - powiedział.

- Co to znaczy „nie żyje”?

- To znaczy, że ludzie odchodzą od nas po pewnym czasie. Maleldil zabiera ich dusze i przenosi je gdzie indziej... do Głębin Niebios, jak

wierzemy. Nazywamy to śmiercią.

- Czemu więc dziwiłeś się, Łaciaty, że twój świat został wybrany na zakręt czasu? Żyjecie na nim, mogąc wciąż patrzeć na samo niebo, i nie dość tego, jeszcze was Maleldil tam zabiera. Naprawdę, jesteście obdarowani bardziej niż mieszkańcy wszystkich innych światów!

Ransom potrząsnął głową.

- Nie - powiedział cicho. - Wcale tak nie jest.

- Zastanawiam się - mówiła Zielona Pani - czy nie zostałeś tu przysłany, aby nam powiedzieć o *śmierci*.

- Nic nie rozumiesz! Śmierć jest straszna, ma ohydny odór. Sam Maleldil zapłakał, gdy ją ujrzął.

W jego głosie i wyrazie twarzy musiało być coś, co nią wstrząsnęło. Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale już po chwili pochłonął ją ocean bezmiernego spokoju. Zapytała, co miał na myśli.

- Nie potrafisz tego zrozumieć, Pani - rzekł - ale rzecz w tym, że w naszym świecie nie wszystkie wydarzenia są przyjemne i upragnione. Bywają takie, że każdy wolałby dać sobie odciąć ręce i nogi, byleby tylko ich uniknąć. Ale to daremne. Tych rzeczy my, ludzie, nie możemy uniknąć.

- Jak można nie pragnąć, aby nas dosięgła jedna z tych fal, które wysyła ku nam Maleldil?

Wbrew głosowi zdrowego rozsądku Ransom dał się wciągnąć w dyskusję.

- Przecież nawet ty, Pani - powiedział - już raz nie ucieszyłaś się z tego, co przyszło. Teraz wiem, że kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy, miałaś nadzieję, że to Król. Wkrótce poznałaś, że to nie on, i twoja twarz bardzo się zmieniła. Czyż nie było to wydarzenie przykre? Czy nie pragnęłaś, aby stało się inaczej?

- Och! - zawołała Zielona Pani klaszcząc w ręce, a potem odwróciła się z pochyloną głową, jakby myślała nad czymś bardzo intensywnie. - Dzięki tobie staję się starsza tak szybko, że trudno mi to znieść - dodała i odeszła kilka kroków.

Ransom rozmyślał nad tym, co właściwie się stało. Nagle odkrył, iż jej czystość i spokój nie są, jak mu się zdawało, czymś stałym i nieruchomym, jak u zwierzęcia. Są żywe, a więc mogą zamierać. Równowagę utrzymuje świadomy umysł, a zatem - przynajmniej w teorii - może ona ulec zakłóceniu. Nie ma powodu, dla którego cyklista miałby stracić równowagę na równej drodze, a jednak może się tak stać. Nie ma powodu, dla którego Zielona Pani winna opuścić swój stan szczęścia i zanurzyć się w mrocznej

psychologii rodzaju ludzkiego, a przecież nie ma takiego muru, który mógłby ją przed tym uchronić. To poczucie niestałości przeraziło go, ale gdy znowu na niego spojrzęła, zamienił szybko w myślach słowo „niestałość” na „ryzyko”, a potem na „przygodę”, a potem... potem wszystkie słowa uciekły mu z głowy. Teraz wiedział już, co chcieli wyrazić starzy mistrzowie, gdy wprowadzili aureolę. Z jej twarzy promieniowała radość i powaga, jakieś dostojeństwo męczeństwa wolnego jednak od bólu. Lecz kiedy w końcu przemówiła, jej słowa wyrażały rozczarowanie.

- Aż do tej chwili byłam tak młoda, że całe moje życie wydaje mi się teraz jakby snem. Myślałam, że jestem unoszona, a oto już wiem, że chodziłam.

Ransom zapytał, co ma na myśli.

- To, co mi ukazałeś - odpowiedziała - jest jasne jak niebo, a przecież nigdy przedtem tego nie widziałam, choć zdarzało się codziennie. Idąc do lasu, aby zerwać coś do zjedzenia, już myśli się o takim, a nie innym owocu. Później może się zdarzyć, że znajdzie się inny owoc, nie ten, o którym się myślało. Innej przyjemności się oczekiwało, a inną otrzymuje. Nigdy jednak dotąd nie zwróciłam uwagi na to, że w samym momencie znalezienia innego owocu rodzi się w umyśle coś w rodzaju odepchnięcia lub odsunięcia na bok. Obraz owocu, którego się *nie* znalazło, jest wciąż przed tobą. To trwa krótko, ale gdyby się chciało, można by zatrzymać ten obraz dłużej. To znaczy, gdyby było możliwe, by tego chcieć. Można posłać swoją duszę za tym, czego się pragnęło, zamiast zwrócić ją ku dobru, które się otrzymało. Można odrzucić prawdziwe dobro! Można zepsuć sobie smak tego prawdziwego, dobrego owocu, myśląc o innym.

- To nieco inna sprawa niż spotkanie kogoś zupełnie obcego, gdy oczekiwało się męża - przerwał jej Ransom.

- Och, właśnie dzięki temu wszystko zrozumiałam! Ty i Król różnicie się między sobą bardziej niż dwa rodzaje owoców. Radość z odnalezienia jego i radość z nowej wiedzy, jaką uzyskałam dzięki tobie, są do siebie mniej podobne niż dwa różne smaki. Kiedy różnica jest tak duża, a każda z dwu rzeczy tak wielka, wówczas ten pierwszy obraz pozostaje w umyśle przez dłuższy czas - przez wiele uderzeń serca - po tym, jak nadeszło to, czego się nie oczekiwało. I właśnie dzięki tobie, Łaciaty, poznałam ów cud i chwałę, że to ja, ja sama, odwracam się od dobra oczekiwanego ku dobru otrzymanemu. I czynię to z głębi mego własnego serca. A ktoś może mieć inne serce, serce wciąż przywiązane do tego dobra, o którym najpierw pomyślał, serce zmieniające dobro otrzymane w coś niedobrego.

- Nie widzę w tym żadnego cudu i chwały - powiedział Ransom.

Spojrzała na niego, a jej oczy zapłonęły takim triumfem, że na Ziemi mógłby uchodzić za pychę. Lecz w tym świecie nie było w nim nic z pychy.

- Sądziłam - powiedziała - że unosi mnie wola Tego, kogo kocham, lecz teraz już wiem, że to ja sama podążam za tą wolą. Sądziłam, że dobra, którymi On mnie obdarza, porywają mnie niby fale unoszące wyspy, lecz teraz wiem, że to ja sama rzucam się w nie, jakbym skakała do morza. Czuję się tak, jakbym żyła w twoim świecie bez dachu, tam gdzie ludzie chodzą nie osłonięci pod nagim niebem. Jaka to rozkosz i jaka to groza wędrować tak samemu od jednego dobra do drugiego, przechadzać się u Jego boku, tak jak On sam mógłby się przechadzać, iść obok Niego, nawet nie trzymając Go za rękę! Jak to się stało, że stworzył mnie jako istotę tak oddzieloną od Siebie? Cóż to za dziw, że zamyślił taką rzecz w Swoim umyśle? Świat jest o wiele większy, niż myślałam. Sądziłam, że chodzimy po ścieżkach, a teraz widzę, że ścieżki nie istnieją. Ścieżką jest samo wędrowanie.

- I nie lękasz się - zapytał Ransom - że trudno ci będzie odwrócić serce od rzeczy upragnionych ku tym, jakie zsyła Maleldil?

- Rozumiem... - odpowiedziała po chwili namysłu. - Fala, w którą się ktoś rzuca, może być wielka i szybka. Trzeba wówczas wyteńczyć wszystkie siły, by się na niej utrzymać. Myślisz, że On może mi zesać takie właśnie dobro?

- Tak... ale fala może być zbyt wielka i zbyt szybka na twoje siły.

- To się często zdarza w morzu. Czy nie na tym, między innymi, polega rozkosz pływania?

- Ale czy jesteś szczęśliwa bez Króla? *Czy go nie pragniesz?*

- Czy go nie pragnę?! Jakże mogłabym go nie pragnąć?

W jej odpowiedziach było coś, co zaczęło budzić w Ransomie niechęć.

- Nie możesz go tak bardzo pragnąć, skoro jesteś szczęśliwa bez niego - powiedział, sam zaskoczony oschłością głosu.

- Dlaczego? - zawołała. - Ach, łaciaty, czemu widzę na twym czole maleńkie fałdy? Czemu lekko unosisz ramiona? Czy to coś oznacza w twoim świecie?

- Nie, to nic nie znaczy - odparł szybko.

To drobne kłamstwo nabrało nagle tu, na Perelandrze, niestłuchanej wagi. Gdy tylko je wypowiedział, poczuł skurcz, jakby miał za chwilę zwymiotować, jakby srebrzyste łąki i złote niebo odrzuciły mu je w twarz niby brudną szmatę. Zmieszany gniewem, zdającym się przenikać

atmosferę, wyjął cicho:

- Nie oznacza nic, co potrafiłbym ci wytłumaczyć.

Popatrzyła na niego nowym, bardziej surowym i badawczym wzrokiem. Może w obecności pierwszego syna matki, z jakim się spotkała, poczęło w niej kiełkować mgliste przeczucie problemów, przed którym stanie, gdy sama będzie miała dzieci.

- Nasza rozmowa trwała już dostatecznie długo - powiedziała w końcu.

Ransom sądził, że Pani odwróci się i odejdzie, ale ponieważ stała bez ruchu, skłonił się i cofnął o kilka kroków. Milczała nadal i sprawiała wrażenie, jakby o nim zupełnie zapomniała. Odwrócił się więc i zaczął iść przez kwitnące łąki, aż stracił ją z oczu.

Audiencja była skończona.

6

Gdy tylko Pani znikła mu z oczu, Ransom miał ochotę przygładzić włosy, wypuścić głośno powietrze z płuc, zapalić papierosa, włożyć ręce do kieszeni, jednym słowem przejść przez cały rytuał odprężających gestów, jakie zwykle wykonuje człowiek, który wreszcie został sam po zakończeniu męczącej rozmowy. Nie miał jednak ani papierosów, ani kieszeni i, prawdę mówiąc, wcale nie czuł się samotny. Poczucie czyjejs trudnej do zniesienia Obecności, które owładnęło nim od początku rozmowy z Zieloną Panią, wcale go nie opuściło, a nawet się wzmogło, tak jakby jej towarzystwo nieco je tłumilo.

To, co odczuwał, przypominało raczej bolesne odosobnienie. Z początku było prawie nie do wytrzymania, bo (jak to ujął później w rozmowie z nami) stwarzało wrażenie dławiącej ciasnoty. Z czasem odkrył, że można nad tym zapanować. Stawało się nieznośne tylko w momentach świadomego potwierdzania swojej niezależności (odruch, by zapalić lub włożyć ręce do kieszeni, był dobrym symbolem tych chwil). „Kiedy się coś takiego czuje - mówił Ransom - samo powietrze wydaje się zbyt gęste, by nim oddychać; przestrzeń wokół jest całkowicie wypełniona, tak że zdaje się człowieka wypychać z miejsca, którego, rzecz jasna, nie jest w stanie opuścić.” Wystarczyło jednak poddać się tej Obecności, ulec temu ciśnieniu, a przestawało być nieznośnym ciężarem i natychmiast przeradzało się w radosne upojenie. Czuł się wówczas tak, jakby pił, jadł i wdychał promienne złoto, które nie tylko syci go i ożywia, lecz zaczyna z niego promieniować. Wszystko zależało od stosunku do tej Obecności: kiedy stawiał jej opór - dławiła; kiedy jej ulegał, zdawało mu się, że życie ziemskie było czymś w rodzaju próżni. Na początku te niedobre momenty zdarzały się dość często, ale wkrótce nauczył się panować nad wewnętrznymi odruchami, tak jak ranny uczy się unikania pozycji, w których ból jest wyraźnie dotkliwszy. W każdym razie z godziny na godzinę czuł się lepiej.

W ciągu tego dnia poznał dość dobrze całą wyspę. Morze było wciąż

spokojne i z łatwością przeskakiwał na sąsiednie wyspy. Zatrzymał się jednak dłużej na skraju tego krótkotrwałego archipelagu, wpatrując się w bezmiar oceanu. Opodal wznosiła się owa wysoka, zielona kolumna, którą zobaczył po raz pierwszy w kilka minut po wylądowaniu na Perelandrze. Obserwując ją teraz z odległości jednej mili, doszedł do wniosku, że to górzysta wyspa. Zielona kolumna była właściwie skupiskiem strzelistych turni przypominających dolomity o nadnaturalnej wysokości, o powierzchni tak gładkiej, że można by je lepiej porównać do filarów z Grobli Olbrzymów* powiększonych do rozmiarów gór. Ten potężny, wyniosły masyw nie wyrastał jednak bezpośrednio z morza, lecz z pofałdowanej wyżyny o płaskim brzegu. Widział doliny pokryte jakąś roślinnością, a nawet bardziej strome jary i wąwozy, podchodzące wysoko pod centralne filary. Był to całą pewnością ląd, prawdziwy stały ląd, wrośnięty w twardą skorupę planety.

Ransom nie mógł oderwać wzroku od tego lądu. Badał szczegóły krajobrazu, strukturę skał, stromiznę zboczy dolin. Niektóre bez wątpienia nadawały się do zamieszkania. Płaski brzeg wyraźnie nie nastroczał trudności przy lądowaniu, a nawet owa wielka, zielona góra, wznosząca się pośrodku, mogła się okazać do zdobycia. Zapragnął znaleźć się tam i zwiedzić ten kraj, bardziej przypominający Ziemię niż owe nietrwałe, niepewne wysepki dryfujące po oceanie.

Tego dnia nie zobaczył już Zielonej Pani. Następnego ranka popływał trochę w morzu, zjadł śniadanie i usiadł na brzegu, aby znowu popatrzeć na Stały Ląd. Nagle usłyszał za sobą głos. Obejrzał się i ujrzał ją wychodzącą z lasu, jak zwykle otoczoną orszakiem zwierząt. To, co usłyszał, było słowami powitania, lecz teraz nie zdradzała chęci do rozmowy. Stała obok niego na skraju wyspy i popatrzyła na Stały Ląd.

- Wybiorę się tam - powiedziała w końcu.
- Czy mogę ci towarzyszyć? - zapytał.
- Jeśli tylko chcesz. Ale chyba wiesz, że to Stały Ląd.
- Właśnie dlatego chciałbym po nim pochodzić. W moim świecie wszystkie lądy są stałe, więc sprawi mi to dużą przyjemność.

Aż krzyknęła ze zdumienia i spojrzała na niego z lękiem.

- Gdzie w takim razie mieszkacie? - zapytała.
- Jak to gdzie? Na lądzie.
- Ale przecież powiedziałaś, że w twoim świecie wszystkie lądy są stałe!
- No tak. Mieszkamy na stałych lądach.

* Grobla Olbrzymów - *Giant's Causeway* - skupisko bazaltowych filarów powstałych na skutek erozji skał na wybrzeżu Irlandii Północnej (przyp. tłum.).

Po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy cień przerażenia lub nawet obrzydzenia.

- Ale co wy robicie podczas nocy? - zapytała podniesionym głosem.

- Jak to co? - zdziwił się Ransom. - Oczywiście śpimy.

- Śpicie? Gdzie?

- Tam, gdzie mieszkamy. Na lądzie.

Zamyśliła się głęboko i po jakimś czasie Ransom uznał, że zakończyła rozmowę. Ale w końcu znowu przemówiła, a jej głos był już cichy i spokojny, choć jakby pozbawiony dawnego radosnego tonu.

- A więc On nie zakazał wam tego - powiedziała bardziej twierdząco niż pytająco.

- Nie - potwierdził Ransom.

- To znaczy, że w różnych światach mogą obowiązywać różne prawa.

- Czy w twoim świecie jest prawo zabraniające sypiać na Stałym Lądzie?

- Tak. On nie chce, abyśmy tam mieszkali. Możemy tam dopłynąć i przechadzać się po nieruchomej powierzchni, bo przecież cały ten świat do nas należy. Ale zostać tam... spać i obudzić się... - urwała i wzdrygnęła się.

- W naszym świecie nie mogłoby obowiązywać takie prawo - rzekł Ransom. - U nas w ogóle nie ma pływających lądów.

- Ile podobnych tobie istot żyje w waszym świecie? - zapytała nagle.

Ransom zdał sobie sprawę, że nie zna liczby mieszkańców Ziemi, spróbował jednak przybliżyć jej pojęcie wielu milionów. Spodziewał się zdumienia, lecz okazało się, że liczby nie robią na niej żadnego wrażenia.

- W jaki sposób mieścicie się wszyscy na stałym lądzie? - zapytała.

- Mamy wiele stałych lądów. Są wielkie, prawie tak wielkie jak morze.

- I możecie to znieść?! - wybuchnęła znowu. - Prawie połowa waszego świata jest martwa i pusta! Wszędzie tylko ląd i ląd, nieruchomy, przykuty do dna. Czy nie miazdży was sama myśl o tym?

- Ależ nie! - odparł Ransom. - Jest całkiem odwrotnie. Bylibyśmy nieszczęśliwi i przerażeni, gdyby cały świat był morzem, tak jak tu.

- Jak to wszystko się skończy? - zapytała nagle Zielona Pani, zwracając się bardziej do siebie niż do niego. - W ciągu kilku ostatnich godzin postarzałam się tak, że całe moje poprzednie życie wydaje się zaledwie pnem drzewa, a teraz jestem jak gałęzie wystrzelające z niego we wszystkie strony. Rozpościerają się tak szeroko, że trudno mi to znieść. Najpierw dowiedziałam się, że sama, o własnych siłach, wędruję od jednego dobra do drugiego... Tu już moje gałęzie sięgały bardzo daleko. A

teraz słyszę, że dobro nie jest jednakowe we wszystkich światach, że Maleldil zabrania w jednym świecie czegoś, na co pozwala w innym...

- Może mój świat błądzi - powiedział Ransom słabym głosem, bo przeraziło go to, czego dokonał.

- Nie, tak nie jest - zaprzeczyła natychmiast. - Sam Maleldil powiedział mi to w tej chwili. Zresztą nie może być inaczej, skoro w twoim świecie nie ma pływających wysp. Nie mówi mi jednak, dlaczego nam tego zabronił.

- Zapewne są ku temu ważne powody... - zaczął Ransom, lecz przerwał mu nagły wybuch jej śmiechu.

- Och, łaciaty, łaciaty! - zawołała, wciąż zanosząc się od śmiechu. - Jak często istoty twojego gatunku mówią!

- Bardzo mi przykro - rzekł trochę zbity z tropu.

- Dlaczego ci przykro?

- Przykro mi, jeśli uważasz, że za dużo mówię.

- Za dużo? Skąd miałabym wiedzieć, co dla ciebie jest za dużo?

- W naszym świecie mówimy, że ktoś za dużo mówi, gdy chcemy, by zamilkł.

- A dlaczego nie powiecie tego wyraźniej?

- Z czego się śmiałaś? - zapytał Ransom, bo odpowiedź na jej ostatnie pytanie przekraczała jego siły.

- Śmiałam się, łaciaty, bo podobnie jak ja dziwisz się, że Maleldil ustanowił to prawo dla jednego tylko świata. Ale ty nie masz na ten temat nic do powiedzenia, a jednak ubierasz to nic w słowa.

- A jednak *mam* coś do powiedzenia - szepnęła do siebie Ransom, po czym dodał już głośniej: - Ten zakaz nie jest wcale uciążliwy w takim świecie jak twój.

- To także są dziwne słowa. Kto by mógł myśleć, że jest uciążliwy? Gdybym kazała moim zwierzętom chodzić na głowach, wcale nie uważałyby tego za uciążliwe, przeciwnie, stałoby się to ich uciechą. Ja jestem zwierzęciem Maleldila, więc wszystkie Jego zakazy są dla mnie radością. Nie, nie to mnie dziwi. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma dwu różnych rodzajów zakazów.

- Jeden z naszych mędrców powiedział... - zaczął Ransom, lecz znowu mu przerwała:

- Poczekajmy. Zapytamy o to Króla. Myślę, łaciaty, że o tych sprawach nie wiesz o wiele więcej ode mnie.

- Ależ tak, zapytajmy Króla - rzekł Ransom i dodał: - Jeśli tylko zdołamy go odnaleźć. - A potem, całkiem bezwiednie, zawołał po angielsku: - Co to

było, u licha!

Zielona Pani również krzyknęła. Po lewej stronie nieba przemknęło coś przypominającego spadającą gwiazdę, a w kilka minut później usłyszeli łoskot.

- Co to było? - powtórzył Ransom, tym razem w starym solarnym.

- Coś spadło z Głębin Niebios - powiedziała Pani. Jej twarz wyrażała zdumienie i zaciekawienie, lecz Ransomowi wydała się dziwna, bo na Ziemi bardzo rzadko widzi się wyraz tych uczuć bez domieszki obronnego lęku.

- Myślę, że masz słuszność - powiedział. - Hej, a to co znowu?

Spokojne dotąd morze nagle wezbrało, a purpurowe frędzle wyrastające z krawędzi wyspy zaczęły się gwałtownie poruszać. Pojedyncza fala uniosła wyspę i wszystko się uspokoilo.

- Tak, to pewne, że coś spadło do morza - powiedziała Pani, po czym powróciła do przerwanej rozmowy, jakby nic się nie stało.

- Już ci mówiłam, że chcę się przedostać na Stały Ląd. Chcę to zrobić, by odnaleźć Króla. Nie ma go na żadnej z tych wysp, wszystkie dobrze przeszukałam. Jeśli wejdziemy wysoko na Stały Ląd i rozejrzemy się dookoła, będziemy widzieć daleko. Zobaczymy, czy są w pobliżu jakieś inne wyspy.

- Zróbmy to - zgodził się Ransom. - Ale... czy zdołamy tam dopłynąć?

- Nie, my tam pojedziemy - odparła Pani.

Uklękała na samym brzegu - a w jej ruchach było tyle wdzięku, że samo patrzenie na nią sprawiało Ransomowi rozkosz - i wydała z siebie trzy niskie, utrzymane na tej samej nucie dźwięki. Przez chwilę nie było żadnego odzewu. Wkrótce jednak Ransom ujrzał w wodzie liczne smugi zbliżające się szybko do brzegu, a w chwilę później morze wokół wyspy zaroilo się od wielkich srebrnych ryb, które wyskakiwały nad powierzchnię wody, wiły się i cisnęły jedna przez drugą do brzegu. Najbliższe trącały pyskami krawędź wyspy. Miały nie tylko barwę, ale i gładkość srebra. Długość największych sięgała trzech metrów, a wszystkie były masywnie zbudowane i wyglądały na bardzo silne. Trudno je porównać z jakimkolwiek ziemskim gatunkiem, bo nasadę głowy miały o wiele grubszą niż przednia część tułowia, który z kolei rozszerzał się znacznie ku ogonowi. Gdyby nie to wybrzuszenie z tyłu, przypominałyby olbrzymie kijanki, a tak przywodziły raczej na myśl brzuchatych starców o wielkich głowach i wąskich klatkach piersiowych. Zielona Pani zastanawiała się długo nad wyborem dwu z nich, lecz kiedy go dokonała, cała reszta cofnęła się o kilka metrów, a dwie szczęśliwe wybranki wykonały obrót, ustawiły

się ogonami do brzegu i czekały spokojnie, lekko poruszając płetwami.

- Teraz rób to, co ja, Łaciaty! - zawołała, siadając okrakiem na wąskiej części grzbietu prawej ryby.

Ransom poszedł za jej przykładem. Wielka głowa ryby zabezpieczała przed ześlizgnięciem się do wody. Obserwował malachitową boginkę i gdy zauważył, że lekko ścisnęła piętami boki swego wierzchowca, uczynił to samo. W chwilę później oddalali się już od wyspy z szybkością mniej więcej sześciu mil na godzinę. Nad wodą powietrze było chłodniejsze, a lekka bryza unosiła mu włosy na głowie. W świecie, w którym dotychczas tylko pływał i chodził, szybkość tej jazdy na rybie wydawała mu się zawrotna. Obejrzał się i zobaczył oddalające się szybko pierzaste, pofalowane zarysy archipelagu. Niebo wydawało się jeszcze bardziej rozległe i złote. Przed nimi dominowała w polu widzenia fantastycznie ukształtowana, kolorowa góra. Z zaciekawieniem spostrzegł, że towarzyszy im ławica srebrnych ryb - część z tyłu, większość jednak igrając w wodzie po bokach.

- Czy one zawsze ci towarzyszą? - zapytał.

- A czy w twoim świecie zwierzęta nie towarzyszą ludziom? - odpowiedziała pytaniem. - Możemy dosiąść tylko dwu ryb. Inne czułyby się bardzo pokrzywdzone, gdybyśmy im nie pozwolili sobie towarzyszyć.

- Czy dlatego, o Pani, wybierałaś tak długo te dwie?

- Oczywiście! Staram się nie dosiadać zbyt często tej samej ryby.

Łąd zbliżał się szybko i to, co z oddali wydawało się równą linią brzegową, teraz zaczęło się załamywać w zatoki i przylądki. Byli już tak blisko, że Ransom widział lekki przybór i odpływ fali na plaży, co świadczyło o nieznacznym ruchu spokojnego na pozór oceanu. Niebawem zrobiło się tak płytko, że ryby nie mogły płynąć dalej. Naśladując Zieloną Panią, Ransom przerzucił nogi na jedną stronę swojej ryby i ześliznął się do wody. Och, co za rozkosz! Stopy natrafiły na twarde, nie uginające się, gładkie kamienie! Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za stałym lądem.

Spojrzał w górę. Do zatoki zbiegał wąwóz o stromych zboczach oznaczonych czerwonymi turniami, niżej porośniętych czymś w rodzaju mchu, pomiędzy którego wystrzelało w górę nieco drzew. Miały zupełnie ziemskie kształty; gdyby je posadzono w którymś z południowych krajów, mogłyby zwrócić uwagę tylko wytrawnego botanika. Ale najlepsze było to, że środkiem doliny - powitany przez Ransoma jak kawałek ojczyzny lub raj - płynął mały, szmerzący strumień, przejrzysty, o kamienistym dnie, taki, w jakim należałoby się spodziewać pstrągów.

- Podoba ci się to miejsce, Łaciaty? - zapytała Pani.

- Tak - odpowiedział. - Przypomina mi mój świat.

Ruszyli dnem wąwozu pod górę. Kiedy znaleźli się pod drzewami, podobieństwo do ziemskiego krajobrazu zanikło. W tym świecie było o wiele mniej światła; polanki, które na Ziemi powinien pokrywać jedynie delikatny półcień, tu spowijał głęboki, leśny mrok. Wąwóz miał nie więcej niż ćwierć mili długości, dalej przechodził w ciasną rozpadlinę między niskimi skałami. Pani wspięła się zwinnie po skałach i Ransom podążył za nią, podziwiając jej siłę i zręczność. Wyszli na skraj stromej wyżyny pokrytej porostami przypominającymi nisko skoszoną trawę, tyle że bardziej błękitną niż zieloną. Jak okiem sięgnąć, równina upstrzona była białymi, puszystymi plamkami.

- Kwiaty? - zapytał Ransom.

Pani roześmiała się.

- Nie. To są łaciatki. Ich nazwę tobie nadałam.

Nie zrozumiał, o co jej chodzi, lecz nagle jasne plamki zaczęły się poruszać i pomykać ku parze przybyszów, których musiały zwietrzyć, gdyż na wyżynie dął silny wiatr. Po chwili wokół Zielonej Pani tłoczyły się dziwne stworzenia, białe w czarne łaty, wielkości owiec, lecz wielkie uszy, ruchliwe nosy i długie ogony upodobiały je raczej do olbrzymich myszy. Ich łapy, przypominające szpony lub nawet dłonie, były wyraźnie przystosowane do wspinania się po skałach. Żywiły się owymi błękitnymi porostami.

Po wymianie serdeczności z łaciatymi stworzeniami ruszyli w dalszą drogę. W dole roztaczał się bezkresny, złocisty krąg oceanu, nad nimi piętrzyły się prawie pionowo zielone filary. Ale od postawy skalnych iglic dzieliła ich jeszcze długa i uciążliwa droga. Temperatura była tu o wiele niższa, ale i tak Ransom nie czuł zimna. Duże wrażenie zrobiła na nim panująca tu cisza, nieznana na pływających wyspach, gdzie ustawicznie - choć nie zawsze się to słyszało - rozlegał się plusk wody, trzask „mydlanych baniek” i odgłosy zwierząt.

Wkraczali teraz w porośniętą błękitnym mchem jakby zatokę czy rozpadlinę między dwoma zielonymi filarami. Oglądane z dołu zdawały się stykać ze sobą, lecz kiedy weszli między nie tak głęboko, że zupełnie przesłoniły im widok, okazało się, że jest tam dość miejsca na cały batalion w rozwiniętym szyku. Im bardziej stromy stawał się żleb, tym bardziej zwężała się przestrzeń między filarami. Wkrótce wspinali się już przy pomocy rąk i kolan, aż rozpadlina między zielonymi ścianami tak się zwężyła, że musieli iść jedno za drugim. Kiedy Ransom zadarł głowę, ujrzał

tylko wąski pasek nieba między skałami. W końcu doszli do nagiej ściany około dwu i pół metra wysokości, z której jak z kamiennego działąła wyrastały korzenie dwu strasznych zębów góry. „Wiele bym dał za parę spodni”, pomyślał Ransom spoglądając na przeszkodę. Zielona Pani, która go wyprzedziła, wspięła się na palce i uniosła ręce, by uchwycić się występu skalnego na krawędzi ściany. Ujrzał, jak napina mięśnie, najwidoczniej zamierzając zawiesić się na rękach i wciągnąć na szczyt skały jednym ruchem.

- Posłuchaj! W ten sposób nie uda ci się... - zaczął bezwiednie po angielsku, ale zanim zdążył się poprawić, stała już na krawędzi urwiska.

Nie zauważył dokładnie, jak właściwie tego dokonała, ale nic nie świadczyło o tym, by włożyła w to wiele wysiłku. Jego wspinaczka była o wiele mniej efektowna i kiedy wreszcie stanął obok niej, spocony i z trudem łapiący powietrze, kolana miał boleśnie poobcierane. Widok krwi wzbudził w niej żywe zainteresowanie, a kiedy wyjaśnił jej to zjawisko jak mógł najlepiej, chciała zadrapać skórę na swoim kolanie, by zobaczyć, czy nastąpi coś podobnego. Próbował jej wytłumaczyć, na czym polega ból, ale to tylko jeszcze bardziej zachęcało ją do przeprowadzenia eksperymentu. Widocznie jednak Maleldil zakazał jej tego w ostatniej chwili, bo nagle poniechała prób.

Ransom rozejrzał się po otoczeniu. Stali na skraju niewielkiego, owalnego płaskowyzu położonego między niebotycznie wysokimi kolumnami zielonych skał. Było ich dziewięć, wszystkie wystrzelały w górę tak wysoko, że prawie całkowicie przesłaniały niebo, a w perspektywie zdawały się nachylać ku sobie na samym szczycie. Niektóre wyrastały tuż obok siebie, tak jak te dwie, między którymi weszli do wnętrza tego kamiennego kręgu; inne rozdzielało wiele metrów przestrzeni. Otoczona nimi owalną płaszczyznę, o powierzchni blisko siedmiu akrów, porastała wspaniała, bujna murawa, upstrzona drobnymi, purpurowymi kwiatami. Zawodzący śpiewnie wiatr przynosił w to surowe, górskie pustkowie fale ochłodzonej i rzeźkiej kwintesencji wszystkich zapachów bujnego, położonego w dole świata. Połyskujące między filarami morze przypominało Ransomowi, że znaleźli się na znacznej wysokości. Po wielobarwnym, rozfalowanym świecie pływających wysp z ulgą wodził wzrokiem po czystych i nieruchomych kształtach skalnych masywów. Postąpił kilka kroków, a kiedy się odezwał, wewnątrz tej gigantycznej katedralnej nawy rozbrzmiało echem jego głosu.

- Och, jak tu pięknie! Ale ty, Pani, zapewne tego nie czujesz, bo to

kraina dla ciebie zakazana... - Lecz kiedy na nią spojrzeł, zrozumiał, że się myli. Nie mógł przeniknąć tej twarzy, ale jaśniała czymś, co ponownie kazało mu opuścić oczy.

- Popatrzmy teraz na morze - powiedziała po chwili.

Bez pośpiechu okrążali owalny płaskowyż, zatrzymując się w każdej przerwie między zielonymi filarami. Z tej odległości grupa wysp, z których wyruszyli tego ranka, wydała się Ransomowi znacznie większa, niż przypuszczali. Bogactwo barw upodabniało ją do wielkiej tarczy herbowej. Dominowały kolory srebra, purpury, szafranu i - co było dla niego pewnym zaskoczeniem - połyskliwej czerni. To właśnie stamtąd wiatr przynosił zapach, który - choć słaby - działał na niego tak, jak szmer strumienia na spragnionego człowieka.

Ale we wszystkich pozostałych kierunkach rozpościerał się złoty ocean bez śladu innych wysp. Dopiero gdy okrążyli już prawie cały płaskowyż, Ransom krzyknął nagle, a w tej samej chwili Zielona Pani wskazała na coś ręką. Około dwóch mil od lądu na zielonomiedzianej powierzchni wody czernił się jakiś mały, okrągły przedmiot. Gdyby patrzyli na ziemskie morze, Ransom mógłby przysiąc, że to boja.

- Nie wiem, co to jest - powiedziała Pani. - Chyba to coś, co spadło rano z Głębin Niebios.

„Wiele bym dał za dobrą lornetkę”, pomyślał Ransom, w którym jej słowa obudziły nagle dziwny niepokój. Im dłużej obserwował ciemny, idealnie kulisty przedmiot, tym silniejsze stawały się jego podejrzenia. Miał wrażenie, że widział już kiedyś coś podobnego.

Jak wiadomo, Ransom był niegdyś na planecie zwanej przez ludzi Marsem, której prawdziwa nazwa brzmi - Malakandra. Nie został na nią przeniesiony przez eldile. Przywieźli go tam ludzie w kosmicznym statku, w pustej kuli ze stali i szkła. Mówiąc ściślej, został porwany przez awanturników, przekonanych, iż władcy Malakandry żądają od nich ofiary ludzkiej. Okazało się to nieporozumieniem. Wielki Ojarsa rządzący Malakandrą od początku jej dziejów (ten sam, którego widziałem w holu domku Ransoma) nie miał bynajmniej złych zamiarów i nie wyrządził mu krzywdy. Natomiast złe i groźne zamiary miał główny organizator całego przedsięwzięcia, profesor Weston. Był to człowiek opętany ideą, która obecnie krąży po świecie w licznych mętnych książkach, określanych zwykle jako „fantazje naukowe”, w różnego rodzaju „towarzystwach studiów międzyplanetarnych” i „klubach raketowych”, czy też między kolorowymi okładkami podejrzanych, pseudonaukowych czasopism. Idea

ta, choć wyszydzana i lekceważona przez intelektualistów, może jednak realnie zagrażać losom świata, jeśli tylko sprzymierzy się z potęgą. Głosi ona, że ludzkość, zniszczywszy środowisko naturalne macierzystej planety, musi za wszelką cenę rozprzestrzenić się po wszechświecie. Innymi słowy, trzeba pokonać bariery astronomicznych odległości, które Bóg ustanowił jako część swego rodzaju systemu kwarantanny otaczającego Ziemię. Ale na tym nie koniec. Na dnie tej idei kryje się słodka trucizna kultu fałszywej nieskończoności - szaleńcza utopia, według której da się zmusić planetę po planecie, system gwiazdny po systemie gwiazdnym, galaktykę po galaktyce, by przez nieskończoność utrzymywały ten rodzaj życia, jaki powstaje z nasienia naszego gatunku. W tę utopię, zrodzoną z nienawiści do śmierci i z lęku przed prawdziwą nieśmiertelnością, wierzą skrycie tysiące ciemnych ludzi oraz setki takich, którzy z pewnością ciemnymi nie są. Dla nich upragnionym celem jest zniszczenie lub zniewolenie innych, pozaziemskich gatunków, jeśli takie istnieją.

W osobie profesora Westona te marzenia sprzymierzyły się po raz pierwszy z potęgą. Wielki fizyk odkrył energię zdolną poruszyć pojazdy kosmiczne. A ów niewielki, ciemny obiekt, kołyszący się teraz na nieskalanych wodach Perelandry, z każdą chwilą coraz bardziej przypominał Ransomowi właśnie statek kosmiczny.

„A więc dlatego - myślał - zostałem tutaj przysłany. Nie udało mu się na Malakandrze, przybył więc tutaj. I ja, właśnie ja, mam temu zaradzić.” Przeniknęło go dojmujące poczucie nierówności sił w tej walce. Poprzednim razem - na Marsie - Weston miał tylko jednego współnika, dysponował jednak bronią palną. Ilu współników może mieć teraz? Zresztą na Marsie pokonał go nie on, Ransom, lecz eldila, a w szczególności wielki eldil, Ojarsa tamtego świata.

- Nie widziałem jeszcze żadnego eldila w twoim świecie - zwrócił się do Zielonej Pani.

- Eldila? - powtórzyła, jakby to słowo było jej obce.

- Tak, eldila. Mówię o potężnych, odwiecznych sługach Maleldila. O istotach, które nie oddychają i nie rozmnażają się, a ciała mają ze światła. Trudno je zobaczyć, ale trzeba im być posłusznym.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

- Tym razem Maleldil uczynił mnie starszą bardzo łagodnie i miło. Ukazał mi całą naturę tych błogosławionych istot. Ale *teraz*, w tym świecie, nie trzeba im być posłusznym. Należą do starego porządku, są po przeciwległej stronie fali, która odeszła i nigdy już nie wróci. Na tym

bardzo starym świecie, który odwiedziłeś, trzeba okazywać im posłuszeństwo. Rządziły kiedyś i w twoim świecie, ale to było dawno, przed tym, jak Umiłowany stał się człowiekiem. Choć... wciąż tam jeszcze trwają... Ale w naszym świecie, pierwszym, jaki się przebudził po wielkiej przemianie, nie mają władzy. Tutaj nie ma żadnych pośredników między nami a Nim. My urosiliśmy znacznie, eldile zmały. O! Teraz Maleldil mówi mi, że dla nich to właśnie jest radością i chwałą! Oddano im nas w opiekę - nas, istoty z niższego świata, które oddychają i mnożą się - tak jak słabe zwierzątka, które może zniszczyć jedno ich dotknięcie. Ich chwałą było czuwanie nad nami i czynienie nas starszymi, aż w końcu staliśmy się starsi od nich i mogą nam upaść do stóp. To wielka radość, radość, jakiej nigdy nie zaznamy. Mogę uczyć i uczyć moje zwierzęta, lecz nigdy nie staną się lepsze ode mnie. Och, to wielka radość, radość niezrównana! Oczywiście nie przewyższa tej, która jest naszym udziałem. Każda radość jest niezrównana. Owoc, który właśnie spożywamy, jest zawsze najlepszy ze wszystkich.

- A jednak jest taki eldil, dla którego nie było to wcale radością - rzekł Ransom.

- Jak to?!

- Wczoraj, Pani, mówiłaś o przywiązaniu do starego dobra i przekładaniu go nad nowe, kiedy przychodzi.

- Tak... przez kilka uderzeń serca.

- Otóż był kiedyś eldil, który przywiązał się do starego dobra na dłużej. Trwa przy nim od pradawnych czasów, zanim jeszcze stworzono świat.

- Ale przecież stare dobro przestało już być dobrem!

- Tak. Przestało być dobrem. Lecz on nadal przy nim trwa.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i już chciała coś powiedzieć, gdy ją uprzedził:

- Nie ma czasu na wyjaśnienia.

- Nie ma czasu? A co się stało z czasem? - zapytała.

- Posłuchaj uważnie - rzekł Ransom. - Ta dziwna rzecz przywędrowała tu przez Głębiny Niebios z mojego świata. Wewnątrz jest człowiek, a może nawet wielu ludzi...

- Patrz! - przerwała mu. - Teraz się dzieli na dwie części! Jedna jest duża, druga mała!

Zobaczył, że od kosmicznego statku odłączyło się coś małego i zaczęło płynąć w stronę brzegu. Przez chwilę sam był zaskoczony, lecz wkrótce doszedł do wniosku, że Weston - jeśli to był Weston - prawdopodobnie

wiedział o oceanicznej powierzchni Wenus i zabrał ze sobą coś w rodzaju lekkiej szalupy. Czyżby jednak nie brał pod uwagę przyptywów i burz, czyżby nie przewidział, że może już nigdy nie powrócić na pokład swego statku? Nie było to podobne do Westona, który zawsze zapewniał sobie drogę odwrotu, a z kolei Ransom był ostatnią osobą, która mogłaby pragnąć, aby mu się to nie udało. Weston nie mogący wrócić na Ziemię, gdyby tego chciał - to stwarzało problem nie do rozwiązania. W każdym razie, czego mógłby dokonać on sam, Ransom, bez pomocy eldilów? Znowu ogarnęło go poczucie nierówności sił, a nawet niesprawiedliwości. Cóż to za pomysł, wysłać tu jego, skromnego naukowca, aby stawiał czoło takiej sytuacji? Bardziej by się nadawał jakiś bokser albo jeszcze lepiej facet radzący sobie dobrze z pistoletem maszynowym. Żeby chociaż odnaleźć tego Króla, o którym wciąż wspomina Zielona Pani!

Podczas gdy te myśli przebiegały mu przez głowę, zaczęło do niego docierać coś innego: najpierw słaby, później coraz silniejszy pomruk.

- Spójrz! - usłyszał głos Zielonej Pani, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że wskazuje na archipelag pływających wysp. Ich powierzchnia przestała być płaska. Teraz zdał sobie sprawę, że głuchy pomruk wydają fale, wciąż jeszcze niezbyt duże jak na perelandryjską skalę, ale już załamujące się w bryzgach piany na skalistych przylądkach Stałego Lądu.

- Morze się podnosi - powiedziała Pani. - Musimy zejść i natychmiast opuścić Ląd. Wkrótce fale będą zbyt wielkie... a ja nie mogę tu zostać, gdy zapadnie noc.

- Nie, nie tędy! - zawołał Ransom. - Nie chcę, byś spotkała przybysza z mojego świata.

- Dlaczego? Przecież to ja jestem Panią i Matką tego świata. Jeśli nie ma Króla, kto prócz mnie mógłby powitać gościa?

- Ja go przywitam.

- Ty, Łaciaty? Przecież to nie jest twój świat!

- Nic nie rozumiesz - odparł Ransom. - Ten człowiek... on jest przyjacielem tego skrzywionego eldila, o którym ci mówiłem... tego, co wciąż trwa przy starym dobru.

- A więc muszę mu to wytłumaczyć - powiedziała spokojnie. - Chodźmy i uczyńmy go starszym.

Zsunęła się zwinnie po skalnej podstawie płaskowyżu i ruszyła w dół stromego wąwozu. Ransomowi zejście po gładkiej ścianie zajęło o wiele więcej czasu, lecz gdy tylko dotknął stopami mchu, pobiegł tak szybko, jak potrafił. Krzyknęła ze zdziwienia, gdy ją mijał, lecz nawet się nie obejrzał.

Widział dobrze, do której zatoczki kieruje się łódka, i całą uwagę pochłaniało mu teraz utrzymanie właściwego kierunku i pewne stawianie stóp. W czółnie siedział tylko jeden człowiek. Ransom biegł i biegł długim zboczem, starając się utrzymać równy oddech. Znalazł się w krętej dolinie; teraz co jakiś czas tracił morze z oczu. Wreszcie dotarł do brzegu zatoki. Obejrzał się i ku swemu zdumieniu ujrzał Zieloną Panią zaledwie kilka metrów za sobą. Spojrzał przed siebie. Na kamienistej plaży rozbijały się niezbyt jeszcze wysokie fale. Mężczyzna w koszuli, szortach i tropikalnym hełmie brodził po kostki w wodzie, ciągnąc za sobą brezentowe czółno. Był to niewątpliwie Weston, choć w jego twarzy było coś, co wydało się Ransomowi obce. „Za wszelką cenę - myślał gorączkowo - nie mogę dopuścić, by się spotkali.” Widział już, z jaką łatwością Weston morduje mieszkańców innej planety. Odwrócił się, rozłożył szeroko ręce, aby jej zagrozić drogę, i zawołał:

- Wróć!

Była tak blisko, że przez moment znalazła się prawie w jego ramionach. Natychmiast jednak cofnęła się i stała, lekko zdyszana po biegu, patrząc na niego ze zdziwieniem. Widział, jak otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zanim to uczyniła, dobiegł go zza pleców głos Westona, mówiącego po angielsku:

- Wolno zapytać, doktorze Ransom, co to właściwie ma znaczyć?

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, należałoby oczekiwać, że Weston będzie zaskoczony widokiem Ransoma bardziej niż Ransom widokiem jego. Jeśli jednak nawet tak było, to profesor wcale nie okazywał zaskoczenia i Ransom nie mógł się oprzeć poczuciu podziwu wobec jego niewzruszonego egotyzmu, który mu pozwalał w momencie przybycia na obcą planetę stać sobie swobodnie, promieniując wulgarną wyższością, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, z nachmurzoną twarzą i ze stopami wpartymi w tę nieziemską glebę tak pewnie, jakby stał przy kominku we własnym gabinecie.

Nagle doznał prawdziwego wstrząsu. Usłyszał, jak Weston zwraca się do Zielonej Pani, używając w sposób płynny i bezbłędny starego języka solarnego. Na Malakandrze uczony fizyk przyswoił sobie ten język bardzo powierzchownie, do czego się przyczyniła nie tylko jego lingwistyczna ignorancja, ale i pogarda wobec jej mieszkańców. Ta nowa umiejętność Westona była dla Ransoma niezrozumiałą i przykrą nowiną. Poczuł, że pozbawiono go jedyne go atutu. Teraz nie wiedział już, czego może się spodziewać. Jeżeli szale przechyliły się tak nieoczekiwanie pod jednym względem, co może nastąpić dalej?

Tymczasem Weston i Zielona Pani rozmawiali ze sobą swobodnie, lecz najwidoczniej bez wzajemnego zrozumienia.

- To nie ma sensu - mówiła Pani. - Okazuje się, że oboje nie jesteśmy dostatecznie starzy, by ze sobą rozmawiać. Fala rośnie, wracajmy na wyspy. Łaciaty, czy on też z nami wraca?

- Gdzie są nasze ryby? - zapytał Ransom.

- Miały czekać w sąsiedniej zatoce - odparła.

- A więc pospieszmy się! - rzekł Ransom, a odpowiadając na jej pytające spojrzenie, dodał: - Nie, on nie wraca z nami.

Najwidoczniej nie pojmowała jego niepokoju, ale spoglądała raz po raz na morze, dobrze znając własne powody do pośpiechu. Zaczęła się już wspinać na zbocze doliny, a Ransom ruszył za nią, gdy rozległ się okrzyk

Westona:

- Nie! Ty zostaniesz!

Ransom odwrócił się i zobaczył, że profesor mierzy do niego z rewolweru. Nagła fala gorąca, przebiegająca przez całe ciało, była jedynym objawem przestrawu. Umysł zachował jasność.

- Czy i w tym świecie chcesz zaczynać od mordy? - zapytał.

- O czym wy mówicie? - zapytała Pani, zatrzymując się i patrząc na nich z zaciekawieniem, ale bez niepokoju.

- Nie ruszaj się z miejsca, Ransom - rzekł profesor. - Ta kolorowa dziewczyna może sobie iść, dokąd chce. Im prędzej, tym lepiej.

Ransom już miał zawołać, by natychmiast skorzystała ze sposobności i uciekła, gdy zdał sobie sprawę, że to zbyt cenne. Przypuszczenie, iż orientuje się w sytuacji, było przecież zupełnie niedorzeczne; z jej punktu widzenia byli tylko dwoma przybyszami z innego świata rozmawiającymi o czymś, czego w tym momencie nie rozumiała. O wiele ważniejsza była dla niej konieczność opuszczenia Stałego Lądu przed nocą.

- Czy ty, Łaciaty, i ten drugi nie pójdziecie ze mną? - zapytała.

- Nie - odpowiedział Ransom, nie odwracając się do niej. - Być może rychło się nie spotkamy. Pozdrów ode mnie Króla, jeśli go odnajdziesz, i nie zapominaj o mnie, kiedy będziesz rozmawiała z Maleldilem. Ja zostaję tutaj.

- Spotkamy się, kiedy zechce tego Maleldil - powiedziała. - A jeśli nie, to ześle nam zamiast tego jakieś większe dobro.

Usłyszał za plecami odgłos jej kroków, a potem nastąpiła cisza. Był sam na sam z Westonem.

- Przed chwilą, doktorze Ransom - odezwał się profesor - pozwolił pan sobie na użycie słowa „mord” w odniesieniu do pewnego wydarzenia, jakie miało miejsce na Malakandrze. Chciałbym przypomnieć, że zabite wówczas stworzenie nie było człowiekiem. Poza tym niech mi będzie wolno zauważyć, że uwodzenie miejscowej dziewczyny nie jest, moim zdaniem, o wiele lepszym sposobem zaszczepiania cywilizacji na nowej planecie.

- Uwodzenie? - powtórzył Ransom. - Ach, o to ci chodzi. Myślisz, że się do niej zalecam?

- To bardzo delikatne określenie. Czy uważasz mnie za takiego naiwniaka, że mógłbym pomyśleć co innego na widok nagiego cywilizowanego mężczyzny obejmującego nagą kolorową dziewczynę w ustronnym miejscu?

- Wcale jej nie obejmowałem - odparł Ransom matowym głosem, choć

widział już bezsens usprawiedliwiania się przed Westonem. - Poza tym nikt tutaj nie nosi ubrań. Zresztą, co cię to obchodzi? Zajmij się lepiej tym, po co tu przybyłeś.

- Chcesz, bym uwierzył, że w tych warunkach żyjesz z tą kobietą w stanie seksualnej obojętności?

- Och, cóż to za kategoria! - zachnął się Ransom. - Ale dobrze, odpowiem ci. Twoje wyobrażenia o życiu na Perelandrze są w tym względzie kompletnie absurdalne. Równie dobrze można by powiedzieć, że ktoś zapomniał o istnieniu wody, bo widok Niagary nie skojarzył mu się od razu z filiżanką herbaty. Ale masz słuszość, jeśli sądzisz, że myśl o pożądaniu tej kobiety jest mi równie obca, co... co... - zamilkł, bo zabrakło mu porównania. - Nie łudź się jednak, że zależy mi na tym, czy w to wierzysz, czy nie. Zależy mi tylko na jednym: żebyś zaczął i skończył jak najprędzej z tymi wszystkimi grabieżami i spustoszeniami, jakie są celem twojej wyprawy.

Weston przyglądał mu się przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, schował rewolwer do kabury.

- Ransom - powiedział - jesteś wobec mnie bardzo niesprawiedliwy.

Umilkli obaj na kilka sekund. Długie fale uwieńczone grzywami piany wtaczały się do zatoki, zupełnie jak na Ziemi.

- Tak - odezwał się w końcu Weston. - To wielka niesprawiedliwość. Zacznę od szczerego wyznania. Możesz to wykorzystać, jeśli chcesz. Nie będę oponował. Muszę przyznać, że wybierając się na Malakandrę miałem pod pewnymi względami błędną, nawet bardzo błędną koncepcję całego problemu międzyplanetarnego.

Ransom miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Zniknięcie rewolweru uspokoiło go, a napszona wielkoduszność przemowy Westona nadawała całej scenie nieco humorystyczny charakter. Pomyślał jednak, że uczony fizyk prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu przyznaje się do błędu, i że nawet ten przebłysk pokory, choć wciąż przytłumiony dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami aroganckiej pewności siebie, nie powinien być wyszydzany, a w każdym razie nie przez niego.

- No cóż, miło mi to słyszeć - powiedział. - A na czym ten błąd polegał?

- Zaraz ci wytłumaczę - rzekł profesor. - Muszę jednak najpierw wynieść swoje rzeczy na ląd.

Wspólnymi siłami wytaszczyli na plażę brezentowe czółno, a następnie przenieśli w miejsce oddalone o około dwieście kroków ekwipunek Westona: prymus, namiot, puszki i jakieś paczki. Ransom wiedział już, że

wszystko to jest na Wenus zupełnie niepotrzebne, ale pomagał mu w milczeniu. Po kwadransie rozbili coś w rodzaju obozowiska na porośniętym mchem brzegu niewielkiego strumienia, pod drzewami o niebieskich pniach i srebrnych liściach. Potem usiedli i Ransom zaczął słuchać przemowy profesora - najpierw z zaciekawieniem, później ze zdumieniem, a w końcu z niedowierzaniem. Weston odchrząknął, wypiął pierś i zaczął mówić tak, jakby stał za profesorską katedrą. Ransom poczuł, że surrealizm tej sytuacji całkowicie go obezwładnia. Oto dwie istoty ludzkie znalazły się w zupełnie obcym świecie, w całkowicie innych, trudnych do pojęcia warunkach. Jedna jest oddzielona od swego pojazdu kosmicznego, druga dopiero co została uwolniona od zagrożenia natychmiastową śmiercią. Czyż nie kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem - czy w ogóle było do pomyślenia - że natychmiast zasiądą i rozpoczną dysputę filozoficzną, jaka byłaby na miejscu w oksfordzkim salonie dla wykładowców? A do tego właśnie zmierzał najwidoczniej Weston. Nie zdradzał żadnego zainteresowania losem swojego pojazdu, nie wydawał się nawet zaintrygowany obecnością Ransoma na Wenus. Czy to możliwe, by przemierzył trzydzieści milionów mil przestrzeni kosmicznej po to, by znaleźć sobie odpowiedniego słuchacza?

W miarę jak słuchał wywodów uczonego, utwierdzał się jednak coraz bardziej w przekonaniu, że ma do czynienia z człowiekiem opanowanym jedną manią. Jak aktor, który nie jest w stanie myśleć o czymś innym niż o swojej sławie, albo jak kochanek pochłonięty osobą swej wybranki, tak Weston trzymał się kurczowo i nużąco swojej *idee fixe*.

- Tragedią mojego życia - mówił - a zresztą i całego współczesnego świata intelektualnego, jest wąska specjalizacja wiedzy narzucona nam przez wciąż narastającą złożoność tego, co wiemy o świecie. Mój osobisty udział w tej tragedii polega na tym, że wczesne poświęcenie się fizyce nie pozwoliło mi zająć się należycie biologią, przynajmniej do pięćdziesiątki. Muszę jednak oddać sobie sprawiedliwość i podkreślić, że nigdy nie przemawiał do mnie fałszywy, humanistyczny ideał wiedzy dla samej wiedzy. Zawsze zdobywałem wiedzę po to, by dzięki niej osiągnąć coś pożytecznego. Z początku, rzecz jasna, skala tej użyteczności miała dla mnie ściśle osobisty zakres: pragnąłem tytułów naukowych, wysokich dochodów i owej ogólnie uznanej pozycji w świecie, bez której człowiek nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość. Lecz kiedy to osiągnąłem, ujrzałem nowe perspektywy: moim celem stał się pożytek całej ludzkości!

Zaokrągliwszy ostatnią frazę, umilkł efektownie i Ransom pokiwał

głową, by go zachęcić do kontynuowania.

- Pożytek całej ludzkości - ciągnął Weston - widziany w dalszej perspektywie zależy ściśle od możliwości podróży międzyplanetarnych, a nawet międzygwiazdnych. Ten problem ja właśnie rozwiązałem. Klucz do przeznaczenia rodzaju ludzkiego został złożony w moje ręce. Zupełnie niepotrzebne - a i przykre dla nas obu - byłoby przypominanie, w jaki sposób został mi wydarty na Malakandrze przez członka wrogiego, obcego gatunku, którego istnienia - przyznaję to - nie przewidziałem.

- Wcale nie jest taki wrogi - wtrącił Ransom. - Ale mów dalej.

- Trudy powrotnego lotu z Malakandry doprowadziły mój organizm do poważnego kryzysu...

- Mój również - przerwał mu Ransom.

Weston wydawał się nieco zbity z tropu tymi interwencjami, ale ciągnął dalej.

- Podczas rekonwalescencji miałem sporo czasu na rozmyślanie, z których uprzednio musiałem zrezygnować na wiele lat. Szczególnie wiele myślałem nad twoimi zastrzeżeniami wobec likwidacji nieludzkich mieszkańców Malakandry, co oczywiście byłoby niezbędnym wstępem do osiedlenia się tam ludzkiej rasy. Tradycyjna i, że tak się wyrażę, humanitarna forma, w jakiej wyrażałeś swoje zastrzeżenia, przysłoniła mi ich prawdziwą siłę. Teraz zacząłem ową siłę doceniać. Zacząłem pojmować, iż moja wyjątkowa pasja służenia wyłącznie pożytkowi ludzkości w rzeczywistości opierała się na pewnym podświadomym dualizmie.

- O co ci właściwie chodzi, Weston?

- Chodzi mi o to, że przez całe życie wspierałem całkowicie nienaukową dychotomię lub antytezę. Przeciwestawiałem człowieka naturze i w ten sposób dałem się wciągnąć w walkę ze środowiskiem naturalnym w imię interesów człowieka. Podczas mojej choroby pogrążyłem się w studiowaniu biologii, a zwłaszcza dziedziny, którą można nazwać filozofią biologii. Poprzednio, jako fizyk, uważałem, że Życie jest tematem spoza mojego pola obserwacji. Nie interesowały mnie spory zwolenników ścisłego podziału rzeczywistości na świat organiczny i nieorganiczny z tymi, co utrzymują, że Życie jest obecne w materii od samego początku. Teraz bardzo mnie to interesuje. Od razu dostrzegłem, iż nic nie świadczy o jakimś przełomie czy braku ciągłości w rozwoju procesu kosmicznego. Stałem się zagorzałym zwolennikiem powszechnej, obejmującej wszystko Ewolucji. Wszystko jest jednością. Tworzywo myśli, nie uświadomiony, lecz

celowy dynamizm, jest obecne w materii od samego początku. - Zamilkł na chwilę, a Ransom, który nieraz wysłuchiwał podobnych wywodów, zastanawiał się, do czego właściwie profesor zmierza.

- Majestatyczny spektakl owej ślepej, nieartykułowanej celowości - podjął Weston jeszcze bardziej uroczystym tonem - pnącej się coraz wyżej i wyżej w nie kończącym się jednoczeniu zróżnicowanych osiągnięć ku wciąż wzrastającej złożoności organizacji, ku spontaniczności i duchowości, unicestwił moją dawną koncepcję służenia człowiekowi jako takiemu. Człowiek sam w sobie jest niczym. Ruch życia naprzód - narastanie ducha - jest wszystkim. Mówię ci całkiem szczerze, Ransom, teraz już wiem, że popełniłbym błąd, likwidując rdzennych mieszkańców Malakandry. Uważanie naszego gatunku za coś lepszego - to czysty przesąd. Moją misją nie jest już tylko rozprzestrzenianie rodzaju ludzkiego, lecz samo krzewienie duchowości. Oto są kamienie milowe mojej kariery naukowej: najpierw pracowałem tylko dla siebie, potem dla nauki, potem dla ludzkości, a w końcu dla samego Ducha, czy też - używając pojęcia bardziej dla ciebie zrozumiałego - dla Ducha Świętego.

- Czy możesz mi bliżej wyjaśnić, co właściwie chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Ransom, zupełnie oszołomiony tą tyradą.

- Chcę, abys zrozumiał, że obecnie nie dzieli nas już nic z wyjątkiem paru wyświechtanych formułek teologicznych, którymi, niestety, są obwarowane wszystkie zorganizowane religie. Ale ja zdołałem się przebić przez tę sztuczną, zewnętrzną powłokę i dotrzeć do ich ukrytego jądra, wiecznie żywego i zawsze prawdziwego. Pozwól, że ujmę to w ten sposób: owa najgłębsza, istotna słuszność religijnego poglądu na życie znajduje godne uwagi potwierdzenie w fakcie, że właśnie ten pogląd pozwolił ci uchwycić na Malakandrze prawdę, która była dla mnie - wówczas człowieka bardzo oddalonego od religii - zupełnie niedostępna. Oczywiście uchwyciłeś ją na swój własny, mityczny sposób, posługując się bardziej wyobraźnią niż intelektem, ale mnie nie dane było wówczas nawet i to.

- Niewiele wiem o tym, co ludzie nazywają religijnym poglądem na życie - powiedział Ransom marszcząc brwi. - Widzisz, ja jestem chrześcijaninem. Dla nas, chrześcijan, Duch Święty nie jest jakąś ślepą, nieartykułowaną celowością.

- Och, Ransom, rozumiem cię doskonale - rzekł Weston. - Nie wątpię, że moja frazeologia brzmi dla ciebie obco, a może nawet szokująco. Dawne, wciąż otaczane skojarzenia mogą ci utrudniać rozpoznanie w nowej postaci tych samych prawd, które religia przechowuje od tak dawna, a nauka

zaczyna wreszcie odkrywać ponownie. Ale niezależnie czy to dostrzegasz, czy nie, wierz mi, mówimy dokładnie o tym samym.

- Wcale nie jestem tego pewien.

- Nie obraż się, ale to właśnie jest jedną z poważnych słabości zorganizowanych religii, to uparte trzymanie się formułek! To właśnie one nie pozwalają ci rozpoznać prawdziwych przyjaciół. Ransom, pamiętaj, że Bóg jest duchem. Trzymaj się tego. Przecież ta formuła musi ci być bliska. Trwaj przy niej. Bóg jest duchem.

- Naturalnie, ale co z tego?

- Co z tego? Pomyśl tylko! Duch - umysł - wolność - spontaniczność. Przecież o tym właśnie mówię. Do tego celu zmierza cały proces kosmiczny. Ostateczne wyzwolenie tej wolności, tego uduchowienia, jest dziełem, któremu poświęciłem swoje życie i przyszłość ludzkości. Cel, Ransom, cel! Myśl o celu. *Czysty* duch: wir autorefleksyjnej, samostwarzającej się aktywności. Oto ostateczny cel.

- Ostateczny cel? - powtórzył Ransom. - To znaczy, że ów „wir aktywności”, jak mówisz, jeszcze nie istnieje?

- Aha, rozumiem, co cię gnębi. Religia przedstawia to jako byt istniejący od samego początku. Ale czy naprawdę zachodzi tu jakaś różnica poglądów? Wszystko zależy od właściwego pojmowania czasu. Skoro już ów stan czystego ducha zostanie przez wszechświat osiągnięty, można będzie powiedzieć, że istniał od początku lub że zaistniał na końcu. Czas jest jedną z rzeczy, wobec których będzie on transcendentny.

- Pozwól, że zadam ci jedno pytanie - przerwał mu Ransom. - Czy ten twój „czysty duch” ma jakieś cechy osobowe? Czy żyje?

Na twarzy Westona pojawił się trudny do opisu wyraz. Przysunął się bliżej do Ransoma i zaczął mówić ciszej:

- Tego właśnie nikt z nich do końca nie pojmuje. - Jego głos przypominał teraz konspiracyjny szept gangstera lub ucznia podpowiadającego koledze na lekcji. Przyzwyczajony do jego górnolotnego, profesorskiego stylu, Ransom poczuł nagle gwałtowną niechęć graniczącą z odrazą.

- Tak - mówił Weston - ja również do niedawna nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Oczywiście nie chodzi tu o osobę w naszym pojęciu. Antropomorfizm jest jedną z dziecięcych chorób religii - tu powrócił do swego zwykłego, oratorskiego tonu - aczkolwiek przeciwstawianie mu całkowitej abstrakcji okazało się w ostatecznym rozrachunku jeszcze bardziej katastrofalne. Można to nazwać Siłą. Potężną, nieodgadnioną Siłą, wlewającą się w nas z ciemnych podstaw bytu. Siłą, która może wybierać

swe narzędzia. Widzisz, Ransom, dopiero niedawno, dzięki aktualnemu doświadczeniu, odkryłem to, w co ty wierzyłeś przez całe swoje życie, co zawsze było częścią twojej religii.

Znowu ściszył głos od urywanego, gardłowego szeptu, tak różnego od jego zwykłego głosu.

- Powołany. Wybrany. Natchniony. Uświadomiłem sobie, że jestem człowiekiem wybranym. Dlaczego poświęciłem się fizyce? Dlaczego odkryłem „promienie Westona”? Dlaczego znalazłem się na Malakandrze? Otóż tym, co mnie przez cały czas popychało, była właśnie owa Siła. Jestem przez nią prowadzony. Teraz już wiem, że jestem największym z uczonych, jakich wydał świat. Ale nie ma w tym mojej zasługi. Zostałem wybrany, aby stać się narzędziem Siły. To we mnie ów Duch podąża teraz ku swemu ostatecznemu celowi.

- Posłuchaj, Weston - rzekł Ransom - w tych sprawach trzeba być bardzo ostrożnym. Chyba wiesz, że są duchy i duchy.

- Co? - zdziwił się Weston. - O czym ty mówisz?

- Mówię, że nie każdy duch musi być dobry.

- Jak to? Myślałem, że w tym punkcie się zgadzamy. Nie wierzysz, że duch jest dobry, że jest końcem całego procesu rozwoju kosmosu? Myślałem, że wszyscy ludzie religijni są zwolennikami duchowej doskonałości. Jaki jest ostateczny sens ascezy, postów, celibatu i tego wszystkiego? Czyżbyś nie wierzył, że Bóg jest duchem? Czy nie czcisz Go właśnie dlatego, że jest czystym duchem?

- Wielkie nieba, nie! Czcimy Go dlatego, że jest mądry i dobry. Sam fakt, że ktoś jest duchem, nie czyni go automatycznie doskonałym. Szatan też jest duchem.

- Twoja wzmianka o szatanie jest godna uwagi - rzekł Weston, wracając do swego dawnego tonu. - To najbardziej interesująca sprawa w ludowej religii, ta tendencja do mnożenia, do płodzenia par przeciwstawnych sobie elementów: niebo i piekło, Bóg i Szatan. Chcę podkreślić, że z mojego punktu widzenia realny dualizm we wszechświecie jest nie do przyjęcia. Nie wyciągaj jednak z tego pochopnych wniosków. Jeszcze kilka tygodni temu skłonny byłem odrzucić te wszystkie pary jako czystą mitologię; dziś już wiem, że popełniłbym poważny błąd. To nie takie proste. Korzenie tej powszechnej tendencji tkwią o wiele głębiej. Pary przeciwstawnych sobie elementów są w rzeczywistości obrazami Ducha, owej kosmicznej energii. Może nawet lepiej byłoby powiedzieć: są autoportretami Ducha, bo złożyła je w naszych mózgach owa Siła Życiowa.

- O czym ty, u licha, pleciesz?! - zawołał Ransom, po czym wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Czuł, że ogarnia go irytacja i zmęczenie.

- *Twój Szatan i twój Bóg* - powiedział Weston - są obrazami tej samej Siły. Twoje niebo jest obrazem doskonałego uduchowienia, jakie jest przed nami, a twoje piekło jest obrazem owego impulsu - łacińskie *nisus* najlepiej to oddaje - pchającego nas od tyłu w tym właśnie kierunku. Stąd w obrazie nieba dominuje statyczny spokój, a w obrazie piekła ogień i ciemność. Przyszłym stadium powszechnej ewolucji jest pociągający nas naprzód Bóg; stadium przekroczonym jest popychający nas do przodu Szatan. Przecież nawet twoja religia twierdzi, że diabły są upadłymi aniołami.

- Natomiast ty, o ile cię dobrze zrozumiałem, twierdzisz coś zupełnie odwrotnego, że anioły to szatany, którym się powiodło.

- Nie widzę w tym zasadniczej różnicy - odrzekł profesor.

- Posłuchaj, Weston - rzekł Ransom po dłuższym milczeniu - w takich sprawach łatwo o wzajemne nieporozumienie. To, co mówisz, wydaje mi się najokropniejszym błędem, w jaki może popaść człowiek. Zastanawiam się jednak, czy nie mówisz o wiele więcej, niż naprawdę myślisz. Może starasz się przystosować swoje koncepcje do przypisywanego mi „religijnego poglądu na życie” i dlatego wychodzi tak potworna mieszanka? Przyznaj, że to, co mówiłeś o duchach i siłach, to tylko metafora. Naprawdę chodzi ci o to, że za swój święty obowiązek uważasz pracę dla krzewienia cywilizacji, wiedzy i tym podobnych rzeczy.

Ransom starał się ukryć mimowolny, coraz silniejszy niepokój. Lecz gdy tylko skończył, wzdrygnął się, rażony niemal infantylnym lub starczym chichotem Westona:

- Tu cię mam! Tu cię mam! No cóż, tacy jesteście wy wszyscy, wierzący. Potraficie tylko gadać i gadać o tych sprawach przez całe życie, ale kiedy zetkniecie się z nimi w rzeczywistości, oblatuje was strach!

- Jakie masz dowody? - zapytał znowu Ransom, czując, że naprawdę oblatuje go strach. - Na jakiej podstawie opierasz swą pewność, że ktoś lub coś tobą kieruje, że jesteś wybrany i natchniony? Skąd wiesz, że to nie twój własny wymysł albo chorobliwe przejęcie się książkami napisanymi przez innych?

- A czy nie zauważyłeś, drogi doktorze filologii, że nieco poprawiłem swoją znajomość pozaziemskiego języka, odkąd się ostatni raz widzieliśmy?

Ransom drgnął.

- Jak do tego doszedłeś? - wyjąkał.

- Natchnienie, Ransom. Duchowe kierownictwo - zarechotał Weston.

Siedział w kucki pod drzewem. Tuż nad kolanami widniała jego nalana ziemista twarz, wykrzywiona nieruchomym grymasem.

- Tak, duchowe przewodnictwo, Ransom - powtórzył. - Różne rzeczy same wchodzą mi do głowy. Nie rozumiesz? Przez cały czas byłem do tego przygotowywany. Kształtowano mnie, bym stał się odpowiednim przekąźnikiem.

- Nie musiało to być trudne - Ransom coraz wyraźniej tracił cierpliwość.

- Jeżeli ta twoja Siła Życiowa jest tak wieloznaczna, że jej obrazem jest zarówno Bóg, jak i Szatan, to każdy przekąźnik będzie dla niej równie odpowiedni, a cokolwiek powiesz, może być jej wyrazem.

- Jest jednak coś takiego, jak główny nurt prądu - rzekł Weston. - Chodzi o to, aby mu się poddać, aby uczynić siebie nośnikiem tej żywej, nieokiełznanej, centralnej Siły, aby stać się grotem ewolucji.

- Przed chwilą mówiłeś, że to jest właśnie szatański aspekt tego procesu.

- Na tym właśnie polega zasadniczy paradoks. To, ku czemu zmierzamy - to jest ów kres przed nami, który ty nazywasz Bogiem. Natomiast sam ruch naprzód, dynamizm - to jest coś, co ludzie twojego pokroju nazywają Szatanem. Ludzie tacy jak ja, którzy są nośnikami owego dynamizmu, zawsze są męczennikami. Wyklinacie nas, lecz to przez nas osiągniecie swój cel.

- Zdaje mi się, że działania, do których was zmusza owa Siła, zwykli ludzie nazywają po prostu diabelskimi...

- Mój drogi doktorze, bardzo bym chciał, żebyś nie schodził wciąż do poziomu pospółstwa. Te dwie rzeczy, o których mówimy, są tylko dwoma momentami - w sensie fizyki - jednej, jedynej rzeczywistości. Świat rozwija się w osobach wielkich ludzi, a wielkość zawsze transcenduje czysty moralizm. Kiedy już się dokona ów wielki skok naprzód, nasza dzisiejsza „diabelskość”, jak to nazywasz, stanie się moralnością następnej fazy, ale kiedy go dokonujemy, nazywani jesteśmy kryminalistami, heretykami, bluźniercami.

- Jak daleko można się w tym posunąć? Czy nadal będziesz posłuszny swojej Sile Życiowej, jeśli stwierdzisz, że nakazuje ci mnie zamordować?

- Tak.

- Albo zaprzedać Anglię Niemcom?

- Tak.

- Albo opublikować w naukowym czasopiśmie kłamstwa, sugerując, że to wyniki poważnych badań?

- Tak.

- Niech Bóg zlituje się nad tobą!

- Wciąż tkwisz w swoich konwencjonalizmach jak mucha w smole - powiedział Weston wyrozumiałym tonem. - Wciąż operujesz abstrakcjami. Czy naprawdę nie potrafisz się całkowicie czemuś oddać... podporządkować się czemuś, co rozsądza te wszystkie ciasne szufladki?

Ransom uchwycił się tej ostatniej szansy.

- Poczekaj, Weston - rzekł. - To może być punkt porozumienia. Mówisz o całkowitym poświęceniu, a więc o rezygnacji z siebie, ze swoich korzyści. Nie, daj mi to powiedzieć. To *jest* punkt kontaktu między twoją i moją moralnością. Obaj uznajemy...

- Ty idioto! - Weston zerwał się na nogi, a jego głos przypominał skowyt. - Idioto! Czy nic nie możesz zrozumieć?! Czy zawsze będziesz próbował wszystko wtłoczyć w żałosny kadłub swego przestarzałego żargonu? Ty i twoje poświęcenie! To tylko jeszcze jedna postać starego, przekłętą dualizmu. Myśl konkretna w ogóle nie rozróżnia między mną a wszechświatem. W takiej mierze, w jakiej jestem nośnikiem centralnego nurtu wszechświata zmierzającego ku swemu celowi, sam jestem wszechświatem. Rozumiesz, ty tchórzliwy, kupczący skrupułami głupcze? Ja *jestem* wszechświatem. Ja, Weston, jestem twoim Bogiem i twoim Szatanem. Ja ucieleśniam tę Siłę... ja...

W tej chwili zaczęło się dziać coś okropnego. Twarz Westona zmieniła się nie do poznania: wykrzywił ją grymas, jakby miał za chwilę gwałtownie zwymiotować. Potem odzyskał na kilka sekund dawne oblicze. Z oczami otwartymi szeroko z przerażenia zawył:

- Ransom! Ransom! Na litość Boską, nie pozwól im... - i nagle zwinął się cały, jak trafiony kulą z rewolweru, upadł na ziemię i zaczął się tarzać u stóp Ransoma tocząc ślinę, zgrzytając zębami i wydzierając palcami kłęby mchu. Powoli konwulsje osłabły. Leżał teraz nieruchomo, oddychając ciężko, z otwartymi oczami bez wyrazu. Ransom ukląkł przy nim, nie wiedząc, czy był to atak epilepsji czy apopleksji; nigdy jeszcze nie był świadkiem ani tego, ani tego. Poszperał w paczkach i znalazł butelkę brandy, odkorkował i przyłożył choremu do ust. Ku jego przerażeniu, usta otworzyły się szeroko i z głośnym chrzęstem odgryzły szyjkę butelki.

- O Boże! Zabiłem go! - zawołał widząc, że Weston nie wypluwa szkła. Ale z wyjątkiem strużki krwi ciekącej z wargi, wygląd Westona nie uległ

zmianie. Jego twarz sugerowała, że albo nie czuje żadnego bólu, albo jest to ból nie do wyobrażenia. W końcu Ransom wstał, ale zanim to uczynił, wyjął profesorowi rewolwer z kabury, a potem zszedł na plażę i rzucił go w morze najdalej, jak potrafił.

Stał przez długą chwilę wpatrzony w zatokę, nie wiedząc, co robić dalej. W końcu postanowił wejść na torfiasty grzbiet osłaniający dolinę z lewej strony. Znalazł się na płaskiej wyżynie z rozległym widokiem na złote morze, teraz znowu pofałdowane, migocące ruchomą mozaiką blasków i cieni. Z początku nie mógł dostrzec pływających wysp, lecz po chwili wyłoniły się nagle wierzchołki ich drzew, dziwnie powykrzywiane na tle nieba. Wzmagające się ruchy fal rozpraszały przypadkowo utworzony archipelag, ale zanim Ransom zdążył się rozeznać w szybkości i kierunku tego zjawiska, drzewa znikły w niewidocznej stąd wodnej dolinie. Jakie miał szansę odnalezienia wysp? Poraziło go poczucie osamotnienia, potem napłynęła fala gniewu i zawodu. Po co został tu przysłany? Od jakiego zagrożenia miał uratować Perelandrę? Jeśli nawet Weston nie umrze, to zostanie z nim, uwięziony na tym niewielkim łądzie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest głodny. Nigdzie nie widział owoców lub orzeźwiających baniek. „Chyba wpadłem w śmiertelną pułapkę”, pomyślał i uśmiechnął się gorzko, wspominając dzisiejszy ranek, kiedy to cieszył się jak głupiec z zamiany tych pływających rajszych ogrodów na bezpłodny, skalisty ład.

A może nie jest zupełnie bezpłodny? Pomimo narastającego zmęczenia, postanowił wyruszyć na poszukiwanie pożywienia. Nie uszedł jednak daleko, gdy nagle zmiana oświetlenia i barw zapowiedziała rychłe nadejście nocy. Bezwiednie przyspieszył kroku, lecz zanim zszedł w dolinę, lasek, w którym zostawił Westona, był już tylko ciemniejszą plamą w ogarniającym wszystko mroku, a zanim do niego dotarł, znalazł się w nieprzeniknionych ciemnościach. Próbował trafić po omacku do miejsca, w którym leżały zapasy Westona, ale wkrótce całkowicie stracił orientację. Nie pozostawało mu nic innego, jak usiąść na ziemi. Kilkakrotnie zawołał Westona po nazwisku, ale zgodnie z przewidywaniem nie otrzymał odpowiedzi. „W każdym razie dobrze, że zabrałem mu rewolwer”, pomyślał. „*C'ôz, qui dort, dîne...* Do rana będzie mi to musiało wystarczyć.”

Ułożył się do snu i odkrył, że twardy, porośnięty mchem grunt Stałego Łądu jest o wiele mniej wygodny niż miękka, elastyczna powierzchnia, do której ostatnio przywykł. Wsłuchany w ponury, monotony łoskot fal rozbijających się na brzegu, myślał o drugiej istocie ludzkiej, leżącej gdzieś

w pobliżu z otwartymi oczami i zębami ściskającymi odłamki szkła.

- Gdybym był mieszkańcem Perelandry - mruknął do siebie - Maleldil nie musiałby mi zabraniać spędzania nocy na Stałym Łądzie. Bodajbym go nigdy nie zobaczył!

8

Było już zupełnie jasno, gdy obudził się po niespokojnej, pełnej snów nocy, z wyschniętymi ustami, ze skurczem w karku i obolałymi członkami. Przebudzenie było tak różne od poprzednich, że przez chwilę zdawało mu się, iż jest z powrotem na Ziemi, a ów sen (bo teraz było to jak sen) o życiu wśród oceanów Gwiazdy Zarannej rozbłysnął nagle w jego pamięci, napętlając go trudnym do zniesienia poczuciem utraconego szczęścia. Lecz gdy usiadł, uprzytomnił sobie, że to nie sen.

„Prawdę mówiąc, nie jest to takie odległe od przebudzenia się ze snu”, pomyślał. Był głodny i spragniony, lecz za pierwszy swój obowiązek uznał zajęcie się chorem, chociaż wątpił, czy zdoła mu pomóc. Rozejrzał się wokoło. Zobaczył niedaleko gaj srebrnych drzew, ale Westona nigdzie nie było. Spojrzał na zatokę: czołno również zniknęło. Przekonany, że w ciemności zabłądził do innej dolinki, wstał i poszedł nad strumyk, by napić się wody. Kiedy z długim westchnieniem ulgi podniósł twarz znad wody, spostrzegł drewnianą skrzynkę, a tuż za nią kilka puszek z konserwami. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że jest jednak we właściwej dolinie, a po kilku dalszych zdołał wyciągnąć wnioski z faktu, że skrzynka jest otwarta i pusta, a część zapasów znikła. Czy to możliwe, by człowiek, który jeszcze tej nocy był w takim stanie, rano zwinął obóz i odszedł, dźwigając ciężką paczkę? Czy to możliwe, by jakikolwiek człowiek stawiał czoło *temu* morzu w wywrotnym czołnie? Zauważył teraz, co prawda, że sztorm (a raczej, według perelandryjskiej skali, zaledwie szkwał) minął w ciągu nocy, lecz fale wciąż były wysokie i wydawało się nieprawdopodobieństwem, by profesor opuścił wyspę. Zapewne odszedł gdzieś, zabierając ze sobą brezentowe czołno.

Ransom postanowił natychmiast go odnaleźć. Nie mógł sobie pozwolić na stracenie kontaktu z wrogiem. Jeśli Weston odzyskał siły, to knuje teraz coś złego. Nie był całkowicie pewien, czy zrozumiał wszystko z jego dziwacznej, beładnej mowy poprzedniego dnia, ale to, co zrozumiał, bardzo mu się nie podobało. Miał wszelkie podstawy, by podejrzewać, że

cały ten mglisty mistycyzm i brednie o „uduchowieniu” okazały się w rezultacie gorsze niż dawny, stosunkowo prosty program międzyplanetarnego imperializmu. Naturalnie byłoby nieuczciwością traktować całkowicie poważnie słowa człowieka wypowiedziane tuż przed groźnym atakiem i utratą świadomości, ale i tak jego obecność na Wenus była dostatecznie niepokojąca.

W ciągu następnych kilku godzin Ransom krążył po wyspie w poszukiwaniu jedzenia i Westona. Na wyższych stokach znalazł mnóstwo małych owoców przypominających borówki, a lesiste doliny obfitowały w owalne orzechy o gąbczastych, nieco łykowatych jądrach, których smak, choć niezbyt wyszukany po wspaniałych owocach pływających wysp, okazał się zupełnie znośny. Spotykał też wielkie myszy, równie łagodne i przyjazne jak inne zwierzęta Perelandry, choć wydały mu się nieco głupsze.

Wspiął się na centralny płaskowyż. Jak okiem sięgnąć, morze było upstrzone wyspami, wznoszącymi się i opadającymi na wielkich falach. Od razu wyłowił spojrzeniem pomarańczową plamę, ale nie był pewien, czy tam właśnie przebywał, bo co najmniej dwie inne wyspy miały podobną barwę. Za jednym razem udało mu się naliczyć dwadzieścia trzy pływające wyspy. Było to na pewno więcej, niż zgromadził krótkotrwały archipelag, miał więc nadzieję, że na którejś z nich przebywa Król, może nawet już nie sam, lecz z Zieloną Panią. Nie zastanawiając się nad tym specjalnie, Ransom zaczął łączyć prawie wszystkie nadzieje z osobą tajemniczego Króla.

Nie natrafił nigdzie nawet na ślad po Westonie. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, musiał jednak opuścić Stały Łąd. Ransom był tym poważnie zaniepokojony, bo nie miał pojęcia, co może zrobić uczony, biorąc pod uwagę jego stan fizyczny i psychiczny. Podtrzymywał w sobie nadzieję, że szalony profesor zostawi w spokoju parę władców Perelandry, uważając ich za dzikusów.

Zbliżał się już wieczór, gdy zmęczony usiadł na brzegu. Stopy, wydelfakowane na miękkiej jak materac powierzchni pływających wysp, teraz piekły go boleśnie, postanowił więc pobrodzić trochę po płyćźnie. Morze było spokojne. Rozbijające się na piasku fale sięgały mu zaledwie do kolan. Rozkoszna woda wciągnęła go jednak głębiej i wkrótce zanurzył się do pasa. Kiedy tak stał, pogrążony w myślach, nagle uświadomił sobie, że to, co początkowo brał za odbicie światła w wodzie, jest w rzeczywistości grzbietem jednej z owych wielkich, srebrnych ryb. „Ciekawe, czy pozwoliłaby mi się dosięść”, pomyślał. Obserwował ją uważnie i spostrzegł,

że wyraźnie stara się trzymać jak najbliżej niego, na ile tylko pozwalała na to płycizna, a nawet zachowuje się tak, jakby chciała zwrócić na siebie jego uwagę. Czyżby została *wysłana*?

Olśniony tą myślą, postanowił dokonać próby. Najpierw położył rękę na grzbiecie ryby, a widząc, że nie umyka pod dotknięciem, z pewnym trudem wdrapał się na wąską część tułowia, tuż za głową. Ryba trwała bez ruchu, ale gdy tylko się usadowił, zawróciła w miejscu i popłynęła ku otwartemu morzu.

Gdyby nawet chciał przerwać ten eksperyment, wkrótce nie było to już możliwe. Spojrzał za siebie - zielone iglice góry zmały i zmatowiały na tle nieba, a linia brzegowa wyspy wchłonęła już zatoki i przylądki. Ucichł łoskot rozbijających się na plaży fal, wokół słyszał tylko świszczące i świergotliwe dźwięki wody i powietrza. Na oceanie unosiło się wiele pływających wysp, chociaż z tego poziomu widział tylko ich pierzaste wierzchołki. Ale ryba nie zmierzała do żadnej z nich. Płynęła prosto, jakby dobrze знаła swój cel, mocnymi ruchami płetw unosząc go coraz dalej i dalej w głąb oceanu. Minęła godzina tej niesamowitej podróży i nagle cały świat spowija zieleń i purpura, a potem czerń. Zapadła perelandryjska noc.

Choć mknęli wciąż naprzód w ciemnościach, wspinając się i opadając po zboczach wielkich fal, Ransom nie odczuwał lęku. Czerń nocy nie była zresztą doskonała. Znikło niebo i powierzchnia morza, lecz daleko pod nią, w sercu ciemnej próżni, przez którą podróżował, wystrzelały dziwne, podobne do rakiet błyski i wiły się smugi zielononiebieskiego światła. Z początku były bardzo odległe i niewyraźne, lecz wkrótce przybliżyły się i nabrały wyrazistości. Rychło tuż nad powierzchnią morza rozegrał się cały świat jakichś fosforyzujących stworzeń: wijące się węgorze, szybkie, opancerzone kule, fantastyczne, heraldyczne stwory, wobec których nasze koniki morskie mogły uchodzić za coś banalnego. Tłoczyły się wokół Ransoma siedzącego na srebrnej rybie; chwilami widział ich ze dwadzieścia lub trzydzieści. A wśród tłumu morskich centaurów i smoków ujrzał jeszcze dziwniejsze kształty: ryby - jeśli w ogóle można nazwać je rybami - których przednia część ciała była tak bardzo ludzka, że kiedy zobaczył je po raz pierwszy, pomyślał, że śni i otrząsnął się, aby ten sen przerwać. Ale to nie był sen. Tu i tam dostrzegał to ramię, to profil, to znowu przez sekundę całą twarz istnej syreny lub trytona. Podobieństwo owych istot do ludzi było większe, niż mu się z początku wydawało, bo w pierwszej chwili ukrywał je całkowity brak ludzkiego wyrazu twarzy. Nie były to twarze bezmyślne, nie przywodziły na myśl wulgarnej parodii

człowieczeństwa, jaką znajdujemy w twarzach ziemskich małp. Przypominały raczej twarze ludzi uśpionych lub twarze, w których człowieczeństwo drzemie, a obudzone jest jakieś inne życie, ani zwierzęce, ani diaboliczne, lecz po prostu inne, zaczarowane, niedostępne naszej sferze doznań. Ransom przypomniał sobie dawne przypuszczenie, że coś, co jest mitem w jednym świecie, może być rzeczywistością w innym. Zastanawiał się też, czy to możliwe, by Król i Królowa Perelandry - niewątpliwie pierwsza para ludzka na tej planecie - mieli przodków w głębinach oceanu. A jeśli tak, to co można powiedzieć o człekokształtnych stworzeniach poprzedzających rodzaj ludzki na Ziemi? Czy koniecznie musiały nimi być owe smutne bestie, których wyobrażenia można spotkać w książkach o ewolucji? A może w prastarych mitach jest więcej prawdy niż w nowoczesnych? Może naprawdę był taki czas, gdy satyry tańczyły w lasach Italii?

Uciszył jednak swój ożywiony nagle umysł, bo oto z nieprzeniknionych ciemności napłynęły ku niemu cudowne wonie. Wdychał z rozkoszą te zapachy, ciepłe i słodkie, z każdą chwilą coraz bardziej słodkie i czyste, coraz mocniejsze, coraz bardziej upajające. W każdym zakątku wszechświata rozpoznałby natychmiast upojny nocny oddech pływającej wyspy na planecie Wenus. Dziwne było tęsknić za miejscami, w których przebywał tak krótko, za miejscami tak obcymi jego gatunkowi i światu. Ale czy naprawdę obcymi? Zdawało mu się, że nic tęsknoty połączyła go z tą niewidzialną wyspą na długo, zanim przybył na Perelandrę, dawniej, niż mógł sięgnąć pamięcią, przed najwcześniejszymi wspomnieniami z dzieciństwa, przed swoim narodzeniem, przed powstaniem rodzaju ludzkiego, przed początkiem czasu. Było to uczucie gwałtowne i rozkoszne, dzikie i święte zarazem, uczucie, które w każdym innym świecie miałyby dla człowieka również zabarwienie erotyczne. Ale nie na Perelandrze.

Ruch ryby ustał. Ransom wyciągnął przed siebie rękę i wyczuł dotykiem dobrze mu znane wodorosty. Ześliznął się niezgrabnie przez głowę wielkiej ryby i wylądował na rozkołysanej powierzchni wyspy. Mimo krótkiego pobytu na Stałym Lądzie, zdążył już odzyskać ziemskie nawyki przy chodzeniu i szukając w ciemności drogi, kilka razy stracił równowagę. Ale na szczęście upadki niczym tu nie groziły! Wokół niego rosły drzewa, kiedy więc wpadł mu w ręce gładki, chłodny, kulisty przedmiot, podniósł go bez obawy do ust. Nie był to żaden ze znanych mu już owoców, lecz smakował lepiej niż te, które dotąd próbował. Zielona Pani miała najwidoczniej rację, gdy mówiła, że w jej świecie najlepszy jest zawsze ten owoc, który się

właśnie zjada. Znużony morską podróżą i wspinaczką po skałach Stałego Łądu, upojony poczuciem absolutnego zaspokojenia, zapadł w głęboki, spokojny sen.

Obudził się czując, że spał już kilka godzin, choć wciąż jeszcze było ciemno. Wiedział, że coś go obudziło i po chwili wsłuchał się w dźwięki, które musiały być tego przyczyną. Były to głosy - głosy mężczyzny i kobiety zajętych ożywioną rozmową. Oceniał, że znajdują się bardzo blisko, ale w ciemnościach perelandryjskiej nocy niczego nie widział. Natychmiast jednak rozpoznał głosy. Było w nich coś dziwnego, a nie widząc twarzy rozmówców, nie potrafił z początku zorientować się w ich nastrojach.

- Ciekawa jestem - zabrzmiał głos kobiety - czy w twoim świecie wszyscy mają zwyczaj powtarzać wiele razy jedno i to samo? Już ci mówiłam, że nie wolno nam mieszkać na Stałym Łądzie. Dlaczego nie mówisz o czymś innym albo nie zamilkujesz?

- Dlatego, że to bardzo dziwny zakaz - odpowiedział głos mężczyzny. - I całkiem niepodobny do poczynań Maleldila w naszym świecie. Chyba nie zabronił wam *myśleć* o przebywaniu na Stałym Łądzie?

- Po co myśleć o czymś, co się nigdy nie zdarzy?

- Och, w naszym świecie często o tym myślimy. Składamy słowa, by opisać wydarzenia, które nigdy nie zaszły, i miejsca, których nigdy nie było. Wybieramy piękne słowa i starannie je ze sobą łączymy. A potem opowiadamy sobie nawzajem te historie. Nazywamy to poezją i prozą. Na tym bardzo starym świecie, o którym mówiliśmy, na Malakandrze, robią to samo. Jest w tym radość i piękno, i mądrość.

- Jaka w tym mądrość?

- Świat składa się nie tylko z tego, co istnieje, lecz i z tego, co mogłoby istnieć. Maleldil zna jedno i drugie. Pragnie, abyśmy też to poznali.

- Nigdy jeszcze coś takiego nie gościło w moich myślach. Tamten, Łaciaty, opowiadał mi już tak dziwne rzeczy, że czułam się jak drzewo, którego gałęzie sięgają coraz dalej i dalej. Ale to, co ty mówisz, sięga jeszcze dalej. Przechodzić od tego, co istnieje, do tego, co mogłoby istnieć... mówić o tym i tworzyć coś z tego... obok prawdziwego życia... Zapytam Króla, co on o tym sądzi.

- No widzisz, wciąż do tego wracamy. Gdybyś nie rozstawała się z Królem...

- Ach, rozumiem! To jedna z tych rzeczy, które mogłyby istnieć. Nasz świat mógłby być tak stworzony, że Król i ja nigdy nie musielibyśmy się rozstawać.

- To nie wasz świat musiałby być inny, lecz wasz sposób życia. W świecie, gdzie ludzie mieszkają na stałym lądzie, nigdy nie zagraża im rozłąka.

- Pamiętaj jednak, że nam nie wolno mieszkać na Stałym Lądzie.

- Tak, ale Maleldil nie zabronił wam o tym myśleć. A może to jedna z przyczyn, dla których zabronił wam tam mieszkać? Może chciał wam dać Coś-co-mogłoby-istnieć, tak abyście mogli o tym układać słowa, tworzyć - jak my to nazywamy - opowieści?

- Pomyślę nad tym, co mówisz. Zapytam Króla. Może uczyni mnie starszą.

- Ach, jak bardzo chciałbym poznać twojego Króla! Ale jeśli chodzi o opowieści, może wcale nie jest starszy od ciebie...

- Twoja mowa jest jak drzewo bez owoców. Król jest starszy ode mnie zawsze i we wszystkim.

- A jednak Łaciaty i ja uczyniliśmy cię starszą w pewnych sprawach, o których Król nigdy ci nie wspominał. To nowe dobro, jakiego się nie spodziewałaś. Myślałaś, że zawsze będziesz się dowiadywać wszystkiego tylko od Króla, a tymczasem Maleldil zesłał ci innych ludzi, których istnienia nawet nie podejrzewałaś. I oni powiedzieli ci rzeczy, o jakich nie wie sam Król.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego tym razem zostaliśmy z Królem rozłączeni. To przedziwne i wielkie dobro, jakim Maleldil zamierzył mnie obdarzyć.

- No właśnie. A ty nie chcesz uczyć się ode mnie i wciąż powtarzasz, że poczekaś i zapytasz Króla. Czy to nie tak, jakbyś się odwracała od owocu, który niespodziewanie wpadł ci w ręce, aby sięgnąć po inny, oczekiwany przez ciebie?

- To bardzo trudne sprawy, przybyszu z innego świata. Maleldil nie wkłada mi do głowy wiedzy o tych sprawach.

- Czy nie rozumiesz dlaczego?

- Nie.

- Od czasu, gdy Łaciaty i ja pojawiliśmy się w twoim świecie, to my wkładamy ci do głowy wiele rzeczy, a Maleldil milczy. Czy nie czujesz, że On oddala się trochę od ciebie?

- Jak to?! Przecież On jest wszędzie tam, gdzie i my.

- Tak, ale w inny sposób. On czyni cię starszą, chce, żebyś uczyła się różnych rzeczy nie wprost od niego, ale od innych ludzi, a także dzięki własnym pytaniom i myślom.

- Istotnie tak czyni.

- Tak. Czyni z ciebie pełną, dojrzałą kobietę. Dotychczas byłaś stworzona jakby tylko w połowie, jak zwierzęta, które niczego nie robią samodzielnie. Tym razem, kiedy znowu spotkasz Króla, to ty będziesz miała mu wiele do powiedzenia. To ty będziesz starsza od niego i ty uczynisz go starszym.

- Maleldil nie pozwoliłby na coś takiego. To tak, jakby stworzył owoc pozbawiony smaku.

- Ale ten owoc będzie miał smak *dla Króla*. Czy nigdy nie pomyślałaś, że czasem go nuży, że jest starszy? Czy nie pokocha cię bardziej, gdy będziesz od niego starsza?

- Czy to właśnie nazywacie poezją, czy też mówisz o czymś, co naprawdę istnieje?

- Mówię o czymś, co naprawdę istnieje.

- Ale przecież nie można kochać kogoś lub czegoś bardziej. To tak, jakby się powiedziało, że coś jest większe od samego siebie.

- Mówię tylko, że możesz się stać bardziej podobna do kobiet z mojego świata.

- Jakie one są?

- Są bardzo mądre i odważne. Sięgają wciąż po nowe i nieoczekiwane dobra. Na długo przed mężczyznami wiedzą, że coś jest dobre. Myślą wyprzedzają to, co powie im Maleldil. Nie muszą czekać, aż On im powie, że coś jest dobre - wiedzą to same, wiedzą to tak jak On. Nasze kobiety są właściwie małymi Maleldilami. Dzięki swej mądrości są o wiele piękniejsze od ciebie. Ich uroda przewyższa twoją tak, jak słodycz tych owoców przewyższa smak wody. A ponieważ są tak piękne, miłość, jaką darzą je mężczyźni, jest o wiele większa niż miłość Króla do ciebie, podobnie jak naga jasność Głębin Niebios oglądana z mojego świata wspanialsza jest niż złota kopuła Perelandry.

- Bardzo bym chciała zobaczyć te kobiety!

- I ja chciałbym, żebyś mogła je zobaczyć.

- Jak wspaniały jest Maleldil, jak cudowne są wszystkie Jego dzieła! Może zechce, by ze mnie narodziły się córki, które będą przewyższać mnie tak, jak ja przewyższam zwierzęta. Och, to byłoby dobro, jakiego się nigdy nie spodziewałam. Do tej pory myślałam, że zawsze będę Panią i Królową, teraz widzę, że mogę się stać podobna eldilom. Mogę być powołana, by pielęgnować moje dzieci, dopóki będą małe i słabe, a kiedy dorosną i przewyższą mnie, upadnę im do stóp. Teraz widzę, że nie tylko pytania i

myśli rozrastają się szerzej, jak konary potężnego drzewa. Radość też rozprzestrzenia się i sięga tam, gdzie nie sięgała nigdy nasza myśl.

- Pójdę teraz spać - rozległ się głos mężczyzny. Dopiero w tym momencie zabrzmiał jak prawdziwy głos Westona, i to Westona zbitego z tropu i ledwo ukrywającego złość. Poprzednio Ransom był co chwila bliski wtrącenia się do rozmowy, ale powstrzymywało go coś w rodzaju zawieszenia między dwoma sprzecznymi stanami umysłu. Z jednej strony, dźwięk i treść słów niewidocznego mężczyzny świadczyły, że niewątpliwie wypowiada je Weston. Z drugiej strony, oddzielony od wyglądu twarzy głos był dziwnie obcy. Co więcej, pełen niewzruszonej cierpliwości sposób mówienia mężczyzny odbiegał znacznie od normalnej manieri profesora, łatwo przechodzącego od pompatycznego wykładu do grubiańskiego znęcania się nad rozmówcą. I jakim cudem człowiek mógł ozdrowieć i odzyskać pełnię sił w kilka godzin po ciężkim kryzysie fizycznym? Jak przedostał się na pływającą wyspę?

Podczas tego dziwnego dialogu Ransom czuł, że stoi w obliczu trudnej do zniesienia sprzeczności. Ten głos był i nie był głosem Westona. Czuł, że kilka kroków od niego, w ciemności, dzieje się coś potwornego, coś, co raz po raz wzbudzało w nim silne dreszcze przerażenia i rodziło w mózgu myśli, które starał się odpędzić jako czystą fantazję. Teraz, kiedy głosy umilkły, zdał sobie sprawę, że jak straszliwym niepokojem słuchał tej rozmowy, a jednocześnie niespodziewanie przeniknęło go poczucie triumfu. Ale to nie on triumfował. Cała ciemność wokół niego rozbrzmiewała pieśnią zwycięstwa. Wzdrygnął się i usiadł, bo zdawało mu się, że naprawdę usłyszał jakiś dźwięk. Nasłuchiwał, wstrzymując oddech, ale prócz szmeru ciepłego wiatru i łagodnego plusku fal żaden dźwięk nie dochodził z ciemności. Złudzenie muzyki musiało narodzić się w nim samym. Położył się z powrotem i natychmiast poczuł, że to nie złudzenie. Nie, ta upojna muzyka, ten nieziemski taniec, to radosne świętowanie wlewały się w niego z zewnątrz, na pewno z zewnątrz, choć nie za pośrednictwem słuchu. To nie dźwięki, a jednak niepodobna myśleć o nich inaczej niż jako o muzyce. Poczuł się tak, jakby miał zupełnie nowy, nie znany mu dotąd zmysł, jakby w jego obecności chórem zaśpiewały poranne gwiazdy, jakby Perelandra w tej właśnie chwili została stworzona.

Być może w pewnym sensie tak było istotnie. Ogarnęła go pewność, że przed chwilą oddalona została od niej jakaś straszliwa katastrofa, a zaraz po tym nadeszła nadzieja, że drugiego zagrożenia już nie będzie. A wreszcie zrodziło się w nim najwspanialsze, napełniające go słodką ulgą

przypuszczenie, że może przybył na Perelandrę nie po to, by czegoś dokonać, lecz po to, aby być widzem i świadkiem.

W kilka minut później zasnął.

9

W ciągu nocy pogoda zmieniła się. Ransom siedział na skraju lasu, w którym spędził tę noc, i spoglądał na płaską powierzchnię morza. Nigdzie nie widział ani jednej wyspy. Obudził się przed kilkoma minutami i stwierdził, że leży samotnie w gęstwinie nie znanych mu jeszcze drzew o pniach podobnych do trzciny, lecz grubych jak ziemskie brzozy i zwieńczonych niemal płaskim baldachimem gęstych liści. Zwisły z nich gładkie, czerwone, kuliste owoce, przypominające jagody ostrokrzewu. Zjadł kilka i wyszedł na otwartą przestrzeń, aby się rozejrzeć. Nie dostrzegł nigdzie Westona ani Zielonej Pani, zaczął się więc przechadzać bez celu brzegiem morza. Szafranowy kobierzec porostów ugiął się lekko pod jego nagimi stopami, pokrywając je aromatycznym pyłkiem. Przyglądając się temu, zauważył nagle coś innego. W pierwszej chwili sądził, iż stworzenie, na które patrzy, ma kształty jeszcze bardziej fantastyczne niż wszystkie, jakie dotąd widział na Perelandrze. Ale te kształty były nie tylko fantastyczne - były obrzydliwe. Przykląkł, aby mu się lepiej przyjrzeć, a następnie dotknął go, pokonując wstręt. I natychmiast cofnął rękę, jakby dotknął węża.

Miał przed sobą jedną ze znanych mu już wielobarwnych żab, której przydarzyło się coś okropnego. Cały grzbiet był jedną otwartą raną w kształcie litery V, której spiczasty koniec znajdował się tuż za głową. Coś rozdarło grzbiet biednego zwierzęcia - przywodziło to na myśl pospiesznie otwartą kopertę - tak że tylne nogi zwisły bezwładnie, prawie wyrwane z tułowia. Na Ziemi byłby to widok jedynie odrażający, ale tu, na Perelandrze, Ransom nie spotkał dotąd nic martwego lub okaleczonego i teraz przeszył go wstrząs, jakby go ktoś uderzył w twarz. Było to jak pierwszy spazm dobrze znanego bólu, ostrzegający człowieka, który uprzednio uwierzył w swoje wyzdrowienie, że został oszukany przez rodzinę i że mimo wszystko umiera. Było to jak pierwsze kłamstwo w ustach przyjaciela, na którego prawdomówność można by bez wahania postawić tysiąc funtów.

Było to nieodwracalne. Ciepły, łagodny wiatr nad złocistym morzem, błękit, srebro i zieleń pływającego ogrodu, samo niebo - wszystko to stało się nagle jedynie iluminowanym marginesem stronicy księgi, której treścią była ta mała, wijąca się żałośnie u jego stóp potworność. Jednocześnie w nim samym zaszła jakaś zmiana, której nie potrafił ani opanować, ani zrozumieć. Daremnie tłumaczył sobie, że tego rodzaju stworzenie prawdopodobnie ma niewielką wrażliwość. Wiedział, że nie tylko współczucie wobec męki zwierzęcia spowodowało nagłą zmianę rytmu jego serca. To, co się stało, było trudne do zniesienia, plugawe, niemal sprośne. Przepętniał go wstyd. W tej chwili czuł, że byłoby lepiej, gdyby cały świat nigdy nie zaistniał, byleby tylko nie zdarzyła się ta jedna, jedyna rzecz.

W końcu zdecydował, że pomimo teoretycznego przeświadczenia o niewielkiej wrażliwości na ból organizmu na tak niskim szczeblu rozwoju, lepiej będzie go dobić. Nie miał butów, nie dysponował kamieniem ani kijem. Żaba okazała się bardzo żywotna. Przekonał się jednak o tym za późno, by się wycofać. Do poczucia wstrętu i wstydu doszła teraz jeszcze upokarzająca świadomość, że był głupcem, podejmując się tej próby bez zastanowienia. Niezależnie od stopnia wrażliwości tego stworzenia na ból, to, co robił, z pewnością zwiększało jego mękę. Musiał jednak dokończyć dzieła. Wydawało mu się, że nim skończył, minęła prawie godzina.

Poszarpane szczątki u jego stóp uspokoiły się wreszcie, a on sam poszedł nad wodę, aby się obmyć. Był do głębi wstrząśnięty i chciało mu się wymiotować. Może to dziwić u kogoś, kto był w okopach nad Sommą, ale - jak mówią architekci - nie ma rzeczy wielkich lub małych, wszystko zależy od miejsca, z którego się je ogląda.

W końcu ruszył przed siebie bez celu, ale już po chwili wzdrygnął się i ponownie wbił spojrzenie w ziemię. Przyspieszył kroku, znowu się zatrzymał i jeszcze raz spojrzął pod nogi. Zamarł bez ruchu i ukrył twarz w dłoniach, a potem podniósł głowę ku niebu i zaczął modlić się na głos, błagając Boga, by przerwał ten koszmar lub pozwolił mu zrozumieć, co się dzieje.

Wzdłuż brzegu wyspy ciągnął się krwawy szlak z okaleczonych żab. Stawiając ostrożnie stopy, aby nie nadeptać na żalosne szczątki, naliczył ich dziesięć, piętnaście, dwadzieścia... Przy dwudziestej pierwszej żabie dotarł do miejsca, w którym las podchodził klinem do samego brzegu. Przeszedł przez las i wynurzył się po drugiej stronie, aby natychmiast znieruchomieć. Jakies dziesięć metrów od niego stał Weston, wciąż ubrany, ale bez swego tropikalnego kasku. Stał i rozdzierał żabę: spokojnie, z

niemal chirurgiczną precyzją zagłębiał wskazujący palec, zakończony długim, ostrym paznokciem, tuż za głową zwierzęcia, a następnie rozpruwał je aż do zadu. Ransom nie zwrócił wcześniej uwagi na jego zdumiewające paznokcie. Ukończywszy operację, Weston odrzucił krwawiące szczątki i podniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

Ransom milczał, bo nie był w stanie wydobyć głosu. Miał przed sobą człowieka, który z pewnością nie był chory, bo stał pewnie na nogach, a przed chwilą wykazał niepospolitą siłę i sprawność palców. Sądząc po jego wysokości, budowie, rysach, kolorze skóry i włosów był to na pewno Weston. Pod tym względem nie mógł mieć wątpliwości. Grozę budził fakt, że było w nim coś, co jednak pozwalało w to wątpić. Nie sprawiał wrażenia chorego - lecz raczej umarłego. Twarz, którą ukazał zakończywszy torturowanie żaby, miała w sobie przerażającą moc, jaką widzi się czasami w twarzy trupa, moc, która udaremnia wszelkie ludzkie odczucia wobec takiej twarzy. Pozbawione wyrazu usta, martwe, nieruchome oczy, coś ciężkiego i jakby nieożywionego w każdej zmarszczce na policzkach - wszystko to zdawało się mówić: „Mam twarz taką jak ty, ale poza tym nie mamy niczego wspólnego”. To właśnie sprawiło, że Ransom nie mógł wydobyć z siebie słowa. Co można powiedzieć - do czego się odwołać, czym zagrozić - mając przed sobą *coś takiego*? W końcu, z trudem torując sobie drogę do jego świadomości, odrzucając wszelkie myślowe konwencje i brutalnie łamiąc naturalne pragnienie, by w to nie wierzyć, w końcu wyłoniło się z chaosu odczuć i myśli przekonanie, że TO nie jest człowiekiem, że ciało Westona tylko dlatego nie ulega rozkładowi, bo opanował je zupełnie inny rodzaj życia, a samego Westona już nie ma.

Istota patrzyła na Ransoma w milczeniu, aż w końcu zaczęła się uśmiechać. Wszyscy niekiedy mówimy o szatańskim uśmiechu - Ransom też używał tego wyrażenia - ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że nigdy nie brał tych słów na serio. Ten uśmiech nie był ani przykry, ani dziki, nie był też ponury w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie był nawet drwiący. Z jakąś straszliwą naiwnością i tępotą zdawał się zapraszać Ransoma do świata tak odmiennych wzruszeń i rozkoszy, jakby były wspólne wszystkim ludziom, czymś najbardziej naturalnym, bezspornym, nie podlegającym dyskusji. Nie był to uśmiech ukradkowy, wstydlivy, konspiracyjny. Nie zaprzeczał dobru - po prostu je ignorował aż do granic unicestwienia. Ransom zrozumiał, że dotychczas widział tylko połowiczne, nieudolne próbki zła. W tej istocie było ono wyraźne i triumfujące, tak pełne i bezwstydnne, że bliskie potwornej niewinności. Ta istota była poza

granicami grzechu, tak jak Zielona Pani była poza granicami cnoty.

Ten uśmiech i milczenie trwały chyba ze dwie minuty - w każdym razie na pewno nie krócej. Potem zdecydował się na zrobienie kroku w kierunku Istoty, nie wiedząc jeszcze, co robi, gdy się do niej zbliży. Potknął się i upadł. Nieoczekiwanie powstanie na nogi sprawiło mu dużą trudność, a kiedy wreszcie stanął, zachwiał się i upadł po raz drugi. A potem pociemniało mu w oczach i usłyszał gwałtowny łoskot, jakby tuż obok przejechał pociąg pospieszny. Kiedy znowu ujrzał złociste niebo i różnobarwne fale morza, zdał sobie sprawę, że odzyskuje przytomność po omdleniu. Był sam.

Leżał wciąż, nie mając ani siły, ani chęci, aby wstać. Nagle przypomniało mu się, co czytał kiedyś w dziełach dawnych filozofów i poetów: że jedną z największych udręk piekła jest sam widok szatanów. Aż do tej chwili uważał to za osobliwą fantazję, teraz zrozumiał, że nawet dzieci wiedzą na ten temat więcej: każde dziecko natychmiast przyzna, że może być taka twarz, której zobaczenie jest równoznaczne z najgorszym, nieodwracalnym nieszczęściem. Dzieci, filozofowie i poeci znają prawdę. Podobnie jak ponad wszystkimi światami jest Oblicze, którego sam widok przynosi niewysłowioną radość, tak u samego dna wszystkich światów kryje się inna Twarz, napełniająca każdego, kto ją ujrzy, nieukojonym cierpieniem i poczuciem upadku. I chociaż sądzimy, że bywa - i naprawdę jest - tysiąc dróg wiodących przez życie, nie ma wśród nich ani jednej, która wcześniej czy później nie zawiodłaby człowieka albo do uszczęśliwiającego, albo do upodlającego Oblicza. Oczywiście on sam widział przed chwilą jedynie jego maskę lub mglistą zapowiedź, ale mimo to wcale nie był pewien, czy nie znalazł się w przedsionku śmierci.

Kiedy odzyskał siły, wstał i ruszył na poszukiwanie Istoty. Czuł, że musi zapobiec jej spotkaniu z Zieloną Panią lub przynajmniej być przy nim obecny. Nie wiedział, co będzie w stanie zrobić, ale teraz stało się już oczywiste, że właśnie po to został tu przysłany. Ciało Westona, odbywające podróż przez przestrzeń kosmiczną, było tylko czymś w rodzaju wehikułu, przy pomocy którego dokonało inwazji Perelandry coś innego. W świetle tego przerażającego faktu mniej już było ważne, czy chodzi o najważniejsze, pierwotne Zło, nazywane na Marsie Skrzywionym, czy tylko o jednego ze służących mu duchów.

Ransom czuł, że całe ciało pokrywa mu gęsia skórka, nie potrafił też zapanować nad kolanami, które co chwila stukały o siebie. Zdumiewało go, że mimo dojmującego lęku był w stanie chodzić i myśleć, podobnie jak

żołnierze na froncie lub ludzie ciężko chorzy dziwią się, że można jednak znieść tak wiele. Mówimy: „Oszaleję, jak to się stanie” albo „Przecież tego nie zniosę, to mnie zabije” - a potem to się staje i stwierdzamy, że nie tylko żyjemy i jesteśmy przy zdrowych zmysłach, ale robimy to, co do nas należy.

Pogoda zmieniła się. Równina, po której szedł, wyduła się w fałdę. Niebo zaczęło blednąć, złocista kopuła nabrała barwy rozkwitłych pierwiosnków. Pociemniałe morze połyskiwało teraz starym brązem. Wkrótce wyspa wspinała się już na wyniosłe wodne wzgórza. Raz czy dwa usiadł, by nieco odpocząć. Posuwał się wolno i dopiero po kilku godzinach ujrzał dwie ludzkie postacie na tle chwilowego widnokręgu. Zaraz potem znikły, przysłonięte wyrosłym nagle garbem łądu. Dotarcie do nich zajęło mu blisko pół godziny.

Ciało Westona stało, chwiejąc się i balansując przy każdej zmianie rzeźby terenu. Utrzymywało równowagę w sposób, na jaki dawny, prawdziwy Weston nigdy nie mógłby się zdobyć. Mówiło coś do Pani, ta zaś słuchała z uwagą. Ku zdumieniu Ransoma nie powitała go ani nie zareagowała w inny sposób, gdy usiadł obok niej na miękkiej murawie.

- Tworzenie opowieści albo poezji o rzeczach, które mogłyby się stać, lecz się nie wydarzyły - mówiło ciało Westona - jest naprawdę wielkim wzrostem, wspaniałym owocowaniem. Jeśli się przed tym cofasz, to czy nie odrzucasz ofiarowanego ci owocu?

- Nie cofam się przed tworzeniem opowieści, Przybyszu - odpowiedziała. - Lękam się tylko jednej opowieści, tej, którą mi wkładasz do głowy. Sama mogę tworzyć opowieści o moich dzieciach albo o Królu. Kiedy jednak próbuję tworzyć opowieść o życiu na Stałym Łądzie, nie wiem, co począć z Maleldilem. Przecież nie mogę wymyślić czegoś takiego, że On zmienia swój zakaz, bo to niemożliwe. A jeśli pomyślę, że mielibyśmy tam żyć wbrew zakazowi, to czuję się tak, jakbym uczyniła niebo czarnym, wodę czymś, czego nie można pić, a powietrze - czym nie można oddychać. A zresztą nie widzę żadnej przyjemności w wymyślaniu takich rzeczy, po cóż więc to robić?

- Aby stać się mądrzejszą, starszą - odpowiedziało ciało Westona.

- Czy jesteś pewny, że tak się stanie?

- Tak, ponad wszelką wątpliwość. Właśnie w ten sposób kobiety z mojego świata stały się tak potężne i piękne.

- Nie słuchaj go! - wtrącił się Ransom. - Odpędź go! Nie słuchaj jego słów, nie myśl o nich!

Odwróciła się do niego po raz pierwszy. W jej twarzy zauważył jakąś mało uchwytną zmianę od czasu, gdy widział ją ostatnim razem. Nie było to przygnębienie ani oszołomienie, raczej cień niepewności. Mimo to, wyraźnie ucieszyła się na jego widok, chociaż była zaskoczona tą nagłą interwencją. Jej pierwsze słowa wyjaśniły mu, dlaczego nie przywitała go, gdy się pojawił: po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, by w rozmowie mogły brać udział więcej niż dwie osoby. Zresztą i później jej nieznaną podstawowych zasad prowadzenia konwersacji nadawała całej scenie nieco dziwny i męczący charakter. Nie potrafiła przenosić szybko spojrzenia z jednej twarzy na drugą ani uchwycić sensu dwóch zdań wypowiedzianych jednocześnie. Raz słuchała tylko Ransoma, raz drugiego rozmówcy, ale nigdy obu jednocześnie.

- Dlaczego zaczynasz mówić, nim tamten skończy, Łaciaty? - zapytała. - Jak sobie radzicie w waszym świecie, gdzie jest was wielu, więc często spotykają się więcej niż dwie osoby? Czy nie mówią kolejno? A może posiadacie umiejętność rozumienia się nawet wtedy, gdy wszyscy mówią równocześnie? Ja jestem na to chyba nie dość stara.

- Nie chcę, żebyś go w ogóle słuchała - powiedział Ransom. - On jest... - i urwał, bo nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. „Zły”, „kłamca”, „wróg” - żadne z tych słów nie miało jeszcze dla niej znaczenia. Szukając lepszego słowa, przypomniał sobie ich poprzednią rozmowę o wielkim eldilu, który trwał przy dawnym dobru i odwracał się od nowego. Tak, to będzie jedyna dla niej droga do przyswojenia pojęcia zła. Już miał przemówić, gdy uprzedził go głos Westona.

- Łaciaty nie chce, żebyś mnie słuchała, bo robi wszystko, byś wciąż była młoda. Nie chce, żebyś sięgnęła po nowe owoce, jakich jeszcze nigdy nie próbowałaś.

- Dlaczego miałby pragnąć, abym wciąż była młoda?

- Czy nie zauważyłaś - odrzekło ciało Westona - że Łaciaty zawsze cofa się przed nadpływającą falą i najchętniej, gdyby tylko mógł, zawróciłby falę, która już przeszła? Czyż nie zdradził się z tym już w pierwszej rozmowie z tobą? Jeszcze wówczas nie wiedział, że wszystko się odmieniło od czasu, gdy Maleldil stał się człowiekiem. To ty musiałaś go nauczyć tej prawdy, a on niechętnie ją przyjął. Było mu żal, że nie będzie już dawnych pokrytych futrem stworzeń. Gdyby tylko mógł, przywróciłby znowu stary, miniony świat. A kiedy go poprosiłaś, żeby cię nauczył Śmierci, odmówił. Chciał, żebyś wciąż była młoda, żebyś nie wiedziała o Śmierci niczego. Czy to nie on posiał w twojej głowie myśl, że można nie pragnąć fali, którą

toczy ku nam Maleldil? Czy nie mówił ci, że trzeba się cofać przed nią za każdą cenę, nawet odciąć sobie ręce i nogi, jeśli będzie trzeba?

- Czy to możliwe, by był aż tak młody?

- W moim świecie mówi się o takim człowieku: zły - powiedziało ciało Westona. - To ktoś, kto odtrąca ofiarowany mu owoc, bo woli ten, którego oczekuje, albo ten, który znalazł poprzednim razem.

- A zatem musimy uczynić go starszym - rzekła Pani i chociaż nie patrzyła na Ransoma, poczuł, jak ogarnia go fala jej macierzyńskości. Tak, wciąż była wielką Matką i Królową, pragnącą dobra dla niego i dla wszystkiego, co żyje, a on - on nie był w stanie przeszkodzić temu, co się działo. Wytracono mu oręż z ręki.

- A ty nauczysz nas Śmierci? - Pani zwróciła się do stojącego nad nią ciała Westona.

- Tak. Po to właśnie tutaj przybyłem: żeby wam nigdy nie zabrakło Śmierci. Ale musisz być bardzo odważna.

- Odważna? Co to znaczy?

- To jest to, co każe ci pływać w dzień, w którym fale są tak wielkie i szybkie, że coś wewnątrz radzi ci zostać na brzegu.

- Znam to. To najlepsze dni do pływania.

- Tak. Ale po to, by spotkać Śmierć, a wraz z nią prawdziwą starość i potężne piękno, a więc by sięgnąć najdalej jak można, po to musisz zanurzyć się w coś większego niż fale.

- Mów dalej. Nigdy jeszcze nie słyszałam takich słów. Są jak bańki pękające na drzewach. Sprawiają, że myślę o... o... sama nie wiem o czym...

- Usłyszysz jeszcze ode mnie większe słowa, ale muszę poczekać, aż będziesz starsza.

- Uczyń mnie starszą.

- O Pani, Pani! - przerwał im Ransom. - Czyż Maleldil nie uczyni cię starszą wtedy, kiedy zechce i w swój własny sposób? I czy tak nie będzie lepiej?

Ani teraz, ani w żadnym innym momencie rozmowy twarz Westona nie zwróciła się ku niemu, ale jego głos odpowiedział na te pytania, choć zwracał się wyłącznie do Zielonej Pani:

- Widzisz? On sam wyjawiał ci parę dni temu, chociaż tego nie zamierzał ani nie chciał, że Maleldil zaczyna cię uczyć chodzić samodzielnie, bez prowadzenia za rękę. To było jak pierwsze sięgnięcie w dal. Kiedy to poznałaś, stałaś się naprawdę starsza. A od tego czasu Maleldil pozwolił ci

nauczyć się o wiele więcej, nie za pomocą swojego głosu, lecz mojego. Stajesz się samodzielna. Tego właśnie chce Maleldil. Właśnie dlatego rozłączył cię z Królem, a nawet, w pewien sposób, ze sobą samym. Rozumiesz teraz, w jaki sposób chce cię uczynić jeszcze bardziej starszą? On chce, żebyś sama stawiała się starsza, żebyś to robiła samodzielnie. Taka jest wola Maleldila. A do czego namawia cię ten Łaciaty? Do tego, żebyś siedziała beczynnie i czekała, aż Maleldil wszystko zrobi za ciebie.

- Co możemy zrobić z Łaciatym, żeby stał się starszy?

- Nie sędzę, byś mogła mu pomóc, dopóki sama nie staniesz się starsza. Teraz nie pomożesz nikomu. Jesteś jak drzewo bez owoców.

- Tak, to prawda - przyznała Pani. - Mów dalej.

- A więc posłuchaj. Czy rozumiałaś, że oczekiwanie na głos Maleldila, kiedy On chce, abyś była samodzielna, jest pewnym rodzajem nieposłuszeństwa?

- Wydaje mi się, że to rozumiem.

- Zły rodzaj posłuszeństwa może być nieposłuszeństwem.

Pani zamyśliła się na chwilę, a potem klasnęła w dłonie.

- Rozumiem - powiedziała. - Oczywiście! Och, jak już jestem stara dzięki tobie! Niedawno ścigałam dla zabawy zwierzę. Ono wiedziało, o co chodzi, i uciekało przede mną. Gdyby stało spokojnie i pozwoliło mi się schwytać... tak, to by było posłuszeństwo... ale nie najlepsze...

- Zrozumiałaś to bardzo dobrze. Kiedy zupełnie dorośniesz, będziesz mądrzejsza i piękniejsza od kobiet z mojego świata. Czy teraz widzisz, że tak samo może być z zakazami Maleldila?

- Tego chyba jeszcze do końca nie rozumiem.

- Czy jesteś pewna, że On naprawdę pragnie, aby zawsze być Mu posłusznym?

- Jakże można nie słuchać tego, kogo się kocha?

- A jednak to zwierzę uciekło przed tobą, chociaż cię kochało.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Pani w zadumie - czy to jest to samo. Zwierzę dobrze wie, kiedy chcę, aby uciekło, a kiedy chcę, żeby do mnie przyszło. Natomiast Maleldil nie powiedział mi nigdy, że jakieś Jego słowo lub czyn jest żartem. Przecież nasz Umiłowany nie potrzebuje śmiechu i swawoli, tak jak my. On jest cały płomienną radością i siłą. To tak, jakby sądzić, że potrzebuje snu lub jedzenia.

- Nie, to by wcale nie był żart. To tylko tak wygląda, ale nie o to tu chodzi. Pomyśl, czy wyzwolenie twojej ręki z dłoni Maleldila - czyli twoje pełne dorośnięcie, twoja samodzielność - mogłoby być prawdziwe i pełne,

gdybyś choć raz nie *udała*, że nie jesteś Mu posłuszna?

- Jak można udawać, że się jest nieposłusznym?

- Przez zrobienie czegoś, czego On tylko *pozornie* zakazał. Maleldil mógł zakazać czegoś właśnie po to, żebyś ten zakaz złamała.

- Ale przecież gdyby powiedział, że mamy to złamać, nie byłoby zakazu! A dopóki nam tego nie powie, skąd mamy wiedzieć, czego pragnie?

- Och, jakże mądrą się stajesz, piękna Pani - powiedziały usta Westona.

- Słusznie. Gdyby Maleldil powiedział wam, abyście złamali Jego przykazanie, nie byłoby prawdziwego przykazania. Tak, masz rację, On nie żartuje. On pragnie skrycie prawdziwego nieposłuszeństwa, prawdziwego odgałęzienia się od Jego pnia. Pragnie tego skrycie, bo gdyby nam to powiedział, wszystko by się zepsuło.

- Teraz zaczynam się zastanawiać - powiedziała Pani po chwili milczenia

- czy rzeczywiście jesteś starszy ode mnie. Naprawdę, twoje słowa są jak owoc bez smaku! Jakże mogłabym zrobić coś wbrew Jego woli inaczej, niż czyniąc coś, czego nie powinnam uczynić? Czy mam próbować przestać kochać Maleldila - albo Króla - albo zwierzęta? To tak, jakbym chciała chodzić po wodzie lub przepłynąć przez wyspę. Czy mam próbować nie spać albo nie pić, albo nie śmiać się? Nie, Przybyszu. Sądziłam, że twoje słowa mają jakieś ukryte znaczenie, ale teraz widzę, że się myliłam. Droga niezgodna z Jego wolą to droga, która prowadzi donikąd.

- To prawda w odniesieniu do wszystkich Jego przykazań prócz tego jednego.

- A czemu to jedno miałyby się różnić od innych?

- Och, przecież sama widzisz, że się różni. Sama widzisz, że wszystkie inne przykazania Maleldila - żeby kochać, spać, napędzać ten świat waszymi dziećmi - są dobre i mądre. One są dobre i mądre wszędzie, we wszystkich światach. Ale z zakazem zamieszkania na Stałym Lądzie jest inaczej. Powiedziałem ci już, że w moim świecie nie ma takiego zakazu. Sama też nie rozumiesz, na czym miałyby polegać jego słuszność i mądrość. Nic dziwnego. Gdyby był słuszny i dobry, to czy nie obowiązywałby wszędzie? Bo w rzeczywistości *nie* jest dobry. Sam Maleldil objawia ci to właśnie w tej chwili, za pomocą twojego własnego rozumu. To *tylko* przykazanie. Nie ma w nim dobra. To tylko zakaz dla samego zakazu.

- Ale po co...

- Po to, żeby go złamać. Czy może być jakaś inna przyczyna? Przecież sam w sobie nie jest dobry. Nie ma go w innych światach. Ten zakaz

oddziela cię od całej pełni życia, od prawdziwego panowania nad powierzonym ci światem. Czyż Maleldil nie ukazuje ci - i to najwyraźniej, jak potrafi - że ów zakaz jest tylko próbą, czymś na kształt wielkiej fali, którą musisz pokonać, aby stać się naprawdę starszą, naprawdę oddzieloną od Niego?

- Jeśli to ma wielkie dla mnie znaczenie, to dlaczego nic mi o tym nie mówi? Wszystko to przychodzi do mnie tylko od ciebie, Przybyszu. Nie słyszę nawet Jego szeptu, nie słyszę nawet „tak!” potwierdzającego twoje słowa.

- Czy nie pojmujesz, że to niemożliwe? On pragnie... och, jak bardzo pragnie!... by Jego stworzenie stało się w pełni sobą, by zaufało własnemu rozumowi i własnej odwadze - nawet wbrew Niemu. Jakże mógłby ci *powiedzieć*, żebyś to zrobiła? Przecież to by wszystko psuło. Cokolwiek byś po tym uczyniła, byłoby wciąż niesamodzielne, wciąż uczynione z Nim. A to jest ta jedna, jedyna rzecz, którą masz zrobić sama, do której On nie chce przyłożyć ręki. Czy myślisz, że nie nuży Go oglądanie tylko siebie samego we wszystkim, co stworzył? Znaleźć Innego - kogoś, czyja wola nie będzie już tylko Jego wolą - oto, czego pragnie Maleldil.

- Gdybym tylko wiedziała...

- On ci tego nigdy sam nie powie. Nie może tego powiedzieć. Jedyne, co może zrobić, aby ci to jakoś przekazać, to posłużyć się innym stworzeniem. I zrozum wreszcie - właśnie to czyni! Po cóż w końcu odbyłem tę podróż przez Głębiny Niebios? Czy nie rozumiesz, że przybyłem, aby powiedzieć ci to, czego On sam nie chce ci powiedzieć?

- Pani - odezwał się Ransom - czy mnie wysłuchasz, gdy przemówię?

- Chętnie, Łaciaty.

- Ten człowiek powiedział, że zakaz mieszkania na Stałym Lądzie różni się od innych praw Maleldila, ponieważ nie obowiązuje we wszystkich pozostałych światach i ponieważ nie można dostrzec jego słuszności. A potem mówił, że dzieje się tak dlatego, abyś mogła okazać swe nieposłuszeństwo. Ale może być inna przyczyna.

- Jaka? Powiedz, Łaciaty.

- Myślę, że Maleldil ustanowił ten zakaz po to, abyś mogła okazać Mu swoje posłuszeństwo. W innych sprawach to, co nazywasz posłuszeństwem, jest tylko czynieniem tego, co i tak uważasz za dobre i słuszne. Czy miłość może tylko na tym poprzestać? Inne przykazania wypełniasz, bo są zgodne z Jego wolą, ale nie tylko dlatego. W jaki sposób mogłabyś zakosztować prawdziwej radości z wypełniania Jego woli, gdyby

nie zakazał ci czynić czegoś, co samo w sobie nie jest dobre ani słuszne, czego *jedynym* powodem jest właśnie Jego zakaz? W ostatniej rozmowie powiedziałaś, że zwierzęta z radością chodziłyby na głowach, gdybyś tylko dała im taki rozkaz. Jestem więc pewien, że dobrze rozumiesz, co ci chcę powiedzieć.

- Och, dzielny Łaciaty! - zawołała Zielona Pani. - To najlepsze ze wszystkiego, co dotychczas powiedziałaś! Czynisz mnie znacznie starszą, ale to zupełnie inna starość niż ta, której mi udziela tamten drugi. Ach, teraz wszystko jest takie jasne! Nie możemy odstąpić nawet na krok od woli Maleldila, ale jednocześnie wskazał On nam sposób odstąpienia od *naszej* własnej woli. A tym jedynym sposobem jest właśnie taki zakaz. Tak, wbrew naszej woli. To jest... to tak, jakby przebić sklepienie świata i ulecieć w Głębiny Niebios, tam, gdzie jest tylko On i miłość. Wiedziałam, że przyjemnie patrzeć na Stały Łąd i odrzucić wszelką myśl o tym, by na nim zamieszkać, ale zrozumiałam to dopiero teraz.

Jej twarz promieniała, gdy to mówiła, lecz nagle znowu pojawił się na niej cień niepewności.

- Skąd wiesz to wszystko, jeśli jesteś taki młody, jak mówi ten drugi?

- To on powiedział, że jestem młody. Myślę, że jest inaczej.

W tej chwili z ciała Westona wydobył się głos donośniejszy i głębszy, jeszcze mniej podobny do głosu profesora:

- Jestem starszy od niego i on nie odważy się temu zaprzeczyć. Zanim poczęta została matka jego matki, ja byłem już starszy ponad jego wyobrażenia. Przebywałem z Maleldilem w Głębinach Niebios i wysłuchiwałem słów odwiecznych zgromadzeń, tam, dokąd on nigdy nie trafił. Jestem od niego starszy i potężniejszy w hierarchii stworzenia; wobec mnie on jest niczym. Czy możesz mi zaprzeczyć, Łaciaty?

Trupia twarz nie zwróciła się ku niemu, lecz Ransom pojął, że zarówno jego Przeciwnik, jak i Zielona Pani oczekują na jego odpowiedź. Poczęte już w myśli kłamstwo zamarło mu na ustach. Pod złocistym niebem Perelandry możliwa była tylko prawda, choćby miała przynieść mu klęskę. Oblizując wyschłe wargi i poskramiając mdłości, powiedział:

- W naszym świecie ten, kto jest starszy, nie zawsze jest mądrzejszy.

- Spójrz na niego! - odezwało się ciało Westona do Pani. - Spójrz na niego, a ujrzysz pot na jego czole i bladość na policzkach. Nie widziałaś jeszcze takich objawów, ale odtąd będziesz je widywała często. Oto, co się dzieje - a to dopiero początek! - z małymi, nędznymi stworzeniami, gdy występują przeciw większym i potężniejszym od siebie!

Ransom poczuł dreszcz straszliwego przerażenia przebiegający mu po kręgosłupie. Uratował go widok twarzy Zielonej Pani. Spoglądała na stojącą nad nią Śmierć z wyrazem niepewności, mieszczącej się jednak w granicach rozbawienia i dziecięcego zaciekawienia, a choć zło było tak blisko, nie miało do niej dostępu, jakby oddzielały je dziesiątki lat podróży w głąb królestwa jej niewinności i prostoty. Ta niewinność chroniła ją skutecznie, zarazem jednak narażała na niebezpieczeństwo.

- Ale on ma rację, Przybyszu! On mi wyjaśnił najlepiej zagadkę tego zakazu Maleldila. To ciebie trzeba uczynić starszym. Czy sam tego nie widzisz?

- Ja zawsze ogarniam spojrzeniem całość, a on dostrzega tylko połowę. To prawda, że Maleldil wskazał ci sposób odstąpienia od twojej własnej woli, ale chodziło Mu o twą wolę najgłębszą.

- A cóż to takiego?

- Teraz twoją najgłębszą wolą jest okazywanie posłuszeństwa Maleldilowi. Pragniesz pozostać taką, jaką jesteś - Jego ukochanym zwierzątkiem, Jego maleńkim dzieckiem. Wydostać się z tego stanu jest bardzo trudno. Ta trudność stworzona została po to, by na pokonanie jej poważył się tylko ktoś naprawdę potężny, ktoś bardzo mądry i bardzo odważny, bo tylko ktoś potężny, mądry i odważny godzien jest wydostania się z tego małego, dziecięcego światka, w którym teraz żyjesz, by poprzez ciemną falę Jego zakazu wstąpić w prawdziwe życie, w Głębinę Życia, z całą ich radością i trudem.

- Posłuchaj mnie, Pani - przerwał mu Ransom. - On nie wyjawia ci całej prawdy. Wszystko, o czym teraz mówimy, było już kiedyś tematem rozmowy. Próba, do której on pragnie cię nakłonić, została już kiedyś podjęta. Dawno temu, u początków naszego świata, żyła tylko jedna para ludzi, mężczyzna i kobieta, podobnie jak tu, na Perelandrze, jesteście tylko wy, ty i Król. I pewnego razu ten Obcy stanął przed kobietą, tak jak teraz stoi przed tobą. Znalazł ją samotną, podobnie jak dzisiaj ciebie. Mówił jej to samo co tobie, a ona posłuchała go i uczyniła to, czego Maleldil zakazał jej czynić. Ale z tego, co uczyniła, nie narodziła się wcale radość ani chwała. Nie potrafię ci opowiedzieć, co z tego wynikło, bo w twoich myślach nie ma odpowiednich wyobrażeń i porównań. Mogę ci tylko wyjawić, że odtąd wszelka miłość ochłodła, a ludziom trudno już było usłyszeć głos Maleldila. Dlatego mądrość przestała się krzewić bujnie pośród nich: kobieta powstała przeciw mężczyźnie, matka przeciw swemu dziecku, a kiedy poczuli głód, spostrzegli, że drzewa nie rodzą już owoców. Musieli

poświęcać cały swój czas na zdobywanie pożywienia i oto ich życie zawężało się i ograniczyło, zamiast poszerzyć i pogłębić.

- Ukrywa przed tobą połowę tego, co się stało - powiedział głos wydobywający się z trupich ust Westona. - Tak, życie stało się trudniejsze, ale towarzyszyła mu chwała. Ludzie wzniesli własnymi rękami góry wyższe od waszego Stałego Lądu. Zbudowali sobie pływające wyspy większe od waszych i potrafią nimi przemierzać oceany szybciej niż ptaki. Ponieważ nie zawsze starcza dla wszystkich jedzenia, kobieta może oddać swemu mężowi lub dziecku ostatni owoc, a sama spożyć śmierć. A więc potrafi oddać im wszystko, potrafi uczynić to, czego ty, zamknięta w swoim małym, dzieciennym światku igraszek, pieszczot i przejażdżek na rybach, nigdy nie dokonałaś i nigdy nie dokonasz, dopóki nie złamiesz zakazu Maleldila. Tak, odtąd trudniej było zdobyć wiedzę, ale właśnie dlatego te nieliczne kobiety, które ją posiadały, stały się piękne i potężne, przewyższając innych ludzi tak, jak ty przewyższasz zwierzęta. O ich miłość walczą tysiące mężczyzn...

- Chyba pójdę teraz spać - oznajmiła nagle Pani. Aż do tej chwili słuchała z rozchylonymi ustami i szeroko otwartymi oczami, lecz kiedy głos Westona zaczął wychwalać ziemskie kobiety z ich tysiącami kochanków, ziewnęła bezwstydnie i bez namysłu, jak młoda kotka.

- Poczekaj! - zawołały usta Westona. - Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Łaciaty nie powiedział ci, że to właśnie złamanie zakazu sprowadziło Maleldila do naszego świata. Właśnie dlatego stał się człowiekiem. Nie ośmieli się zaprzeczyć.

- Czy potwierdzasz to, Łaciaty? - zapytała Pani.

Ransom siedział skurczony, zaciskając dłonie tak mocno, że pobieleły mu kostki. niesprawiedliwość tego wszystkiego raniła go jak drut kolczasty. To niesprawiedliwe... to krzywdzące! Jakże walczyć, skoro wytrąca mu się z ręki każdy oręż, skoro Maleldil zabrania mu kłamać, a jednocześnie przenosi do świata, w którym prawda okazuje się zgubna? To niesprawiedliwe! Poczul, że rodzi się w nim ogień buntu, ale już w sekundę później nadeszło zwątpienie, załamując się nad nim jak wielka fala. A jeśli Przeciwnik ma mimo wszystko rację? *Felix peccatum Adame*. Nawet Kościół naucza, że z nieposłuszeństwa narodziło się w ostatecznym rozrachunku dobro. Jest również prawdą, że on, Ransom, jest istotą bojaźliwą, cofającą się przed wszystkim, co nowe i trudne. Komu właściwie ma służyć ta pokusa? W błyskawicznej wizji ujrzał postęp ziemski: miasta, armie, wyniosłe okręty, biblioteki, sławę i wielkość poezji wytryskającej niby

fontanna z pracy i ambicji ludzi. Któż może z całą pewnością twierdzić, że Ewolucja Twórcza nie jest najgłębszą prawdą? Z najtajniejszych zakamarków mózgu, których istnienia nigdy nie podejrzewał, zaczęło powstawać coś dzikiego, oszałamiającego i jednocześnie rozkosznego, coś, co kierowało się z uwielbieniem ku kształtom Westona. „To jest duch - szeptał ów wewnętrzny głos - to jest duch, a ty jesteś tylko człowiekiem. To duch, który trwa od tysiącleci. Ty jesteś tylko człowiekiem...”

- Czy zgadzasz się z tym, Łaciaty? - powtórzyła swe pytanie Pani.

Zły czar prysnął.

- Powiem ci, z czym się zgadzam, Pani - odpowiedział Ransom zrywając się na nogi. - Tak, z tego wszystkiego ostatecznie wynikło dobro. A cóż innego mogło wyniknąć? Czy Maleldil jest zwierzęciem, które możemy zawrócić z drogi, lub liściem, który możemy zgnieść i zniekształcić? Cokolwiek uczynisz, On przemieni to w dobro. Ale nie będzie to dobro, jakie zamyślił dla ciebie, gdybyś była Mu posłuszna. To dobro będzie utracone na zawsze. Tak, pierwszy Król i pierwsza Matka naszego świata dokonali czynu zakazanego, a Maleldil przemienił to w dobro. Ale to, co uczynili, nie było dobre, a tego, co utracili, nigdy nie ujrzeliśmy i nie ujrzemy. Są też tacy ludzie, dla których nie wynikło z tego żadne dobro i nigdy nie wyniknie.

Odwrócił się gwałtownie do ciała Westona.

- Powiedz jej wszystko! Jakie *ty* zyskałeś dobro? Czy *ty* cieszysz się z tego, że Maleldil stał się człowiekiem? Opowiedz jej o *swoich* radościach i o *swoich* korzyściach, jakie ci przyniosło spotkanie Maleldila ze śmiercią.

W tym momencie zdarzyły się dwie rzeczy, obie zupełnie obce ziemskiemu doświadczeniu. Ciało Westona zadarło gwałtownie głowę, otworzyło usta i wydało z siebie przeciągły, żalospny dźwięk przypominający wycie psa, natomiast Zielona Pani położyła się zupełnie obojętna na wszystko, zamknęła oczy i już po chwili zapadła w głęboki sen. A gdy się to działo, kawałek łądu, na którym przebywali we troje, zaczął się gwałtownie osuwać po wielkim wodnym zboczu.

Ransom nie spuszczał oczu z Przeciwnika, lecz ten zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Jego źrenice poruszały się jak źrenice żywego człowieka, trudno było jednak się zorientować, na co spoglądają i czy w ogóle służą mu za organ wzroku. Odnosiło się wrażenie, że jakaś obca siła zwraca źrenice w odpowiednim kierunku, gdy usta mówią, ale tak naprawdę ta istota posługuje się zupełnie innymi metodami percepcji. Istota usiadła przy głowie Pani; była teraz oddzielona od Ransoma całą

długością jej uśpionego ciała. Trudno właściwie powiedzieć, że usiadła: nie przypominało to zwykłych ludzkich ruchów, lecz znowu zdawało się, jakby jakaś zewnętrzna siła uformowała ciało w stosowną pozycję, a następnie opuściła je na ziemię. Trudno powiedzieć, który z ruchów ciała był na pewno nieludzki. Ransom miał wrażenie, jakby obserwował naśladownictwo ruchów żywego człowieka, naśladownictwo bardzo wierne i technicznie bez zarzutu, któremu jednak czegoś brakowało. Czuł, jak napętnia go niewymowna, podobna do dziecięcych nocnych lęków groza na widok tego trupa ożywianego jakąś siłą, tego upiora - Nie-człowieka.

Nie pozostawało mu nic innego, jak siedzieć bezczynnie, strzegąc Zielonej Pani przed Nie-człowiekiem, podczas gdy wyspa wspinała się wciąż i wciąż na Alpy i Andy Iśniącej wody. Wszyscy troje trwali w ciszy i w bezruchu. Raz po raz zbliżały się do nich zwierzęta i spoglądały ciekawie. Minęły długie godziny, zanim Nie-człowiek przemówił. Nawet nie spojrzął w stronę Ransoma; wolno i opornie, jak źle naoliwiony mechanizm, rozchylił wargi i wypowiedział jego nazwisko:

- Ransom.

- Co?

- Nic.

Ransom spojrział na niego badawczo. Czyżby oszalał? Ale w jego wyglądzie nic się nie zmieniło, wciąż sprawiał wrażenie raczej martwego niż obłąkanego, gdy tak siedział bez ruchu, z głową opuszczoną i lekko rozchyłonymi ustami, z nogami skrzyżowanymi po turecku, wspierając się z przodu na rękach z długimi, połyskującymi metalicznie paznokciami. W bruzdach na jego policzkach osiadło nieco żółtego pyłku z pobliskich porostów. Ransom przestał się nim zajmować i powrócił do własnych, ponurych rozmyślań.

- Ransom - rozległ się matowy głos.

- Co takiego? - rzucił ostro Ransom.

- Nic - padła odpowiedź.

Znowu zapadło milczenie i znowu, po jakiejś minucie, ohydne usta wypowiedziały to samo słowo:

- Ransom.

Tym razem nie odpowiedział. Znowu minęła minuta i znowu usłyszał swoje nazwisko, a potem, jak ostrzegawczy sygnał, co minutę padało martwe, złowieszcze „Ransom... Ransom... Ransom...”

- Czego chcesz, do diabła? - wybuchnął wreszcie Ransom.

- Nic - odpowiedział głos.

Postanowił nie reagować, ale kiedy po raz tysięczny usłyszał swe nazwisko, nie wytrzymał, odpowiedział krótkim pytaniem i znowu rozległo się martwe „Nic”. W końcu nauczył się milczeć. Tortura opierania się impulsowi odpowiedzi nie była wcale lżejsza od męki samej odpowiedzi, lecz postanowił zniszczyć pewność swego dręczyciela, który najwidoczniej nie wątpił, że ofiara musi się wreszcie poddać.

Gdyby atak był gwałtowniejszy, łatwiej byłoby mu się opierać, ale niesamowite połączenie złośliwości i jakby dzieciennienia zbijało go z tropu i niemal paraliżowało. Był w pewnym sensie przygotowany na pokusy, na bluźnierstwa, na jakąś kanonadę grozy i potworności, ale nie na to drobne, niezmordowane dokuczanie godne nieznośnego przedszkolaka. Godziny mijały i czuł, że żadna prawdziwa groza nie byłaby tak dręcząca, jak narastające w nim przekonanie, iż ta istota jest według wszelkich ludzkich pojęć jakby przenicowana na lewą stronę: serce ma na wierzchu, a we wnętrzu jakąś powierzchowną płytkość. Na wierzchu - wielkie plany i wrogość wobec Niebios, której skalą jest los wszechświata; w głębi - kiedy już przedarło się przez wszystkie osłony - nie było nic, prócz owej złośliwej błazenady, bezsensownej i bezcelowej mściwości, gotowej sycić się nawet drobnymi okrucieństwami, podobnie jak miłość nie gardzi najmniejszymi wyrazami uczucia. Ostatecznie tym, co pomogło mu wytrwać w milczeniu, gdy już poniechał daremnych prób myślenia o czymś innym, był wymuszony wybór: skoro musi wysłuchiwać milion razy albo słowa „Ransom”, albo słowa „nic”, woli już to pierwsze.

A przez cały ten czas mały skrawek mieniącego się barwami klejnotów łądu raz po raz ulatywał ku żółtemu niebu, zawisał przez moment na szczycie fali kołysząc miękko pióropuszcami lasów, a potem ześlizgiwał się w ciepłą, połyskliwą dolinę między dwiema falami. Zielona Pani spała z głową opartą na zgiętym ramieniu, z lekko rozchylonymi wargami. Nie ulegało wątpliwości, że spała - oczy miała zamknięte, a oddech spokojny i regularny - a jednak wyglądała inaczej niż ludzie pogrążeni we śnie, bo jej twarz pełna była wyrazu i inteligencji, a całe ciało sprawiało wrażenie gotowego w każdej chwili do skoku. Można było mniemać, iż sen nie jest czymś, co się z nią dzieje, lecz raczej czynnością, wykonywaną przez nią świadomie.

Niespodziewanie i szybko zapadła noc.

- Ransom... Ransom... Ransom... - powtarzał głos.

Nagle przyszło mu na myśl, że z całą pewnością kiedyś będzie musiał zasnąć, natomiast Nie-człowiek może tego wcale nie potrzebować.

10

Problem snu rzeczywiście okazał się ciężką próbą. Przez długi czas, zdrętwiały i zmęczony, a wkrótce głodny i spragniony, siedział w ciemnościach, starając się nie zwracać uwagi na nieustannie powtarzane swoje nazwisko. Nagle zdał sobie sprawę, że tuż obok niego toczy się rozmowa, której początku na pewno nie słyszał, a więc mimo wszystko musiał zasnąć. Pani rzadko się odzywała, natomiast łagodny głos Westona brzmiał prawie bez przerwy. Lecz tym razem nie mówił ani o Stałym Łądzie, ani nawet o Maleldilu. Z zaskakującym wdziękiem i patosem opowiadał jej o rozmaitych wydarzeniach. Z początku Ransom nie mógł się dopatrzeć żadnego związku między tymi opowieściami. Wszystkie mówiły o kobietach, lecz każda z nich najwyraźniej żyła w innym miejscu, warunkach i czasie. Rzadkie uwagi Zielonej Pani wskazywały, że jest w tych opowieściach wiele rzeczy, których nie rozumie. Co dziwniejsze, Nieczłowiek wcale się o to nie troszczył. Jeśli jej pytania okazywały się zbyt trudne lub kłopotliwe, po prostu przerywał wątek i natychmiast rozpoczynał inny.

Bohaterki jego opowieści miały jednak przynajmniej jedną cechę wspólną: wszystkie były ciężko doświadczane przez los. Były prześladowane przez ojców, porzucane przez mężów i opuszczane przez kochanków. Własne dzieci buntowały się przeciw nim, a społeczeństwo potępiało i odrzucało. Wszystkie opowieści kończyły się jednak w pewnym sensie szczęśliwie: czasem bohaterkom udawało się nawet dożyć do czasu zadośćuczynienia i zaszczytów, częściej czekało je spóźnione uznanie i daremne opłakiwanie po śmierci.

W miarę jak płynął ten nie kończący się potok słów, pytania Zielonej Pani stawały się coraz rzadsze. Najwidoczniej - na skutek częstego powtarzania - ukształtowały się w niej jakieś pojęcia słów „Śmierć” i „Smutek” - jakie, tego już Ransom nie był w stanie odgadnąć. Wreszcie i jemu zaczęło świtać, o czym są te wszystkie opowieści. Każda z kobiet walczyła samotnie i narażała się odważnie dla swego dziecka, kochanka

lub ludu. Każda była niezrozumiana, wyszydzana i prześladowana, lecz w ostatecznym rozrachunku bieg wydarzeń oddawał jej sprawiedliwość, choć zawile drogi losu tych kobiet nie zawsze były dla słuchacza czytelne. Nie ulegało wątpliwości, że w barwnej galerii owych szlachetnych postaci nie brakowało takich, które na Ziemi określa się mianem czarownic lub kobiet upadłych. Ale przebieg wydarzeń stanowił tylko tło. Z każdej opowieści wyłaniał się przede wszystkim pewien wizerunek - obraz kobiety wysokiej i smukłej, wyprostowanej i pogodnej, choć dźwigającej na swych ramionach ciężar świata, wstępującej w ciemność bez lęku, z uśmiechem na ustach, aby dokonać czynu przez innych zakazanego i potępianego, choć właśnie niezbędnego dla ich własnego ocalenia. I za każdym razem, jako coś w rodzaju tła dla tych boskich sylwetek, mówca zręcznie budował obraz drugiej płci. Bezpośrednio nie padło na ten temat ani jedno słowo, lecz wyczuwało się ów męski świat jako wielką, mglistą ciżbę stworzeń żałośnie dziecinnych i bezkrytycznie zadufanych, bojaźliwych, drobiazgowych i pozbawionych twórczej myśli, ospałych jak woły, prawie wrośniętych w ziemię na skutek chronicznej indolencji, cofających się przed każdym czynem, każdym wysiłkiem i ryzykiem. Ku pełni życia mogły ich dźwignąć jedynie owe samotne, nie oczekujące wdzięczności kobiety. W każdym razie opowieści skomponowane były po mistrzowsku. Nawet Ransom - który zresztą nigdy nie był specjalnie dumny ze swojej płci - złapał się na tym, że przez chwilę uwierzył w to wszystko.

Nagle błyskawica rozdarła ciemności, a w parę sekund później przetoczył się rozkoszny, perelandryjski grzmot, jakby ktoś zagrał na niebiańskim tamburynie. Lunął ciepły deszcz. Ransom nie zwracał na to uwagi. W świetle błyskawicy ujrzał Nie-człowieka siedzącego sztywno, Zieloną Panią wspartą na jednym łokciu, a tuż przy jej głowie czuwającego smoka; za nimi zajaśniał gaj, a dalej wielkie fale na tle widnokręgu.

Zamyślił się nad tym, co zobaczył. Jak ona może patrzeć na tę twarz, te szczęki poruszające się monotonnie, jakby nie mówiły, ale coś przeżuwały - i nie wyczuć, że ta istota jest z gruntu zła? Ale po chwili zreflektował się: zadaje niezbyt rozsądne pytania. Cóż ona wie o człowieku? On sam jest w jej oczach postacią niezgrabną i dziwaczną. Ona w ogóle nie wie, co to jest zło, nie zna wyglądu normalnych ludzi, skąd więc mogłaby wywnioskować, że z ciałem Westona jest coś nie w porządku?

Wyraz, jaki dostrzegł na jej twarzy w krótkim mgnieniu błyskawicy, był dla niego czymś zupełnie nowym. Nie patrzyła na opowiadającego, właściwie mogła być myślami tysiące mil stąd. Usta miała lekko zaciśnięte,

brwi nieco uniesione. Jeszcze nigdy nie przypominała tak bardzo kobiety naszego rodzaju. A jednak podobny wyraz nieczęsto widuje się na Ziemi... chyba że... - uświadomienie tego było dla Ransoma wstrząsem - na scenie. „Jak królowa z tragedii”, pomyślał z pewną odrazą.

„Oczywiście, jest w tym duża przesada”, stwierdził po chwili. To ją obraża. Poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. A jednak... jednak... Żywy obraz objawiony przez błyskawice utrwalił się w jego mózgu jak fotografia. W żaden sposób nie mógł przestać o nim myśleć. Tak, bardzo *dobra* królowa z tragedii, wspaniale grana przez kobietę, która w prawdziwym życiu odznacza się dobrocią. Według ziemskich kryteriów wygląd ten powinien właściwie budzić uznanie, nawet szacunek. Ale Ransom nie czuł podziwu. Pamiętał, co widział w jej twarzy wcześniej: nieświadomą, promienną pogodę, radosną, nawet swawolną świętość, głębię spokoju, przywodzące na myśl czasem niemowlęctwo, a czasem dojrzałą starość, choć młodzieńcza twardość twarzy i całego ciała wykluczała i jedno, i drugie. W porównaniu z tym ów nowy wyraz budził odrazę. Okropny cień świadomie akceptowanej wielkości, ślady sprawiającego jej wyraźną przyjemność patosu, drobne, lecz czytelne oznaki odgrywania jakiejś roli - wszystko to sprawiało na nim wrażenie żalostnej wulgarności. A może to tylko spontaniczna reakcja na objawianą jej właśnie po raz pierwszy sztukę eposu, legendy i poezji? Podtrzymywał w sobie nadzieję, że tak właśnie jest, lecz mimo wszystko nie potrafił się wyzbyć uczucia niesmaku i niespokoju. I po raz pierwszy odezwała się w nim jasno sformułowana myśl: „*Trzeba to przerwać, trzeba temu zapobiec*”.

- Chodźmy tam, gdzie liście osłonią nas od deszczu - rozległ się w ciemności głos kobiety.

Do tej chwili Ransom prawie nie zauważył, że jest mokry, w końcu nie jest to takie ważne w świecie, w którym nie nosi się ubrania. Wstał jednak, gdy usłyszał ruch, i podążył za nią, kierując się słuchem. Zdawało mu się, że Nie-człowiek zrobił to samo. Posuwali się w całkowitej ciemności, po gruncie chwiejnym jak powierzchnia wody. Raz po raz błyskawice rozjaśniały niebo ukazując na moment Zieloną Panią, dumnie wyprostowaną, i wlokącego się u jej boku Nie-człowieka w mokrych, oblepiających ciało szortach i koszuli Westona. Za nimi dreptał smok prycając i sapiąc. W górze krople deszczu bębniły o sklepienie z wielkich, twardych liści. Usiedli.

- A innym razem - zaczął natychmiast Nie-człowiek - żyła w naszym świecie królowa władająca niewielką krainą...

- Sza! - przerwała mu Pani. - Posłuchajmy deszczu. - A po chwili dodała:
- Co to takiego? Nigdy nie słyszałam głosu tego zwierzęcia.

Istotnie, tuż przy niej zabrzmiało przed chwilą w ciemności coś przypominającego głuchy pomruk.

- Nie wiem - powiedział głos Westona.

- Ja chyba wiem - rzekł Ransom.

- Sza! - uciszyła ich ponownie Pani.

Tej nocy nie padło już ani jedno słowo.

Taki był początek całej serii dni i nocy, które Ransom z niechęcią wspominał do końca życia. Miał niestety rację podejrzewając, że Przeciwnik nie odczuwa potrzeby snu. Na szczęście odczuwała ją Zielona Pani, choć potrzebowała go o wiele mniej niż Ransom, a w miarę upływu dni zaczęła chyba sypiać krócej, niż wymagała tego jej natura. W każdym razie ilekroć budził się z krótkiej drzemki, stwierdzał, że Nie-człowiek już z nią rozmawia. Ransom był śmiertelnie zmęczony i chyba by nie wytrzymał tego długo, gdyby co jakiś czas Zielona Pani nie dawała im wyraźnie do zrozumienia, że chce być sama. Zdarzało się to dość często, lecz wówczas zawsze starał się nie odstępować Nie-człowieka, co sprawiało, że nawet te krótkie chwile wytchnienia od zasadniczej batalii nie przynosiły mu pełnego odpoczynku. Ani na moment nie ważył się spuścić go z oczu i z dnia na dzień jego towarzystwo stawało się coraz trudniejsze do zniesienia.

Miał teraz sposobność przekonania się o zawodności tradycji, według której Księżę Ciemności odznacza się dobrymi manierami. Coraz częściej czuł, że gładki i subtelny Mefistofeles w czerwonej pelerynie, kapeluszu z piórami i z rapierem u boku, a nawet posępny, tragiczny Szatan z *Raju utraconego* stanowiliby przynoszące ulgę wytchnienie po tej odrażającej istocie, na której śledzenie był skazany. Nie przypominało to też rozgrywki prowadzonej z podstępny, zręczny dyplomata, bardziej już pilnowanie jakiegoś imbecyla, małpy lub szczególnie nieznośnego dziecka. Nadal, o każdej porze dni i nocy, słyszał swoje nazwisko powtarzane tym obrzydliwym, bezmyślnym tonem, i wciąż, jak za pierwszym razem, budziło to w nim wstręt i zbijało z tropu.

W rozmowach z Zieloną Panią Nie-człowiek wykazywał co prawda wiele subtelnej inteligencji, lecz posługiwał się nią wyłącznie jak orężem, który odrzucał w godzinach wolnych od zasadniczej rozgrywki, podobnie jak żołnierz na urlopie nie ćwiczy walki na bagnety. Myśl była dla niego narzędziem osiągnięcia określonego celu - poza tym nie interesowała go w ogóle. Rozumem posługiwał się instrumentalnie i mechanicznie, tak jak

ciałem Westona. Gdy tylko tracił z oczu Panią, osuwał się w stan bezmyślnej wegetacji.

Wiele czasu zajmowało Ransomowi chronienie przed nim zwierząt. Nie-człowiek korzystał z każdej okazji, by schwytać znajdujące się akurat w jego zasięgu żywe stworzenie i przynajmniej wydrzeć mu nieco sierści lub piór. Ransom starał się stawać między nim a ofiarą i wówczas mierzyli się długo spojrzeniami. Do walki nigdy nie dochodziło, ponieważ Przeciwnik tylko wykrzywił twarz, prychnął, spluwał i w końcu cofał się nieco; zanim to jednak uczynił, Ransom miał możliwość odkrycia, że ciągle bardzo go się boi. Bo niezależnie od wstrętu, nie opuszczał go zwykle na dłużej nieco dziecinny lęk, towarzyszący obcowaniu z upiorem lub sztucznie ożywionym trupem. Chwilami myśl o przebywaniu z nim *sam na sam* napełniała go takim obrzydzeniem, że musiał się odwoływać do całego swego rozsądku, by znieść tęsknotę za innym towarzystwem, by pokonać przemożny impuls nakazujący mu biec na oślep przez wyspę, odnaleźć Zieloną Panią i błagać ją o pomoc i opiekę.

Kiedy Nie-człowiek nie mógł dosięgnąć zwierząt, zadowalał się roślinami. Lubił ranić paznokciami korę, wrywać z ziemi korzenie, obrywać liście lub wyszarpywać garście mchu i porostów. Miał też bogaty repertuar złośliwych zabaw, wyraźnie obliczonych na dokuczenie Ransomowi. Posługiwał się przy tym w sposób obrzydliwy swoim - a raczej Westona - ciałem. Porażająca głupota owych zabaw dorównywała ich wulgarności. Czasami siedział i całymi godzinami wykrzywił się do Ransoma, a potem znowu dręczył go w swój stary, wypróbowany sposób, powtarzając bez końca: „Ransom... Ransom... Ransom...” Często robił miny przypominające Ransomowi osoby znane i kochane. Ale najgorsze były chwile, gdy pozwalał dojść do głosu prawdziwemu Westonowi i mamrotał żałośnie:

- Bądź ostrożny, Ransom, bądź bardzo ostrożny. Jestem na samym dnie głębokiej, czarnej dziury... Nie, nieprawda! Jestem na Perelandrze. Trudno mi zebrać myśli, ale to nic, on za mnie myśli. Zaraz będzie lepiej. Ten chłopak wciąż zamyka okna. Tak musi być, wszystko w porządku... Zabrali mi głowę i nałożyli inną. Ale zaraz będzie lepiej... Nie pozwolili mi pokazać moich wycinków prasowych. Poszedłem i powiedziałem im prosto z mostu, że jeśli nie widzą mnie w pierwszej drużynie, to mogą sobie radzić beze mnie... Powiemy temu szczeniakowi, że pokazywanie takiej pracy egzaminatorom to obelga... Proszę mi powiedzieć, dlaczego płacę za bilet pierwszej klasy i jadę w takim tłoku! To zwyczajne oszustwo! Nigdy nie

chciałem wyrządzić komuś krzywdy. Och, zdejmijcie ten ciężar z moich piersi!... Nie chcę tych wszystkich ubrań. Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie! To niesprawiedliwe. To nieuczciwe. Cóż za obrzydliwe muchy! Mówią, że można do nich przywyknąć...

Bełkot kończył się zwykle czymś w rodzaju psiego skowytu. Ransom nie potrafił dociec, czy to nowy, wymyślny sposób dręczenia go, czy też w ten kapryśny i żaloszny sposób dają o sobie znać obumierające siły psychiczne istoty, która kiedyś była Westonem. W każdym razie odkrył, iż wygastała w nim dawna nienawiść do profesora, a nawet modlił się gorąco za jego duszę, choć to, co wobec niego czuł, nie było litością w ścisłym znaczeniu tego słowa. Dotychczas myśląc o piekle wyobrażał sobie, że potępione dusze zachowują wciąż cechy ludzkie; teraz, kiedy rozwarła się przed nim czeluść dzieląca świat duchów od świata ludzi, litość została prawie całkowicie pochłonięta przez zgrozę, stłumił ją niemożliwy do opanowania szok, z jakim Życie odwracało się od realnej, pożerającej samą siebie Śmierci. Jeśli doczesne szczątki Westona przemawiały w takich momentach ustami Nie-człowieka, to sam Weston nie był już teraz człowiekiem. Moce, które być może już wiele lat temu zaczęły pochłaniać jego człowieczeństwo, dokonały już swego dzieła. Skażona wola, zatruwająca stopniowo inteligencję i uczucia, zatruła wreszcie śmiertelnie samą siebie i cały system psychiczny rozleciał się na kawałki. Pozostał jedynie upiór - wieczny niepokój, proch, ruina, odór rozkładu. „I ten stan - myślał Ransom - mógłby przypaść w udziale mnie... albo jej.”

Ale oczywiście godziny spędzane sam na sam z Nie-człowiekiem miały drugorzędne znaczenie. Prawdziwy cel życia wyznaczały nie kończące się rozmowy między Kusicielem a Zieloną Panią. Trudno było ocenić ich skutek z godziny na godzinę, ale w miarę upływu dni Ransom nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż ogólny rozwój sytuacji zmierza w kierunku wyznaczonym przez Przeciwnika, choć i jemu zdarzały się potknięcia i porażki. Często ulegał nieoczekiwaniu jakiemuś bardzo prostemu argumentowi, którego widocznie nie był w stanie przewidzieć. Często wtrącenie się samego Ransoma do tej straszliwej dyskusji dawało chwilowy skutek. Bywały chwile, w których myślał: „Chwała Bogu! W końcu zwyciężyliśmy!” Ale Przeciwnik nigdy nie dawał za wygraną, był niestrudzony, podczas gdy Ransom odczuwał coraz większe znużenie, a niebawem zaczął też dostrzegać oznaki świadczące o zmęczeniu Zielonej Pani. W końcu uczynił jej wyrzut z tego powodu i prosił, by odprawiła ich obu. Spotkał się jednak z ostrą odmową, która ujawniła mu, jak groźna już jest sytuacja.

- Chcesz, bym odpoczywała i bawiła się, gdy *to wszystko* jest przede mną?
- zapytała. - Nie pozwolę sobie na to, dopóki nie będę pewna, że nie muszę dokonać jakiegoś wielkiego czynu dla dobra Króla i dzieci naszych dzieci.

Przeciwnik skoncentrował teraz swój atak po tej właśnie linii. Zielona Pani nie znała wprawdzie pojęcia „obowiązku”, ale Nie-człowiek potrafił skłonić ją do ciągłego rozmyślania o idei nieposłuszeństwa w kontekście jakiejś powinności. Przekonał ją też, że odrzucanie takich myśli jest tchórzostwem. Dzień po dniu, w tysiącach najróżniejszych wariantów, podsuwał jej ideę Wielkiego Czynu, Wielkiego Poświęcenia, a jednocześnie wytrwale niszczył w niej chęć poczekania z decyzją na radę Króla. Nie powinna nawet myśleć o takim „tchórzostwie”, bo cały sens jej „czynu” - cała jej wielkość - polega właśnie na tym, by spełnić go bez wiedzy Króla. Dopiero wtedy Król będzie mógł naprawdę swobodnie odrzucić go lub przyjąć. W ten sposób wszelkie korzyści i dobrodziejstwa przypadną jej małżonkowi, ona zaś weźmie na siebie całe ryzyko, a z ryzykiem, rzecz jasna, spłynie na nią cała wzniosłość, patos, tragedia i niepowtarzalność „czynu”. Pytanie Króla o radę - dowodził Kusiciel - mijałoby się też z celem, gdyż z całą pewnością nie potrafiłyby zaakceptować jej decyzji. Tacy już są mężczyźni. Aby Król uzyskał prawdziwą wolność, trzeba go do tego zmusić. Teraz gdy ona, jako kobieta, jest już samodzielna - teraz lub nigdy - nadszedł czas na dokonanie szlachetnego czynu. Owo „teraz lub nigdy” działało na uczucie, jakie Pani dzieliła ze wszystkimi kobietami Ziemi - na lęk przed zmarnotrawieniem życia, przed niewykorzystaniem jakiejś wielkiej szansy.

- To tak, jakbym była drzewem, które mogło wydać owoce, lecz nie wydało żadnych - powiedziała pewnego razu i widać było, że jest tym głęboko przejęta.

Ransom próbował ją przekonać, że dzieci są wystarczająco pięknymi owocami, ale Nie-człowiek natychmiast zapytał, czy to możliwe, by tak szczególny podział ludzkiego rodzaju na dwie płci mógł mieć na celu jedynie wydawanie potomstwa. Przecież ta sprawa mogła być załatwiona o wiele prościej, na przykład tak jak u wielu roślin. W chwilę później wyjaśniał jej, że w naszym świecie mężczyźni tego pokroju co Ransom - o wyjątkowo męskich, zachowawczych poglądach, którzy zawsze cofają się przed wszystkim, co nowe - starają się od dawna ograniczyć rolę kobiety do rodzenia dzieci, ignorując całkowicie owo zaszczytne przeznaczenie, dla którego Maleldil ją stworzył. Tacy mężczyźni wyrządzili już na Ziemi nieodwracalne szkody i właśnie jej zadaniem jest troska, by nic podobnego

nie zaszło na Perelandrze.

Na tym etapie kuszenia Nie-człowiek zaczął ją uczyć wielu nowych słów, takich jak „twórczość”, „intuicja” czy „duchowość”. Było to jednak błędne posunięcie. Kiedy wreszcie zrozumiała, co to znaczy „twórczość”, zapomniała o „wielkim poświęceniu” i „tragicznym osamotnieniu”, a w końcu wybuchnęła długim śmiechem. W rezultacie powiedziała Nie-człowiekowi, że jest młodszy od Łaciatego i odprawiła ich obu.

W tym punkcie Ransom zdobył pewną przewagę, ale nazajutrz utracił ją całkowicie, ponieważ nie potrafił nad sobą zapanować. Przeciwnik zachwalał z jeszcze większym niż zwykle zapałem szlachetność postawy samoofiary i poświęcenia, a ona zdawała się tym być coraz bardziej urzeczona. Ransom, straciwszy w końcu cierpliwość, zerwał się na nogi i zaatakował ją z furją, mówiąc o wiele za szybko i stanowczo za głośno, a nawet zapominając chwilami języka solarnego i wplatając słowa angielskie. Starał się jej dowieść, że widział już ten rodzaj „samoposwiecenia” i „rezygnacji z samej siebie” w praktyce; mówił o żonach, które mdleją z głodu, lecz nie złączą jeść, dopóki nie przyjdzie pan domu, chociaż doskonale wiedzą, że on tego nie cierpi; mówił o matkach, które wypruwają z siebie wnętrzności, byle tylko wydać córkę za kogoś, kogo ona nie znosi; mówił o Agrypinie i Lady Makbet.

- Czy nie rozumiesz - krzyczał - że on każe ci powtarzać słowa, które nie mają sensu? Przecież to niedorzeczne wmawiać sobie, że uczynisz to dla dobra Króla, skoro on tego nigdy nie uzna za dobro! Czy jesteś Maleldilem, aby określać, co jest dobre dla Króla?

Zielona Pani niewiele z tego zrozumiała, natomiast wyraźnie zraziło ją jego gwałtowne zachowanie i w rezultacie korzyść z przemowy odniósł Nie-człowiek.

Ale dzięki tym wszystkim sukcesom i porażkom, wszystkim zmianom linii frontu, przeciwnatarciom, obronom i odwrotom, Ransom coraz wyraźniej dostrzegał strategię rozgrywki. Gotowość, z jaką Pani ulegała namowom, by podjęła ryzyko, by stała się tragiczną pionierką, wypływała przede wszystkim z jej miłości do Króla i jej nie narodzonych dzieci, a nawet - w pewnym sensie - do samego Maleldila. Myśli, że On sam może naprawdę życzyć sobie, by okazała nieposłuszeństwo, była jak otwarta śluza, przez którą wlewał się swobodnie potok innych sugestii i pojęć. Ale od czasu, gdy Nie-człowiek zaczął w nią sączyć tragiczne opowieści o losach ziemskich kobiet, pojawił się w niej również cień teatralności, pierwszy nikły ślad samouwielbienia i chęci odegrania głównej roli w

dramacie własnego świata. Stało się jasne, że cały wysiłek Nie-człowieka koncentruje się teraz na wzmocnieniu tego elementu. Dopóki te nowe skłonności stanowiły tylko kroplę w oceanie jej myśli, dopóty nie mógł wiele zdziałać: wciąż była odporna na pokusę realnego nieposłuszeństwa. Prawdopodobnie żadne rozumne stworzenie nie wyrzeknie się szczęścia dla czegoś tak mglistego, jak bajdurzenie Kusiciela o „pogłębnym życiu” i „ścieżce wiodącej wzwyż”, dopóki nie zacznie w nim dominować skłonność do samouwielbienia. Wewnątrz całej koncepcji szlachetnego buntu musi najpierw rozwinąć się zawołany egoizm. I oto Ransom zaczął zdawać sobie sprawę, że pomimo wszystkich kontrataków z jej strony i wielu porażek wroga, powoli, bardzo powoli, ale w sposób już zauważalny, to właśnie w niej się dzieje.

Oczywiście cała sprawa była tragicznie powikłana. Słowa Nie-człowieka nigdy nie odbiegały daleko od prawdy. Z całą pewnością było częścią Boskiego planu, aby to stworzenie osiągnęło dojrzałość, aby stawało się coraz bardziej wolne, aby - w pewnym sensie - oddzielało się od Boga i od swego towarzysza po to, by zjednoczyć się z nimi w bogatszy sposób, na wyższym poziomie. Od samego początku, od pierwszego z nią spotkania Ransom był świadkiem tego właśnie procesu i w pewnej mierze, nieświadomie, przyczyniał się do tego. Odtrącenie obecnej pokusy stanowiłoby następny, prawdopodobnie decydujący, krok w tym samym kierunku: osiągnięcia stanu posłuszeństwa bardziej dobrowolnego, bardziej rozumnego i bardziej świadomego. Ale z tego samego powodu ów inny, fałszywy i fatalny krok, który strąciłby ją na dno straszliwej niewoli pożądania i nienawiści, ekonomiki i konieczności władzy - niewoli tak dobrze znanej rodzajowi ludzkiemu - mógł się jej wydawać tak upragniony i chwalebny. O narastaniu w niej owej niebezpiecznej tendencji świadczyło coraz wyraźniejsze lekceważenie intelektualnego kośćca całego problemu. Coraz trudniej było zwrócić jej uwagę na *konkretne elementy* sytuacji: przykazanie Maleldila, całkowitą niepewność co do skutków nieposłuszeństwa, wreszcie obecny stan szczęścia tak wielkiego, że trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek zmianę na lepsze. Wszystko zostało zalane falą mętnych obrazów podsuwanych jej niestrudzenie przez Nie-człowieka, a zwłaszcza ową centralną wizję „Wielkiego Czynu” dla Króla i całej przyszłości Perelandry. Wciąż jeszcze była niewinna i żadna zła intencja nie przybrała konkretnego kształtu w jej umyśle, ale mimo nieskalanej dotąd woli, połowę jej świata wyobraźni wypełniały już błyskotliwe, lecz zatrute kształty.

„Muszę temu zapobiec”, pomyślał Ransom po raz drugi. Ale wszystkie jego argumenty okazywały się na dłuższą metę nieskuteczne. Przeciwnik dalej robił swoje. Pewnej nocy był tak zmęczony, że nad ranem zapadł w kamienny sen i obudził się późno w dzień. Był sam. Ogarnęło go przerażenie.

- Jak mogłem to zrobić! Jak mogłem! - zawołał przekonany, że wszystko stracone. Z otępiałą głową i ściśniętym sercem powłókł się na skraj wyspy, zamierzając znaleźć jakąś rybę i na jej grzbiecie popłynąć za zbiegami na Stały Łąd. Nie wątpił, że tam właśnie ich znajdzie. Przybity i oszołomiony poczuciem klęski zapomniał, że nie ma pojęcia, w jakim kierunku i w jakiej odległości może być teraz ów łąd. Wrócił w głąb wyspy, gorączkowo przeszukując gaje. Nagle, gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, stwierdził, że nie jest sam. Przed nim, na tle żółtego nieba, stały nieruchomo dwie postacie odziane w purpurowe szaty z piór i wielkie kołpaki ze srebrnych liści. Stopy miały bosc. Jedna z nich wydała mu się najpiękniejszym, druga najbrzydszym okazem ludzkich kształtów. Wtem usłyszał znajomy głos i zrozumiał, że patrzy na Zieloną Panią i nawiedzone ciało Westona. Znał też dobrze perelandryjskie ptaki, z których pochodziły pióra, natomiast sposób utkania z nich szat - jeśli można to nazwać tkaniem - stanowił dla niego zagadkę.

- Witaj, Łaciaty - powiedziała Królowa. - Długo dzisiaj spałeś. Co sądzisz o naszych liściach?

- Ptaki - jęknął Ransom. - Biedne ptaki! Co on im zrobił?

- Znalazł gdzieś te pióra - odrzekła beztrosko. - Ptaki je gubią.

- Dlaczego to zrobiłaś, Pani?

- On znowu uczynił mnie starszą. Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś, Łaciaty?

- O czym?

- O czym nigdy nie wiedzieliśmy. Dopiero on powiedział mi, że drzewa mają liście, a zwierzęta futra i że w waszym świecie mężczyźni i kobiety też zawieszają na sobie różne piękne rzeczy. Dlaczego nie mówisz, jak w tym wyglądamy? Och, Łaciaty, mam nadzieję, że to nie będzie jeszcze jedno nowe dobro, przed którym cofniesz swą rękę. Przecież nie może być nowe dla ciebie, skoro w waszym świecie robią to wszyscy.

- Tak, ale... - zaczął się jąkać - u nas jest inaczej. Jest zimno.

- Obcy też tak mówił. Ale nie wszędzie jest zimno. On mówi, że tam, gdzie jest ciepło, ludzie też to robią.

- A czy powiedział ci, dlaczego to robią?

- Bo chcą być piękni. A po cóż innego by to robili? - na jej twarzy odmalowało się szczere zdziwienie.

„Dzięki Bogu, na razie uczy ją tylko próżności”, pomyślał Ransom. Obawiał się czegoś gorszego. Ale czy można przez dłuższy czas nosić odzienie i nie nauczyć się wstydu, a poprzez wstyd lubieżności?

- Czy jesteśmy teraz piękni, Łaciaty? - zapytała ponownie Pani przerywając tok jego myśli.

- Nie - odpowiedział Ransom, a potem szybko się poprawił: - Nie wiem.

Odpowiedź była istotnie trudna. Jeśli chodzi o Nie-człowieka, to po zakryciu prozaicznych szortów i koszuli Westona wyglądał bardziej egzotycznie, a co za tym idzie nie tak nędznie i odrażająco. Natomiast Pani niewątpliwie wyglądała gorzej. W nagości jest coś powszedniego (w takim sensie, w jakim się mówi o „powszednim” chlebie). Wraz ze szkarłatną suknią pojawił się jakiś przepych, jakiś nadmiar, jakaś mniej doskonała koncepcja piękna. Po raz pierwszy (i ostatni) Ransom dostrzegł w niej kobietę, którą urodzony na Ziemi mężczyzna mógłby kochać w jakiś wyobrażalny sposób. Było to trudne do zniesienia. Upiorna niestosowność tej myśli jak gdyby ujęła czegoś z barw krajobrazu i z zapachu kwiatów.

- Czy uważasz, że jesteśmy teraz piękniejsi? - powtórzyła.

- Czy to takie ważne? - zapytał Ransom matowym głosem.

- Każdy powinien pragnąć wyglądać najpiękniej - odpowiedziała. - A my nie możemy siebie zobaczyć.

- Możemy - odezwało się ciało Westona.

- Jak to? - zdziwiła się i odwróciła do niego. - Przecież gdyby się nawet mogło obrócić oczy do środka, ujrzałoby się jedynie ciemność.

- Nie w ten sposób - powiedział. - Pokażę ci, jak.

Odszedł kilka kroków do miejsca, gdzie wśród żółtych porostów leżał plecak Westona. Z dziwną, beznamiętną ostrością, właściwą nieraz ludziom przerażonym lub całkowicie czymś pochłoniętym, Ransom zarejestrował spojrzeniem kształt i wykończenie plecaka. Musiał pochodzić z tego samego sklepu w Londynie, w którym kupił swój. Ten błahy fakt uprzytomnił mu nagle, że Weston był kiedyś człowiekiem, że i on przeżywał kiedyś radości, zmartwienia i miał ludzki umysł. Poczł gwałtowne wzruszenie.

Potworne palce, których prawdziwy Weston nigdy już nie miał użyć, manipulowały przez chwilę przy sprzączkach, a potem wydobyły z plecaka niewielki, połyskujący przedmiot: angielskie kieszonkowe lustro, które mogło kosztować ze trzy i pół szylinga. Podał je Zielonej Pani, a ona

zaczęła je oglądać.

- Co to jest? Co mam z tym zrobić? - zapytała.

- Spójrz w to - odrzekł głos Westona.

- Jak?

- Spójrz! - Wyjął lusterko z jej rąk i podniósł na wysokość twarzy. Wpatrywała się w nie przez dłuższy czas, jakby wciąż nie rozumiała, do czego służy. Potem nagle cofnęła się z krzykiem i zakryła twarz rękami. Ransom cofnął się również. Po raz pierwszy ujrzał ją jako zupełnie bierną ofiarę swoich własnych uczuć. W otaczającym go świecie zachodziły wielkie zmiany.

- Och... och! - zawołała. - Co to jest? Widziałam twarz.

- To twoja własna twarz. Piękna twarz - powiedział Nie-człowiek.

- Tak... rozumiem - wciąż unikała spojrzeniem lusterka. - Moja twarz... stamtąd... patrzyła na mnie. Czy staję się starsza, czy to coś innego? Czuję... czuję... och, jak mocno bije mi serce. Nie jestem ciepła. Co to znaczy?... Co to jest?...

Spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. Jej twarz straciła całą tajemniczość. Można było w niej czytać równie łatwo co w twarzy człowieka, który siedząc w schronie nasłuchuje gwizdu spadającej bomby.

- Co to jest? - powtórzyła.

- To jest Strach - powiedziały usta Westona, a potem jego twarz odwróciła się do Ransoma i wykrzywiła w uśmiechu.

- Strach... To jest Strach. - Rozmyślała nad tym nowym odkryciem. - Nie lubię tego - oświadczyła w końcu.

- To minie - rzekł Nie-człowiek, ale Ransom nie pozwolił mu skończyć.

- To nigdy nie minie, jeśli zrobisz to, do czego on cię namawia. On prowadzi cię do coraz większego i większego strachu.

- Prowadzę cię - mówił Nie-człowiek - ku wielkim falom. Poprowadzę cię przez nie i poza nie. Poznałeś już Strach, sama więc widzisz, że to ty musisz zakosztować go w imieniu całego twojego rodzaju i dla jego dobra. Wiesz, że Król tego nie zrobi. Nie chcesz, aby to zrobił. Ale ten drobiazg ma raczej budzić radość, nie strach. Czego się w nim lękasz?

- Tego, że rzeczy robią się podwójne, a przecież są pojedyncze - odpowiedziała stanowczo. - To - wskazała na lusterko - jest mną, a zarazem nie jest.

- Ale jeśli nie spojrzysz, nie będziesz wiedziała, jak jesteś piękna.

- Przyszło mi na myśl, Obcy, że owoc nie zjada sam siebie, a człowiek nie może obcować sam ze sobą.

- Owoc nie może tego zrobić, bo jest tylko owocem - odparł łagodnie Nie-człowiek - ale my możemy wiele. Tę rzecz nazywamy lusterkiem. Człowiek może kochać sam siebie i obcować ze sobą. To właśnie znaczy być mężczyzną albo kobietą: stanąć przed sobą jak przed drugą osobą i zachwycać swoją pięknnością. Lusterka są po to, aby uczyć tej umiejętności.

- Czy to jest dobre? - zapytała Pani.

- Nie - odpowiedział szybko Ransom.

- Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz - rzekł Nie-człowiek.

- Jeśli raz spróbujesz, a okaże się złe - powiedział Ransom - skąd wiesz, że zdołasz zaniechać robienia tego dalej?

- Stałam już przed sobą - oznajmiła nagle Pani - ale jeszcze nie wiem, jak naprawdę wyglądam. Skoro już jestem podwójna, to powinnam poznać tę drugą moją postać. A jeśli chodzi o twoje obawy, łaciaty, to przyznam się, że ich nie rozumiem. Wystarczy mi jedno spojrzenie, żeby zobaczyć twarz tej drugiej kobiety, czemu więc miałabym spoglądać więcej razy?

Z pewnym lękiem, ale zdecydowanie, wzięła lusterko z ręki Nie-człowieka i milcząc patrzyła w nie blisko minutę. Potem opuściła rękę i zamyśliła się głęboko.

- To bardzo dziwne - powiedziała w końcu.

- To bardzo piękne - dodał szybko Nie-człowiek. - Czy nie mam racji?

- Tak, masz rację.

- Ale nie znalazłaś jeszcze odpowiedzi na to, o co pytałaś.

- Co to było? Zapomniałam.

- Pytałaś, czy ta szata z piór czyni cię bardziej czy mniej piękną.

- Widziałam tylko twarz.

- Trzymaj lusterko dalej od siebie, a zobaczysz całą kobietę, tę drugą kobietę, która jest tobą. Albo nie... ja ci potrzynam.

Okropna banalność tej sceny zaczynała z niej czynić groteskę. Zielona Pani przyglądała się sobie dokładnie najpierw w szacie, potem nago, a potem znowu w szacie, wreszcie zdecydowała najwidoczniej, że szata czyni ją mniej piękną, bo zdjęła ją i odrzuciła od siebie. Nie-człowiek natychmiast ją podniósł.

- Nie chcesz jej zachować? - zapytał. - Przecież możesz włożyć ją kóregoś dnia, chociaż nie masz ochoty nosić jej stale.

- Zachować? - powtórzyła, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Ach, zapomniałem - rzekł Nie-człowiek. - Zapomniałem, że nie chcesz mieszkać na Stałym Łądzie ani zbudować sobie domu. Nie chcesz być panią swego losu. „Zachować” to znaczy złożyć jakąś rzecz w takim

miejscu, gdzie zawsze można ją znaleźć i gdzie nie może jej osiągnąć deszcz, zwierzę albo inny człowiek. Chętnie dałbym ci to lustro, żebyś je mogła zachować. Byłoby to lustro Królowej, dar z Głębin Niebios, dar niedostępny dla innych kobiet. Ale przypomniawszy mi, że to niemożliwe. Dopóki żyjesz tak jak teraz, z dnia na dzień, podobnie jak żyją zwierzęta, nie może być darów, zachowywania rzeczy, przewidywania przyszłości.

Lecz Zielona Pani zdawała się go nie słuchać. Stała nieruchomo, jakby ją oślepiła jakaś wspaniała wizja. W każdym razie nie wyglądała wcale jak kobieta myśląca o nowej sukni. Prawdę mówiąc, tej szlachetności było trochę za wiele. Wielkość, tragiczność, podniosłe uczucia - oto, co niewątpliwie zaprzętało jej myśli. Ransom zdał sobie sprawę, że epizod z szatą i lustrem tylko powierzchownie dotyczył tego, co potocznie nazywane jest kobiecą próżnością. Obraz jej pięknego ciała był tylko środkiem do obudzenia w niej o wiele bardziej niebezpiecznej wizji: wizji jej wielkiej duszy. Prawdziwym celem Przeciwnika była zewnętrzna, teatralna koncepcja osobowości. Czynił z jej wyobraźni i umysłu scenę, na której ta widmowa osobowość mogłaby zagrać główną rolę, bo sztukę już dla niej napisał.

11

Te kilka godzin porannego snu, które tak bardzo sobie wyrzucił, sprawiły jednak, że następnej nocy bez trudu zachował czujność. Morze uspokoiło się i deszcz nie padał. Siedział w ciemnościach wyprostowany, oparty plecami o drzewo. Nie był sam. Zielona Pani spała opodal, na co wskazywał jej miarowy oddech, a Nie-człowiek czuwał zapewne w pobliżu, gotów przebudzić ją i podjąć swe zabiegi, gdy tylko Ransom zapadnie w drzemkę. Po raz trzeci, z jeszcze większą siłą niż dotychczas, odezwała się w nim wyraźna myśl: *„To nie może trwać dłużej. Muszę coś zrobić”*.

Przeciwnik stosował metody trzeciego stopnia. Ransom czuł, że opór Zielonej Pani słabnie. Tylko cud mógłby ją uratować. Dlaczego nie zdarza się cud? Albo raczej: dlaczego cud nie wspomogł słusznej sprawy? Bo przecież sama obecność Przeciwnika była czymś w rodzaju cudu. Czyżby piekło miało przywilej dokonywania cudów? Dlaczego niebo milczy? Nie po raz pierwszy poczynił wątpić w Bożą sprawiedliwość. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Maleldil nie przybywa, skoro Przeciwnik zjawił się tu osobiście.

Lecz podczas gdy takie myśli przechodziły mu przez głowę, nagle - tak dojmująco, jakby gęsta ciemność wokół niego przemówiła artykułowanym głosem - odczuł wyraźnie, że Maleldil jest blisko. Po raz drugi czy trzeci powróciło zaznane już na Perelandrze poczucie - tak bardzo pożądane, a jednak nigdy nie przyjmowane bez pewnego oporu - poczucie czyjejś Obecności. Gęste ciemności były nią niemal fizycznie nasycone, napierała na niego ze wszystkich stron, tak że z trudem nabierał powietrze w płuca. Czuł jej ucisk wokół skroni, jakby je otaczała ciasna korona, od której ciężaru mąciło mu się w głowie. Co więcej, w jakiś nieokreślony sposób zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości ta Obecność towarzyszyła mu nieprzerwanie od samego początku, a tylko jakieś działanie jego podświadomości zdołało w nim stłumić zdolność jej odczuwania.

Osiągnięcie prawdziwej ciszy wewnętrznej nie jest dla człowieka łatwe. Wiecznie gadatliwa część naszej jaźni nie milknie nawet w najświętszych miejscach. Podczas gdy jedną część świadomości Ransoma pogrążyła w

ciszy fala lęku i miłości, przypominająca śmierć, w innej, obojętnej na cześć i uwielbienie, nadal trwał gwieźdki pytań i wątpliwości.

„To wszystko jest bardzo piękne - szeptał wewnętrzny elokwentny krytyk - ale w końcu cóż wynika z *takiej* obecności? Przeciwnik jest tu realnie, fizycznie, działa słowem i czynem. A gdzie jest wysłannik Maleldila?”

Odpowiedź, jaka nadeszła z ciszy i ciemności, szybka jak riposta szermierza lub tenisisty, prawie zaparła mu dech w piersiach, bo graniczyła z bluźnierstwem.

„Ale cóż jeszcze mogę zrobić?”, paplał elokwentny krytyk w jego mózgu. „Zrobiłem, co mogłem. Od tych nie kończących się dyskusji robi mi się niedobrze. I tak nic z tego, ona mu już prawie uległa.” Próbował sobie tłumaczyć, że on, Ransom, nie może być wysłannikiem Maleldila w takim sensie, w jakim Nie-człowiek jest wysłannikiem piekła. Odpowiedź, jaką dała cisza i ciemność, musi być diabelską pokusą, jej akceptacja oznaczałaby próżną pychę, megalomanię.

Ogarnęła go prawdziwa zgroza, gdy Ciemność po prostu odrzuciła mu ten argument prosto w twarz, prawie ze zniecierpliwieniem. A w chwilę później - zdumiał się, jak mógł dotąd sam tego nie spostrzec - został zmuszony do refleksji, która rozjaśniła mrok jego myśli jak błyskawica: przecież jego przybycie na Perelandrę było w końcu czymś równie zadziwiającym, prawie niemożliwym, co pojawienie się na niej Przeciwnika.

Wspierający słuszną sprawę cud, którego tak się domagał, w rzeczywistości już się wydarzył. On sam jest tym cudem.

„Ależ to nonsens”, odezwała się elokwentna część jaźni. „Cóż to za cud, on, Ransom, z tym komicznym, łaciatym ciałem, z żalonymi argumentami w dyskusji, raz po raz sprowadzanymi przez Przeciwnika do zera!” Rzucił się z nadzieją w tę boczną ścieżkę, wróżącą pomyślny odwrót. „Tak, to prawda, że dostałem się tu w sposób cudowny. Jestem narzędziem w rękach Boga. Dopóki czynię wszystko, co w mojej mocy - a temu żadna część mojej świadomości nie może zaprzeczyć - Bóg odpowiada za ostateczny wynik. Nie zdołałem pokonać Przeciwnika, ale robiłem, co było w mojej mocy. Nikt nie zdziałałby więcej. O sukcesie lub porażce nie decydują śmiertelnicy. Nie powinienem się troszczyć o ostateczny rezultat. To sprawa Maleldila. I to Maleldil odeśle mnie na Ziemię, jeśli nawet moje wysiłki nie przyniosą widomego skutku. Ale robiłem, co w mojej mocy. A może prawdziwym zamierzeniem Maleldila jest to, bym obwieścił rodzajowi ludzkiemu prawdy, których się dowiedziałem na planecie Wenus? Przecież

los tej planety nie może spoczywać na barkach przybysza z Ziemi. To sprawa samego Boga. Trzeba umieć pozostawić to w Jego rękach. Trzeba mieć wiarę...”

Nić myśli pękła, jak struna skrzypiec. Ze wszystkich wybiegów nie pozostał nawet strzęp. Niemal bezlitośnie Ciemność wtłoczyła w niego niezachwiane przekonanie, że ten obraz sytuacji jest dogłębnie fałszywy. Jego podróż na Perelandrę nie była ani jakąś moralną próbą, ani walką pozorowaną. Ostateczny wynik spoczywa w rękach Maleldila, ale to Ransom i Zielona Pani są tymi rękami. Los tej planety naprawdę zależy od tego, jak zachowają się w ciągu kilku następnych godzin. Taka jest nieodwołalna, naga prawda. Jeśli zechcą, mogą odmówić ratowania niewinności nowej rasy, ale jeśli odmówią - niewinność ta *nie zostanie* zachowana. Żadne inne stworzenie w czasie i przestrzeni nie może ich w tym zastąpić. Ransom wyraźnie zdał sobie z tego sprawę, chociaż wciąż nie miał pojęcia, co może zrobić.

Elokwentna część jaźni zaprotestowała natychmiast z furią, jak śruba motorówki wynurzona na chwilę nad powierzchnię wody. „Przecież to ślepotą, absurd, nieuczciwość! Czyżby Maleldil *chciał* zagłady swych światów? Jaki byłby sens powierzania czegoś tak straszliwie ważnego człowiekowi tak niepozornemu, słabemu i zawodnemu jak on?”

Lecz natychmiast przypomniał sobie, że w tej samej chwili daleko, na Ziemi, ludzie prowadzą wojnę. Błdzi podporucznicy i pryszczaci kaprale, którzy dopiero co zaczęli się golić, kulą się w norach okopów lub pełzną w śmiertelnych ciemnościach, świadomi - podobnie jak on - absurdalnej prawdy, że wszystko naprawdę zależy od tego, jak się zachowają. I przypomniał sobie, że dawno, dawno temu Horacjusz stał na moście, Konstantyn rozważał: odtrącić czy przyjąć nową religię, Ewa spoglądała na zakazany owoc, a moce niebieskie czekały na jej decyzję. Ransom wiał się i zgrzytał zębami, lecz nie mógł uciec od prawdy. Tak właśnie, a nie inaczej, został zbudowany świat. Od indywidualnych wyborów zależy albo coś, albo nic, a jeżeli coś, któż potrafi określić temu granice? Jeden kamień może wyznaczyć bieg rzeki. I właśnie on jest takim kamieniem w tym straszliwym momencie, czyniącym z Perelandry centrum całego wszechświata. Eldile wszystkich planet, bezgrzeszne byty wieczystego światła, uciły w Głębinach Niebios, by zobaczyć, co uczyni doktor Elwin Ransom z Cambridge.

A potem nadeszła błogosławiona ulga. Nagle uprzytomnił sobie, że przecież nie wie, co *może* zrobić. Omal nie wybuchnął głośnym śmiechem

z radości. Wszystkie obawy były przedwczesne! Nie wyznaczono mu, jak dotąd, żadnego konkretnego zadania. Oczekiwano od niego generalnej, wstępnej decyzji przeciwstawienia się Przeciwnikowi w sposób, jaki narzuca okoliczności i bieg wypadków. A więc miał po prostu - i tu schronił się skwapliwie pod opiekę tych napełniających otuchą słów, jak dziecko rzucające się w objęcia matki - „uczynić wszystko, co w jego mocy”, a raczej *nadal* czynić wszystko, co w jego mocy, bo przecież nic innego nie robił od samego początku. „Jak niepotrzebnie sami się straszymy!”, mruknął półgłosem, usadawiając się wygodniej pod drzewem. Ogarnęła go łagodna fala radosnego, a jednocześnie racjonalnego poczucia synostwa Bożego.

Nie! To niemożliwe! Ponownie wyprostował się, cały napięty, czując, jak serce łomocze mu w piersiach. Jego myśli natrafiły nagle na coś, przed czym cofnęły się jak człowiek, który dotknął rozgrzanego do czerwoności pogrzebacza. Lecz tym razem zgrozę stłumiło natychmiast poczucie niedorzeczności. Nie, to niemożliwe, to *dziecinada!* To *musi* być jakiś chytry podstęp jego własnej podświadomości. Przecież rozsądek uczy, że walka z Szatanem musi być walką *duchową*... Pomysł fizycznej walki z takim Przeciwnikiem mógłby się narodzić jedynie w mózgu jakiegoś dzikusa. Ach, gdyby to *było* takie proste!...

Ale tu elokwentny krytyk popełnił fatalną pomyłkę. Ransom miał zbyt silnie zakorzenioną uczciwość wobec własnej wyobraźni, by dłużej niż przez sekundę udawać, że fizyczna walka z Nie-człowiekiem nie jest czymś, czego się boi najbardziej. Wyobraźnia nie szczędziła mu wyrazistych obrazów. Trupi chłód tych rąk (dotknął ich przypadkowo kilka godzin wcześniej)... długie, metaliczne paznokcie... szarpiące ciało na cienkie paski... wydzierające ścięgna... Powolna, bardzo powolna śmierć... I do samego końca ten uśmiech bezmyślnego okrucieństwa, to spojrzenie. Uległby na długo przed śmiercią... błagałby o litość, przyrzekał pomoc, cześć boską, wszystko...

Na szczęście tej potwornej wizji nie sposób brać poważnie. Ransom zdecydował szybko - choć, prawdę mówiąc, decyzji brakowało stuprocentowej pewności - że bez względu na to, co zdawała się szeptać Cisza i Ciemność, jest niemożliwe, by Maleldil rzeczywiście oczekiwał od niego brutalnej, fizycznej walki. Jakikolwiek przeciwne tej decyzji lęki muszą być wytworem jego chorej wyobraźni. Duchowych zmagani nie można przecież degradować do poziomu mitologii.

Ale w tym miejscu pojawiła się nowa przeszkoda. Już dawno temu, na

Marsie - a pobyt na Perelandrze jeszcze to przeświadczenie umocnił - Ransom począł dostrzegać, że ściśle odróżnianie prawdy od mitu i obydwu tych pojęć od faktów jest zabiegiem czysto ziemskim, będącym pochodną owego nieszczęsnego rozdziału pomiędzy duchem i ciałem, który jest rezultatem Pierwszego Upadku człowieka. Zresztą nawet na Ziemi sakramenty są nieustannym przypomnieniem, że rozdział ten nie jest ani całkowity, ani ostateczny. Wcielenie było początkiem scalania rozdartych rzeczywistości. Na Perelandrze to wszystko nie miało znaczenia. Cokolwiek się tu wydarzy, człowiek zrodzony na Ziemi uzna za mitologię. Rozmyślał już o tym niejednokrotnie - teraz był pewien. Obecność, jaką nasyciona była ciemność, doświadczana tak silnie jak nigdy przedtem, składała te prawdy w jego ręce niby bezcenne, lecz budzące lęk klejnoty.

Elokwentny krytyk prawie stracił grunt pod nogami i przez kilka sekund odzywał się głosem rozżalonego dziecka, które prosi, by go zostawiono w spokoju i pozwolono wrócić do domu. Ale wkrótce odzyskał dawną pewność siebie i zaczął wyjaśniać precyzyjnie, na czym polega absurdalność idei fizycznej walki z Nie-człowiekiem. Przecież jej wynik nie może mieć znaczenia dla duchowego sensu całego konfliktu. Jeśli Zielona Pani ma wytrwać w posłuszeństwie Maleldilowi jedynie dzięki usunięciu Kusiciela siłą, to na czym miałyby polegać cała próba? Czego to dowiedzie? A jeśli kuszenie nie jest próbą, po co w ogóle zostało dopuszczone? Czyżby Maleldil chciał nam dać do zrozumienia, że nasz własny świat uniknąłby upadku, gdyby jakiś słoń stratował przypadkowo Węża, gdy Ewa zaczęła się skłaniać ku ustępstwu? Czy mogłoby to być aż tak proste i jawnie amoralne? Przecież to czysty absurd!

Straszliwa Cisza trwała, coraz bardziej podobna do twarzy, smutnej twarzy, co patrzy na nas, gdy kłamiemy, nie przerywa nam, tylko patrzy w milczeniu, aż w końcu wiemy już, że nasze kłamstwa są jawne, że nic się przed tym spojrzeniem nie ukryje i zaczynamy się jąkać, przeczyć własnym słowom, aż wreszcie milkniemy, pełni wstydu. Wymowny krytyk wyczerpał wreszcie swoje argumenty, a Ciemność szepnęła do Ransoma: „Wiesz przecież, że tylko marnujesz czas”.

Z każdą minutą dostrzegał coraz wyraźniej, że paralela, jaką próbował przeprowadzić między Edenem i Perelandrą, jest toporna i niedoskonała. To, co stało się na Ziemi, gdy Maleldil przyszedł na świat w Betlejem, zmieniło cały wszechświat raz na zawsze. Nowy świat, Perelandra, nie był jedynie powtórzeniem starego świata, Ziemi. Maleldil nigdy się nie powtarza. Jak powiedziała Zielona Pani, fala, która przeszła, nigdy nie

wraca. W chwili, gdy Ewa upadła, Bóg nie był człowiekiem. Nie uczynił jeszcze ludzi członkami swego Ciała. A od kiedy to się stało, zbawia i cierpi poprzez nich. Jednym z powodów, dla których Bóg wszystko to uczynił, było i to, by uratować Perelandrę za pośrednictwem Ransom. Jeśli Ransom odmówi, ów Boży plan nie zostanie - przynajmniej w ludzkim pojęciu - zrealizowany. Został wybrany, by odegrać taką rolę w tym punkcie dramatu, który okazał się o wiele bardziej zawiły, niż mu się początkowo zdawało. Z dziwnym poczuciem „odpadania, pomniejszania” zdał sobie sprawę, że równie dobrze centrum wszechświata można nazwać nie Ziemię, lecz Perelandrę. W perelandryjskim dramacie można widzieć zaledwie pośrednią konsekwencję Wcielenia na Ziemi, ale można też spojrzeć na dramat ziemski jako na swojego rodzaju wstęp do wydarzeń na innych planetach, z których pierwszą jest Perelandra. Ani jedno, ani drugie spojrzenie nie jest wcale bliższe lub dalsze od prawdy niż pozostałe. Nic nie jest bardziej lub mniej ważne od czegoś innego. Nic nie jest kopią czy modelem czegoś, co już było lub będzie.

Jednocześnie zdał sobie sprawę, że elokwentna część jego jaźni błaga o wyjaśnienie nowej wątpliwości.

Do tej pory Zielona Pani nie uległa napastnikowi. Była głęboko poruszona i osłabiona, zapewne też nie zdołała zachować pierwotnej czystości wyobraźni, wciąż jednak stawiała opór. Pod tym względem perelandryjskie kuszenie różniło się zasadniczo od wszystkiego, co Ransom słyszał o Matce rodzaju ludzkiego. Nie wiedział, czy Ewa stawiała opór, a jeśli tak, jak długo. Jeszcze słabsze wyobrażenie miał o tym, jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby nie uległa. Czy „Wąż” ponawiałby dzień po dniu swe wysiłki? Czy owa próba trwałaby wiecznie? W jaki sposób Maleldil położyłby temu kres? Intuicja mówiła mu, że tu, na Perelandrze, problem polega nie tyle na wytrwaniu, ile właśnie na przerwaniu kuszenia, na owym często przez niego powtarzanym zdaniu: „Tak dalej być nie może, trzeba to przerwać”. Lecz przerwanie tego coraz bardziej wyrafinowanego nękania, przypominającego „badanie trzeciego stopnia” w śledztwie, było zadaniem zupełnie nowym. Dzieje upadku pierwszych ludzi na Ziemi nie dawały żadnej wskazówki. Trudno się dziwić, że nowe zadanie wymaga nowej postaci dramatu, której rolę miał (niestety) odegrać właśnie on. Daremnie raz po raz wracał myślą do Księgi Rodzaju, zapytując: „Co by się stało, gdyby...” Ciemność nie dawała żadnej odpowiedzi. Cierpliwie, lecz nieubłagane odsyłała go z powrotem do rzeczywistości „tu i teraz”, ku narastającej pewności, czego się od niego

oczekuje „tu i teraz”. Zaczynał już czuć, że pytanie: „Co by się wówczas wydarzyło?” jest pozbawione sensu, że jest jedynie zaproszeniem do błędzenia w czymś, co Pani nazwałaby „ubocznym światem”, nie mającym nic wspólnego z rzeczywistością. Rzeczywiste było tylko to, co działo się „tu i teraz”, a każda aktualna sytuacja nie powtarzała czegoś, co już się wydarzyło. Tu, na Perelandrze, kuszenie musi być przerwane przez Ransoma lub nie ustanie nigdy. Głos - bo teraz spierał się z czymś, co było niemal Głosem - tworzył wokół tej alternatywy straszliwą próżnię. Ten rozdział, ta stronica, to jedno zdanie z księgi kosmicznego dramatu miało znaczenie jedyne i niepowtarzalne; nie mógł go zastąpić żaden inny fragment dramatu - ani taki, co już miał kiedyś miejsce, ani taki, który miał się kiedykolwiek wydarzyć.

Uchwycił się innej linii obrony. W jaki sposób on, Ransom, miałby pokonać nieśmiertelnego wroga? Gdyby nawet potrafił walczyć - a przecież był tylko zasiedziałym naukowcem z nie najlepszym wzrokiem i starą raną z poprzedniej wojny - cóż za sens miałyby taka walka? Przeciwnika w ogóle nie można zabić. Lecz odpowiedź nie pozostawiała cienia wątpliwości: można zniszczyć ciało Westona, a wszystko wskazuje, iż jest ono jedynym przyczółkiem Przeciwnika na Perelandrze. W tym ciele, posłusznym jeszcze wówczas ludzkiej woli, Przeciwnik dostał się do nowego świata, jeśli więc zostanie go pozbawiony, nie będzie miał żadnego innego siedliska. Posiadł ciało Westona za jego własnym przyzwoleniem i bez takiej zgody nie będzie mógł zamieszkać w żadnym innym ciele. Ransom przypomniał sobie, że nieczyste duchy, o których mówi Biblia, panicznie lękały się wypędzenia z ciała opętanego.

Tak rozmyślając doszedł wreszcie do ponurego wniosku, że jeśli rzeczywiście oczekuje się od niego fizycznej walki, to nie jest to zadanie ani niemożliwe, ani beznadziejne. Z biologicznego punktu widzenia byłaby to walka dwóch mężczyzn w średnim wieku, przywykłych do siedzącego trybu życia, uzbrojonych jedynie we własne pięści, zęby i paznokcie. Na samą myśl o tych szczegółach przeszył go dreszcz strachu i odrazy. Uśmiercenie tej istoty takim orężem... ależ to koszmar! A samemu ginąć z jego rąk - kto wie, w jak potwornej męce - nie, o tym trudno nawet myśleć! Dobrze pamiętał, jak Przeciwnik mordował żaby. Nie miał zresztą złudzeń, że to on sam musiałby zginąć. „Czy w ciągu mego życia zwyciężyłem w jakiejś walce?”, pytał sam siebie z goryczą, aż za dobrze znając odpowiedź.

Nie próbował dłużej opierać się wewnętrznemu przekonaniu. Wyczerpał

już wszystkie środki. Wiedział, co musi zrobić - wszelkie wykręty były daremne. Głos ciemnej nocy powtarzał nieodpartą odpowiedź tak stanowczo i dobitnie, że chociaż najlżejszy dźwięk nie mącił gęstej ciszy, Ransom obawiał się, iż ta odpowiedź obudzi śpiącą opodal kobietę. Stał w obliczu niemożliwego: musiał uczynić coś, czego uczynić nie mógł. Na próżno powtarzał sobie, że zapewne w tej samej chwili młodzi mężczyźni na Ziemi dokonują bohaterskich czynów w imię spraw mniejszej wagi, a nie zawsze towarzyszy im pewność i wiara. Jego woła stoczyła się do owej przepastnej doliny, w której lęk przed hańbą nie jest już żadnym bodźcem, ba! czyni tę dolinę jeszcze bardziej mroczną i głęboką. Nie wątpił, że potrafiłby stawić czoło Nie-człowiekowi mając broń palną, a nawet że bez lęku spojrzaliby śmierci w twarz, gdyby sam był nie uzbrojony, a Przeciwnik zachował rewolwer Westona. Ale walka wręcz, dobrowolne przywarcie nagą pierśią do tamtej nagiej piersi, uścisk tych trupich, a przecież żywych ramion...

W ogarniającej go panice spróbował jeszcze jednego tak dobrze znanego ludziom wybiegu. Nie posłucha Głosu, a później, gdy już powróci na Ziemię, okaże prawdziwą skruchę, ukorzy się i odpokutuje. Stchórzy, jak święty Piotr, i podobnie jak on uzyska przebaczenie. Odpowiedź, jakiej udzielił mu na tę pokusę rozum, była jasna i oczywista, ale przeżywał teraz jeden z tych momentów, w których wszelkie roszczenia zimnego rozsądku brzmią jak stare, dobrze znane bajki.

Nagle poczuł gniew na samego siebie, a silny podmuch determinacji oczyścił jego myśli i odmienił nastrój. Może przecież walczyć i zwyciężyć, może nawet nie odnieść ciężkich obrażeń! Ale Ciemność milczała, nie dodając mu otuchy, nie udzielając nawet najslabszej gwarancji, że tak może być. Przyszłość była tak nieprzenikniona jak ta noc.

- Nie na darmo nazywasz się Ransom* - powiedział Głos.

To nie mógł być wytwór jego wyobraźni. Był tego pewien, bowiem od lat wiedział, że jego nazwisko nie pochodzi od słowa *ransom* oznaczającego okup, lecz od słów *Randolf's son* - syn Randolfa. Nigdy nie próbował łączyć tych dwóch znaczeń, podobne skojarzenie traktował co najwyżej jako kalambur. Ale nawet elokwentny krytyk nie ośmielał się podszeptywać, że Głos zabawia się w grę słów. W jednej chwili zrozumiał, iż to, co dla ziemskiego filologa było jedynie przypadkowym podobieństwem dwu dźwięków, w rzeczywistości nie jest wcale przypadkiem. Rozróżnienie na to, co przypadkowe, i na to, co zamierzone, jest konwencją czysto

* Ransom - po angielsku „okup” (przyp. tłum.).

ziemską, podobnie jak podział na fakty i mity. Paradygmat wszechświata jest tak pojemny, że w ciasnym kręgu ziemskiego doświadczenia pojawiają się jedynie jego fragmenty, między którymi potrafimy dostrzec związki, oraz takie, które wydają się nam ze sobą nie związane. Dlatego na Ziemi rozróżniamy to, co przypadkowe, od tego, co istotowo konieczne; jest to podział z naszego punktu widzenia słuszny i użyteczny. Wystarczy jednak przestąpić owe granice choćby o krok i całe to rozróżnienie osuwa się w próżnię, trzepocąc bezużytecznymi skrzydłami. Z chwilą, gdy Ransom został wypchnięty z kręgu ziemskich konwencji, mógł ogarnąć percepcją ów „zewnątrzny”, bardziej rozległy wzornik. Teraz rozumiał już, dlaczego dawni filozofowie twierdzili, że poza Księżycem nie istnieje coś takiego jak przypadek czy ślepy los. Zanim poczęła go matka, zanim jego przodkowie nazwani zostali Ransomami, zanim jeszcze słowo *ransom* zaczęło oznaczać „okup”, zanim został stworzony świat - wszystkie te elementy współistniały już w wieczności w taki sposób, by znaczenie tego fragmentu kosmicznego wzoru ujawniło się w ich spotkaniu we właściwym czasie, w taki, a nie inny sposób. Pochylił głowę, uginając się pod brzemieniem tej wiedzy, skarżąc się na swój los: oto wciąż był człowiekiem, a mimo to przeniesiony został bez swojej woli do metafizycznego świata, by wprowadzić w czyn to, o czym filozofowie tylko myśleli.

- Ja też nazywam się Ransom - powiedział Głos.

Uplłynął pewien czas, zanim zrozumiał sens tych słów. Ten, którego w innych światach nazywano Maleldilem, był okupem złożonym za cały świat, również za niego, o czym tak dobrze wiedział. W jakim jednak celu zostało to przypomniane właśnie teraz? Zanim przyszła odpowiedź, poczuł jej nieuchronne zbliżanie i wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał przeszkodzić w wyważeniu drzwi jego jaźni. Lecz odpowiedź przyszła.

A więc *to* jest prawdziwe rozwiązanie zagadki. Gdyby nawet teraz zawiódł, ta planeta i tak zostanie w swoim czasie odkupiona. Jeśli on nie zechce być okupem, zastąpi go ktoś Inny. Ale nic nigdy się nie powtarza. Nie będzie drugiego Ukrzyżowania. Być może - ktoś to może wiedzieć - nie będzie nawet drugiego Wcielenia... lecz jakiś akt jeszcze bardziej przerażającej miłości, jakiś triumf jeszcze głębszej pokory... Widział już przecież, jak kosmiczny wzór pęcznieje, jak rozrasta się z jednych światów na inne, za każdym razem przechodząc przez inny wymiar. Niewielkie, zewnętrzne zło, wyrządzone przez Szatana na Malakandrze, można porównać do jednowymiarowej linii; głębsze zło, jakie uczynił na Ziemi, do dwuwymiarowego prostokąta; jeśli upadnie Wenus, jej zło będzie niby

sześcian, a jej odkupienie wykracza poza ramy ludzkiej wyobraźni. Lecz odkupiona zostanie.

Ransom od dawna wiedział, że od jego wyboru zależą wielkie sprawy. A jednak teraz, gdy zdał sobie sprawę z prawdziwej skali przerażającej wolności złożonej w jego ręce - skali, wobec której wszelka fizyczna nieskończoność przestrzeni wydaje się czymś ciasnym i ograniczonym - poczuł się jak człowiek porzucony pod gołym niebem, na skraju przepaści, na pastwę wichru, co rycząc nadlatuje z samego bieguna. Do tej pory wyobrażał sobie, że stoi przed Panem jak Piotr. Było gorzej: oto siedział przed Nim jak Piłat. Od niego zależało ocalenie lub przelanie krwi. Podobnie jak wszyscy ludzie, dłonie miał czerwone od mordy popełnionego przed powstaniem tego świata. Dzisiaj, jeśli dokona złego wyboru, unurza je ponownie w tej samej krwi.

- Litości!... - jęknął, a po chwili: - Panie, dlaczego ja?... - lecz nie otrzymał odpowiedzi.

To, czego od niego żądano, wciąż jeszcze wydawało mu się niemożliwe. Stopniowo jednak zaszło w nim coś, co przytrafiło mu się dotychczas dwukrotnie w ciągu całego życia: raz, gdy podczas wojny przygotowywał się duchowo do wykonania bardzo niebezpiecznego zadania, ponownie zaś w Londynie, gdy walczył ze sobą, by pójść do pewnego człowieka i poczynić przed nim wyjątkowo kłopotliwe wyznanie, którego domagała się sprawiedliwość. W obu wypadkach to, co miał uczynić, zdawało się jawną niemożliwością: wiedział dobrze, że taki człowiek jak on jest do tego psychicznie niezdolny. A jednak po pewnym czasie, bez jakiegokolwiek zauważalnego wysiłku woli, chłodno i obojętnie, jakby patrzył na tarczę zegara, ujrzał przed sobą niepodważalną prawdę: „Jutro o tej porze uczynisz to, co jest niemożliwe”.

To samo przydarzyło mu się teraz. Nic się nie zmieniło, jego strach, wstyd, miłość, wszystkie argumenty. Groza zadania nie była ani mniejsza, ani większa. Jedyna różnica polegała na pewności - tak niezachwianej, jakby przyszłość należała już do historii - że dokona tego czynu. Mógł błagać, płakać, buntować się, mógł miotać przekleństwa lub pogrążyć się w adoracji, śpiewać hymny jak męczennik lub bluźnić jak opętany przez złego ducha. Nie miało to żadnego znaczenia. Czyn zostanie dokonany. Minie pewien czas i nadejdzie moment, w którym ma się to dokonać. Należący do przyszłości akt jawił się przed nim niemal zatrzymany w czasie, nieodwołalny, jakby już został dokonany. To, że zajmował pozycję, którą nazywamy przyszłością, a nie tę, którą nazywamy przeszłością, było

tylko mało znaczącym szczegółem. Całe zmaganie już się zakończyło, choć wciąż brakowało momentu zwycięstwa. Można by to ująć dwojako: albo że wolność wyboru została zawieszona i zastąpiona nieugiętym przeznaczeniem, albo też, że Ransom wyzwolił się z retoryki własnych namiętności i osiągnął przestworza nienaruszalnej wolności. On sam nie potrafił, nawet za cenę życia, dostrzec żadnej różnicy między tymi dwoma stwierdzeniami. Predestynacja i wolność stały się jednością. Uczzone wywody na temat ich sprzeczności wydały mu się pozbawione sensu.

Kiedy już pojął, że jutro spróbuje zabić Nie-człowieka, spełnienie tego zamiaru wydało mu się sprawą o wiele mniej trudną. Nie pamiętał już, dlaczego właściwie oskarżał się o megalomanię, kiedy myśl o walce po raz pierwszy zaświtała mu w głowie. To prawda, że gdyby odmówił, sam Maleldil dokonałby czegoś nieporównywalnie większego. W tym sensie zastępował poniekąd Maleldila, ale nie w większym stopniu, niż Ewa zastąpiłaby Go nie jedząc jabłka; podobnie zastępuje Go każdy człowiek dokonujący dobrego czynu. Tak jak nie można porównywać osób, tak nie można porównywać cierpień, chyba że mowa o takim porównaniu jak między kimś, kto sparzy sobie palec gasząc iskrę, a strażakiem, który oddaje życie w walce z pożarem wynikłym z nie zgaszonej w porę iskry. Nie zadawał już sobie pytania: „Dlaczego ja?” Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Wybór mógł paść na kogoś innego. Potężne światło, które rozjaśniło ów moment decyzji, padło na wszystko, co go otaczało.

- Pogrążyłem Przeciwnika we śnie - powiedział Głos. - Nie zbudzi się aż do rana. Wstań. Przejdź dwadzieścia kroków w głąb gaju, tam ułóż się do snu. Siostra twoja śpi również.

12

Kiedy nadchodzi z lękiem oczekiwany poranek, budzimy się zwykle od razu, bez pośrednich stanów między snem a jawą. Po nocy spędzonej w głębokim śnie bez marzeń i koszmarów, Ransom otworzył oczy w pełni świadom zadania, jakie miał dzisiaj wypełnić. Był sam. Wyspa kołysała się łagodnie na morzu ani spokojnym, ani burzliwym. Złote światło migocące między wysmukłymi pniami koloru indygo wskazywało kierunek, w jakim znajduje się woda. Poszedł tam i wykąpał się, a potem napił do syta leżąc na brzegu. Przez kilka minut stał w ciepłym słońcu, rozczesując włosy palcami i masując członki. Jego ciało zdążyło się już zmienić przez te kilka dni. Znikł dawny kontrast między opalenizną jednej połowy ciała a bladością drugiej. Gdyby Zielona Pani ujrzała go dziś po raz pierwszy, nie nazwałaby go łaciatym. Skóra nabrała barwy starej kości słoniowej, a palce u nóg utraciły już swą niezdrową kanciastość, jaką zwykle nadaje im obuwie. Ogólnie rzecz biorąc, miał teraz o sobie, jako ludzkim zwierzęciu, o wiele lepsze mniemanie niż jeszcze kilka dni temu. Był pewien, że to jego ostatni dzień; po nim nie będzie już władał nieokaleczonym ciałem aż do owego wielkiego poranka, jaki nadejdzie kiedyś dla całego wszechświata.

„Kiedy powstanę z martwych na Twe podobieństwo, Panie, będę z siebie zadowolony”, pomyślał.

Poczuł głód i wszedł do lasu, aby znaleźć jakieś owoce. Niespodziewanie natknął się na całą chmurę pękających baniek i przeżył rozkosz równie dojmującą jak wówczas, gdy doświadczył jej po raz pierwszy. Kiedy wynurzył się z orzeźwiającej mgiełki, szedł zupełnie innym krokiem. Miał to być jego ostatni posiłek, lecz nie uważał za stosowne szukać ulubionych owoców. Napotkał purpurowe dynie. „Zupełnie niezłe śniadanie, jak na poranek przed egzekucją”, pomyślał z wisielczym humorem. Odrzucił pustą łupinę i przez chwilę poczuł taką radość, jakby cały świat stał się tanecznym korowodem. „Cokolwiek by się powiedziało i cokolwiek ma się zdarzyć - myślał - warto było. Żyłem przecież w Raju.”

Wszedł nieco głębiej w las i przechodząc przez gęste zarośla omal się

nie potknął o ciało pogrążonej we śnie Pani. Nigdy nie sypiała o tej porze dnia, zrozumiał więc, że sprawił to Maleldil. „Nie zobaczę jej więcej”, pomyślał. „Nigdy już nie spojrzę na ciało kobiece w taki sposób, w jaki patrzę na nie w tej chwili.”

Kiedy tak stał patrząc na nią, odczuł bolesną, sierocą tęsknotę za tym, by choć raz ujrzeć Matkę rodzaju ludzkiego w całej jej niewinności i chwale.

- Inne wielkie rzeczy, inne błogosławieństwa, inne radości i uniesienia - mruknął do siebie - ale nie to. Już nigdy. Bóg może zamienić w dobro wszystko, co się wydarzyło. Ale ta strata jest faktem. Nic jej nie odwróci. Popatrzył na nią raz jeszcze i odszedł szybkim krokiem. „Miałem rację”, myślał. „To nie mogło trwać dłużej. Nadszedł czas, żeby z tym skończyć.”

Długo wędrował po całej wyspie, raz po raz zagłębiając się w ciemne, przesycone barwą gąszcze. Przeciwnika nigdzie nie było. Spotkał za to swego starego przyjaciela, smoka, owiniętego wokół pnia drzewa jak wówczas, gdy ujrzął go po raz pierwszy. Lecz tym razem smok spał, podobnie jak jego pani. Dopiero teraz Ransom uprzytomnił sobie, że od czasu przebudzenia do jego uszu nie dochodziło nic prócz jednostajnego szumu morza. Nie słyszał świergotu ptaków, gładkie, lśniące ciała nie przemykały wśród listowia, brązowe oczy nie błyskały spomiędzy zarośli. Wydawało się, iż Pan Bóg pogrążył całą wyspę - a może i cały świat - w głębokim śnie. Przez chwilę opanowało go uczucie osamotnienia, ale natychmiast zastąpiła je ulga na myśl, że żadne wspomnienie krwi i szału walki nie utrwali się w pamięci tych niewinnych, szczęśliwych istot.

Wędrował tak blisko godzinę, gdy nagle, penetrując niewielką kępę bańkowatych drzew, stanął twarzą w twarz z Nie-człowiekiem. „Czyżby ktoś już go zranił?”, pomyślał na widok splamionej krwią piersi Przeciwnika, lecz rychło dostrzegł, że nie jest to jego krew. W długich, zręcznych szponach Nie-człowieka szamotał się rozpaczliwie ptak, do połowy już oskubany i otwierający dziób w niemym krzyku agonii. Ransom zareagował natychmiast, nie zastanawiając się, co robi. Zapewne obudziło się w nim odległe wspomnienie lekcji boksu w szkole, ponieważ z całej siły wymierzył lewy prosty w szczękę przeciwnika. Zapomniał jednak, że nie walczy w rękawicach. Cios niemal sparaliżował mu ramię, a knykcie przeszył ostry ból, jakby sobie pogruchotał kości. Oszołomiony stał przez moment bez ruchu, co pozwoliło Przeciwnikowi cofnąć się o kilka kroków. On również odczuł boleśnie pierwszy smak starcia. Niewątpliwie przygryzł sobie język, bo kiedy spróbował przemówić, na jego ustach pojawiła się krwawa piana. Ptaka jednak nie puścił.

- A więc teraz chcesz spróbować siły? - powiedział po angielsku ochryplym głosem.

- Puść tego ptaka - warknął Ransom.

- To bardzo głupie - rzekł Nie-człowiek. - Czy nie wiesz, kim jestem?

- Wiem, *czym* jesteś - odparł Ransom. - I nie obchodzi mnie, którym z nich.

- I wyobrażasz sobie, mój mały, że możesz ze mną walczyć? A może sądzisz, że On ci pomoże? Wielu tak myślało. Ale ja znam Go dłużej niż ty, mój mały. Wszyscy się łudzą, że On pospieszy im z pomocą, a nabierają rozsądku i skamlą o zmiłowanie dopiero wówczas, gdy już jest za późno, gdy płoną w ogniu, gniją w obozach koncentracyjnych, wiją się na torturach, miotają w domach dla obłąkanych lub skarżą, przybici do krzyża. A czy On sam sobie pomógł?

I nagle odrzucił głowę do tyłu, jak wilk, i zawył głosem, który zdawał się rozdzierać złotą kopułę niebios:

- *Eli, Eli, lamma sabachtani!*...

Ransom był pewien, że usłyszał bezbłędny język aramejski z pierwszego stulecia. Nie-człowiek nie cytował, lecz *wspominał*. To były słowa wypowiedziane na Krzyżu, przechowywane przez wszystkie te lata w udręczonej nienawiścią pamięci tej potępionej istoty, która musiała je słyszeć, a teraz wyrzucała z siebie w ohydnej parodii.

Poczuł gwałtowne mdłości. Nim zdążył przyjść do siebie, Nie-człowiek rzucił się na niego, wyjąc jak zawierucha, ze zjeżonymi włosami, z oczami otwartymi tak szeroko, jakby w ogóle nie miał powiek. Zwarł się z Ransomem piersią w pierś, otaczając go żelaznym uściskiem ramion, a jego pazury zaczęły mu wydzierać z pleców płaty żywego mięsa. Uwięziony w tym uścisku, Ransom szamotał się dziko, lecz nie mógł zadać ciosu. Zdołał wykręcić głowę i wgrzył się głęboko w mięśnie prawego przedramienia Przeciwnika. Zrazu nie przyniosło to skutku, ale kiedy sięgnął zębami głębiej, tamten zawył, przez chwilę próbował jeszcze mocniej zacisnąć uchwyt, a potem nagle opuścił ramiona i potoczył nieprzytomnym spojrzeniem. Ransom wykorzystał ten moment i zasypał go gradem mocnych ciosów wymierzonych w okolice serca. Słyszał, jak tamten stęka i po każdym uderzeniu wyrzuca z siebie gwałtownie powietrze, lecz po chwili znów wyciągnął ku niemu ramiona z zakrzywionymi jak szpony palcami. Nie chciał walczyć na pięści, chciał dusić i szarpać. Ransom odtrącił jego prawe ramię i zachwiał się, oszołomiony straszliwym wstrząsem, jaki spowodowało zderzenie kości, lecz natychmiast odzyskał równowagę i wymierzył celny cios w podbródek.

Niemal w tej samej chwili ostre pazury rozorały mu prawe ramię. Instynktownie wyciągnął ramiona i bardziej dzięki szczęściu niż zręczności uchwycił Przeciwnika za przeguby obu rąk.

Tego, co nastąpiło w ciągu najbliższej minuty, żaden widz nie nazwałby walką. Nie-człowiek wyęczał wszystkie siły, jakie mógł znaleźć w ciele Westona, by oswobodzić ręce, a Ransom z równą determinacją starał się ani na chwilę nie zwolnić uścisku. Widocznym skutkiem tego wysiłku, od którego po plecach walczących spływały strumyki potu, były jedynie powolne i na pozór niedbałe, a nawet bezcelowe ruchy dwóch par rąk. Żaden nie mógł ugodzić drugiego. Nie-człowiek wyciągał głowę próbując gryźć, lecz Ransom wyęczał wszystkie siły i trzymał go na odległość wyciągniętych ramion. Mogło się wydawać, że będzie to trwało bez końca.

Nagle Nie-człowiek wyrzucił do przodu nogę i podciął od tyłu kolano Ransoma, ten zaś z trudem utrzymał równowagę. Ruchy walczących stały się szybsze i bardziej chaotyczne. Z kolei Ransom próbował podstawić Przeciwnikowi nogę, a gdy mu się nie powiodło, zaczął wypychać jego lewe ramię do tyłu, chcąc je wyłamać lub przynajmniej zwichnąć. Musiał jednak przy tym osłabić swój uścisk na drugim przegubie i w końcu tamtemu udało się oswobodzić prawą rękę. Ransom zdążył zamknąć oczy, zanim ostre paznokcie rozdarły mu policzek. Ból kazał mu przerwać bombardowanie żeber Przeciwnika wolną lewą ręką. W chwilę później - nie miał pojęcia, jak do tego doszło - stali o kilka kroków od siebie, dysząc ciężko i mierząc się spojrzeniami.

Obaj wyglądali żałośnie. Ransom nie widział własnych ran, ale czuł, że cały ocieka krwią. Wróg ledwo otwierał oczy, a ciało, tam gdzie go nie osłaniały strzępy koszuli Westona, pokryte miał sinymi obrzękami, które szybko ciemniały i puchły. Ten widok, wraz z ciężkim oddechem Przeciwnika i próbą sił podczas ich zapasów, całkowicie odmienił nastrój Ransoma. Ze zdziwieniem stwierdził, że Nie-człowiek nie jest tak silny, jak się spodziewał. Nieco wbrew zdrowemu rozsądkowi oczekiwał jakiejś nadludzkiej, diabelskiej siły, twardych jak stal ramion, których pochwycenie jest równie niemożliwe, co zatrzymanie śmigieł samolotu. Teraz wiedział już, że Nie-człowiek dysponuje jedynie siłą Westona. Z fizycznego punktu widzenia walczyło ze sobą dwu naukowców w średnim wieku. Weston był potężniej zbudowany, lecz otyły, jego ciało źle znosiło ciosy. Ransom był bardziej zwinny i nie miał takich trudności z oddechem. Niedawna pewność śmierci wydawała mu się teraz śmieszna. Szanse były wyrównane. Mógł zwyciężyć - i ocalić życie.

Tym razem to Ransom zaatakował pierwszy. Druga próba sił miała przebieg podobny do pierwszej. Ilekroć zdołał użyć pięści, uzyskiwał przewagę, lecz gdy dosięgały go zęby i pazury Przeciwnika, przegrywał. Nawet w najgorętszych momentach zachowywał jasność umysłu. Wiedział, że ostateczny wynik walki zależy tylko od rozstrzygnięcia prostej sprawy: czy utrata krwi obezwładni go wcześniej, niż potężne ciosy w serce i nerki zmogą Przeciwnika.

Bujny świat wokół nich pogrążony był w uśpieniu. W tej walce nie było prawideł, rozjemców i widzów; samo wyczerpanie, raz po raz zmuszające ich do odpadnięcia od siebie, dzieliło ten groteskowy pojedynek na precyzyjnie odmierzane rundy. Po jakimś czasie nie potrafił już sobie uprzytomnić, ile tych rund było. Starcia przypominały nawroty szału, a pragnienie stanowiło mękę dotkliwszą niż najboleśniejшие ciosy. Niekiedy tarzali się po ziemi. Raz udało mu się sięść okrakiem na piersi Przeciwnika; w porywie triumfu zacisnął palce na jego szyi i - ku swemu własnemu zaskoczeniu - wykrzykiwał jakiś ustęp z *Pieśni o bitwie pod Maldon*. Lecz Przeciwnik tak długo orał mu szponami ramiona i walił kolanami w plecy, że musiał ulec, nie zdoławszy zdławić jego oporu.

Zapamiętał - jak się pamięta wysepkę świadomości w mglistym oceanie narkozy - że atakując Nie-człowieka, jak mu się zdawało, po raz tysięczny, wiedział wyraźnie, że nie wytrwa już długo. Pamiętał, że spojrzawszy na Przeciwnika, ujrzał przez chwilę nie ciało Westona, lecz małpę i natychmiast zrozumiał, że to delirium. Zachwiał się, lecz po chwili ogarnęło go uczucie, jakiego nie zaznał chyba żaden prawy człowiek w naszym świecie: potężny nurt niczym nie zakłóconej, usprawiedliwionej nienawiści. Nigdy przedtem nie poddawał się nienawiści bez poczucia winy, bez niejasnego samooskarżenia, że przestaje rozróżniać między grzesznikiem i grzechem. Teraz energia nienawiści wezbrała w jego rękach i nogach, aż poczuł, iż stały się kolumnami wrzącej krwi. To, co miał przed sobą, przestało być istotą o skażonej woli, stało się samym zepsuciem, które wolą posługiwało się jedynie jako narzędziem. Tak, było Osobą przed wiekami wieków, lecz teraz żalosne szczątki osobowości przetrwały w nim tylko jako oręż na usługach oszalałej negacji, skazanej przez samą siebie na wygnanie. Zapewne trudno zrozumieć, dlaczego napełniło to Ransoma nie zgrozą, lecz rodzajem radości. Jej źródłem było odkrycie, po co została stworzona nienawiść. Cieszył się z idealnej zgodności między swym uczuciem a jego przedmiotem, podobnie jak cieszy się chłopiec z siekierą, gdy napotka drzewo, lub chłopiec z pudełkiem kolorowych kredek, gdy

znajdzie plik czystych kartek.

Krwawił i drżał z wyczerpania, a jednak czuł, że teraz stać go na wszystko. Kiedy rzucił się na tę żyjącą Śmierć, tę odwieczną Niewymierną w matematyce wszechświata, zdumiała go własna siła (choć gdzieś głęboko był jej zawsze pewien). Jego ramiona poruszały się szybciej niż myśli, pięści same pokazywały, czego potrafią dokonać. Czuł, jak pękają żebra Przeciwnika, słyszał chrzęst gruchotanej szczęki. Całe ciało Westona zdawało się trzeszczeć i rozpadać pod jego ciosami. Ból, jakim nabrzmiewało jego własne ciało rozdierane pazurami rozpaczliwie broniącego się wroga, przestał się liczyć. Czuł, że mógłby tak walczyć i nienawidzić przez cały rok.

Nagle uprzytomnił sobie, że jego ciosy trafiają w powietrze. Był w takim stanie, że w pierwszej chwili nie pojął, co się stało, nie potrafił uwierzyć, że walka jest skończona. Chwila oszołomienia pozwoliła Nie-człowiekowi oderwać się od niego. Ransom zdążył przyjść do siebie akurat w porę, by ujrzeć, jak tamten znika w zaroślach, powłócząc niezdarnie nogami i skomlać jak zbity pies. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie. Ransom rzucił się za nim. Na kilka sekund stracił go z oczu między pniami drzew, potem zobaczył znowu, lecz mimo iż biegł ile sił w nogach, nie mógł zmniejszyć dzielącego ich dystansu.

Rozpoczął się niesamowity pościg przez cieniste gaje i jasne polany, przez falujące łagodnie grzbiety i doliny. Minęli owiniętego wokół pnia smoka, minęli Zieloną Panią, śpiącą z uśmiechem na twarzy. Przebiegając koło niej, Nie-człowiek pochylił się nisko i wyciągnął lewą rękę z zakrzywionymi pazurami. Niewątpliwie chciał rozedrzeć jej ciało, ale widząc, że Ransom jest już blisko, zrezygnował w ostatniej chwili, nie chcąc ryzykować zwłoki. Minęli stado wielkich, pomarańczowych ptaków pogrążonych w głębokim śnie, każdy na jednej nodze, z głową ukrytą pod skrzydłem, tak że wyglądały jak kępa uroczystych, kwitnących krzewów. Przebiegli przez polanę, na której pary i rodziny żółtych kangurów leżały nieruchomo na grzbietach, z zamkniętymi oczami i krótkimi przednimi łapkami złożonymi na piersiach, jak rzeźby krzyżowców na średniowiecznych sarkofagach. Pochyleni nisko przemknęli pod gałęziami ugiętymi pod świnkami drzewnymi, pochrapującymi cichutko i beztrosko jak śpiące dzieci. Przedarli się przez gąszcz bańkowych drzew, zapominając przez chwilę o zmęczeniu.

Wyspa była rozległa. Wybiegli z lasu i przemknęli przez szafranowe i srebrne łąki, tonąc czasem po kostki, a czasem po pas w chłodnych i ostro

pachnących ziołach. Zbiegli po zboczach ku innym lasom, najpierw ukrytych na dnie tajemniczych parowów, a potem - gdy już się do nich zbliżali - ulatujących w górę, by zwieńczyć szczyty samotnych wzgórz.

Nie mógł doścignąć Przeciwnika. Zdumiewało, że istota tak okaleczona, jak wskazywały na to jej chwiejne kroki, potrafi utrzymać takie tempo. Jeśli miał zwichniętą kostkę, jak podejrzewał Ransom, każdy krok musiał mu sprawiać nieopisaną mękę. A potem przyszła mu do głowy okropna myśl: a może Nie-człowiek w jakiś sposób obarcza tym bólem resztki świadomości Westona tłące się jeszcze w jego ciele? Podejrzenie, że to coś, co niegdyś należało do rodzaju ludzkiego i wykarmione zostało piersią kobiety, może być obecnie uwięzione w ściganej przez niego istocie, zdwoiło jego nienawiść. Takiej nienawiści nigdy dotąd nie zaznał: pomnażała jego siły.

Kiedy wybiegli z czwartego z kolei lasu, ujrzał przed sobą morze, odległe o jakieś dwadzieścia metrów. Nie-człowiek pędził dalej przed siebie, jakby nie dostrzegał różnicy między lądem a wodą. Rzucił się w nią z głośnym pluskiem. Ransom śledził jego głowę ciemniejącą na tle miedzianego morza, czując narastającą radość zwycięstwa, bo pływanie było jedynym sportem, w którym zawsze osiągał znakomite wyniki. Skoczył do wody i na chwilę stracił go z oczu. Potem, gdy wynurzył głowę i otrząsnął z twarzy mokre, bardzo już długie włosy, ujrzał jego całe ciało wystające pionowo nad falą, jakby na czymś siedział. Spojrzał raz jeszcze i zrozumiał, że Nie-człowiek dosiadł ryby. Najwidoczniej czarodziejski sen ogarnął jedynie wyspę, ponieważ natychmiast rozwinął znaczną szybkość. Nie miał wątpliwości, że Przeciwnik dysponuje bogatym repertuarem pomysłów, by zmusić zwierzę do zwiększenia tempa.

Przez chwilę owładnęła nim rozpacz, bo zapomniał o naturalnej sympatii, jaką darzą ludzi owe konie morskie. Spostrzegł, że otacza go cała ławica tych stworzeń, wyskakujących nad powierzchnię i uwijających się wokół, jakby chciały zwrócić jego uwagę. Mimo obustronnej dobrej woli, niełatwo było wspiąć się na śliski grzbiet wspaniałego okazu - pierwszego, jakiego dosięgnął rękami. Gdy próbował go dosięść, odległość między nim a zbiegiem znacznie się powiększyła. Ale w końcu mu się udało. Usadowiwszy się tuż za wielkim łbem o wyłupiastych oczach, ścisnął grzbiet ryby kolanami, uderzył piętami w jej boki, wyszeptał kilka słów pochwały i zachęty - jednym słowem uczynił wszystko, co potrafił, by pobudzić jej wigor. Morski wierzchowiec ruszył naprzód, pozostawiając za sobą smugę piany.

Spojrzawszy przed siebie, Ransom nie dostrzegł jednak Nie-człowieka.

Zapewne zasłonił go długi grzbiet kolejnej fali. Lecz wkrótce odetchnął z ulgą: nie musiał się martwić o kierunek pościgu. Wodne zbocze mieniło się wielkimi rybami, które pruły fale znacząc je wirami żółtej piany: niektóre wyskakiwały raz po raz nad powierzchnię. Uciekinier nie wziął widocznie pod uwagę instynktu, nakazującego tym stworzeniom podążyć za każdym ze swych towarzyszy, którego dośiadał człowiek. Całe stado płynęło szybko naprzód, tak pewne właściwego kierunku, jak wracające do swych gniazd ptaki lub psy gończe na tropie.

Kiedy wzniósł się na szczyt fali, zobaczył przed sobą rozległą nieckę wodną, której kształt przywodził na myśl angielskie doliny. W dali, tuż pod przeciwległym zboczem, ciemniała maleńka, podobna do kukielki sylwetka Nie-człowieka, a pomiędzy nimi cała ławica ryb rozciągnęła się w trzy lub cztery rzędy. Nie bał się już, że utraci kontakt z Przeciwnikiem. Ransom polował na niego ze sforą ryb, a te z pewnością nie zaniechają pościgu. Roześmiał się na głos i ryknął:

Me psy wywodzą się z rasy spartańskiej
O długich pyskach i sierści piaskowej!*

Po raz pierwszy dotarł do niego naprawdę ten błogosławiony fakt, że nie musi już walczyć, nie musi nawet stać o własnych siłach. Spróbował przyjąć wygodniejszą pozycję i aż go poderwało w górę od przeszywającego bólu w plecach. Bezmyślnie sięgnął ręką do łopatki i omal nie zawył, urażony dotknięciem własnych palców: plecy musiały być jedną wielką masą krwawych, pozlepianych strzępów. Jednocześnie odkrył, że stracił ząb i skórę na knykciach, a pod piekącą powierzchnią całe ciało, od stóp do głowy, przeszywają jakieś dziwne, głębsze i bardziej złowieszcze bóle. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo jest poraniony i udręczony.

Potem przypomniał sobie o pragnieniu. Ponieważ ochłonął już i zesztyniał, osiągnięcie umykającej chyżo wody okazało się bardzo trudne. Najpierw chciał pochylić się nisko i zanurzyć twarz w chłodnej fali, lecz pierwsza próba wyleczyła go z tego pomysłu. Nie mając wyboru, czerpał wodę dłońmi, ale nawet te ruchy wymagały dużej ostrożności i wywoływały liczne syknięcia i jęki. Po wielu minutach mąk zdołał wypić łyk, będący kpina z jego pragnienia. Zaspokoił je dopiero po pół godzinie splotu trudnych do opisanego cierpień i obłąkańczej rozkoszy. Jeszcze nigdy nic nie smakowało mu tak, jak woda zdobywana w takim bólu. Kiedy napił się do syta, czerpał ją nadal i opryskiwał ciało. Byłyby to najszcześniejsze chwile

* W. Szekspir, *Sen nocy letniej* Akt IV, scena 1. Przekład M. Słomczyńskiego (przyp. tłum.).

jego życia, gdyby tylko piekące rany na plecach nie dokuczały coraz bardziej. Zaczął się poważnie obawiać, że mogą być zatrute jakimś jadem. Nieznośny ból sprawiał mu też każdy ruch nóg, którymi ściskał boki ryby. Od czasu do czasu robiło mu się ciemno przed oczami i czuł, że grozi mu utrata przytomności. Powtarzał sobie w myślach: „Wytrwam! Wytrwam!”, wlepiął oczy w najbliższe ryby lub fale i starał się myśleć o prostych, zwyczajnych sprawach, byle tylko zachować świadomość.

Przez cały czas Nie-człowiek mknął przed nim na swojej rybie, to wspinając się na grzbiety wodnych wzgórz, to opadając w ciemne doliny. Ławica ryb płynęła za nim wytrwale, a Ransom na swym wierzchołku podążał za rybami. Było ich coraz więcej, jakby pogoń napotykała nowe ławice i porywała je za sobą jak śnieżna lawina. Pojawiły się też inne stworzenia: ptaki o długich szyjach, przypominające łabędzie. Nie potrafił określić ich barwy, bo na tle nieba wydawały się czarne. Z początku zataczały nad nimi koła, później uformowały się w długie, proste klucze i przyłączyły do pościgu za Nie-człowiekiem. Raz po raz rozbrzmiewały ich dzikie, rodzące poczucie osamotnienia krzyki, przeraźliwie obce wszystkimu, co ludzkie.

Przez wiele godzin nie widział żadnego ładu. Fantastyczny pościg mknął przez prawdziwy perelandryjski ocean, wodne pustkowia, jakiego Ransom jeszcze nie widział od wylądowania na planecie. W uszach dźwięczał mu wciąż szum fal, nozdrza wypełniał zapach, równie nieomyślny i przenikliwy jak zapach ziemskich oceanów, choć tak inny przez swą złotą słodycz i bogate ciepło. Wszystko było dzikie i obce, lecz nie wrogie. Wrogość jest rodzajem relacji i wróg nie może być kimś całkowicie obcym. Przyszło mu do głowy, że właściwie nic nie wie o tym dziwnym świecie. Niewątpliwie kiedyś zaludni się potomkami Króla i Królowej. Ale te wszystkie miliony lat pustej przeszłości, wszystkie niezliczone mile roześmianej wody, samotnej teraźniejszości... Czyżby istniały tylko dla siebie? To dziwne, że właśnie on, któremu na Ziemi widok lasu lub porannego nieba starczał nieraz za posiłek, musiał przybyć aż na obcą planetę, aby zrozumieć, że Przyroda może istnieć dla samej siebie.

Ze wszystkich stron otoczył go i wchłonął rozproszony, niezgłębiony sens, ukryta, lecz samoistna natura, właściwa zarówno Ziemi, jak i Perelandrze od czasu, gdy oderwały się od Słońca, i w pewnym sensie zniszczona wraz z pojawieniem się zdobywczej ludzkości. W pewnym sensie, bo teraz wiedział już, że w innym sensie ta natura, to ukryte znaczenie są niezniszczalne, są wciąż obecne, a tu, na Perelandrze, mogą

zaśnić pełnym blaskiem nawet po narodzinach rozumnego gatunku.

13

Ciemność zapadła nad falami tak nagle, jakby się wylała z butelki. Gdy tylko barwy i odległości zanikły, dźwięk i ból stały się jeszcze bardziej dojmujące. Świat został zredukowany do tępego bólu i nagłych, przeszywających ukłuć, do uderzeń rybich płetw i nieskończonego bogactwa odgłosów morza.

Ransom ocknął się, gdy już prawie spadał z grzbietu ryby. Z trudem powrócił do dawnej pozycji i zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie spał od dłuższego czasu. Łatwo było przewidzieć, że takie zagrożenie może się powtórzyć. Po namyśle wysunął się ostrożnie z wąskiego zagłębienia za głową ryby i wyciągnął całe ciało wzdłuż jej grzbietu, obejmując rękami i nogami śliskie boki. Miał nadzieję, że dzięki temu utrzyma się na swym wierzchołku nawet we śnie. Nie potrafił zresztą wymyślić nic lepszego. Po chwili odczuł w całym ciele dziwną wibrację, wywołaną ruchami mięśni ryby. Dawało mu to złudzenie uczestnictwa w mocnym, zwierzęcym życiu, jakby sam stawał się rybą.

Musiało upłynąć wiele czasu, gdy nagle uświadomił sobie, że patrzy na coś podobnego do ludzkiej twarzy. Powinien się przestraszyć, lecz - jak to czasem bywa we śnie - nie odczuwał lęku. Była to niebieskawozielona twarz, wyraźnie świecąca własnym światłem. Oczy, znacznie większe od ludzkich, nadawały jej wygląd złośliwego skrzata. Frędzle pokarbowanych błon przypominały bokobrody. Doznał wstrząsu, gdy wreszcie pojął, że to nie sen. Oto obolały i słaby leży wciąż na grzbiecie ryby płynącej przez ciemność, a ta twarz należy do czegoś, co rzeczywiście płynie obok niego. Przypomniał sobie widziane już w głębinach tego morza wodniki i trytony. Nie bał się wcale i podejrzewał, że dziwny mieszkaniec morza na jego widok czuje to samo: niepokojące, choć pozbawione wrogości zdziwienie. Nie łączyło ich nic: spotkali się jak gałęzie dwu różnych drzew, gdy połączy je wichura.

Dźwignął ciało i ponownie usiadł. Spozregł, że ciemności nie są już tak nieprzeniknione. Jego ryba i dziwne stworzenie o ludzkiej twarzy

skąpane były w fosforyzującej poświacie. Wokoło migotały inne plamy i smugi niebieskawego światła. Z kształtów owych plam mógł się domyślić, które są rybami, a które wodnikami. Ich ruchy wyznaczały kontury fal i dawały pewne pojęcie perspektywy w bezwymiarowej dotąd nocy. Wkrótce zauważył, że część z płynących w pobliżu wodnych stworzeń niewątpliwie żeruje. Błoniastymi, żabimi rękami wyławiały z wody coś ciemnego i pochłaniały to żarłocznie. Gdy żuły pokarm, z ust zwisały im włókniste, krzaczaste strzępy, przypominające wąsy.

Ransom chętnie nawiązywał kontakt ze wszystkimi spotykanymi na Perelandrze zwierzętami, lecz - rzecz zastanawiająca - ani on nie myślał o próbie porozumienia się z wodnikami, ani one nie wykazywały na to ochoty. W przeciwieństwie do innych stworzeń, nie wyglądały na naturalnych poddanych człowieka. Odniósł wrażenie, że po prostu dzielą z nim planetę, tak jak owce i konie dzielą między sobą jedno pastwisko ignorując się wzajemnie. W przyszłości ten problem miał jeszcze niepokoić jego umysł, ale teraz zajęty był bardziej praktyczną sprawą. Widok żerujących wodników przypominał mu o głodzie i zaczął się zastanawiać, czy ich pokarm nie byłby jadalny i dla niego. Długo przebierał palcami w wodzie, zanim zdołał schwytać garść ciemnej masy przypominającej jeden z ziemskich gatunków wodorostów. Oślizgłe i łukowate ziele pokrywały pęcherzyki, pękające przy lekkim naciśnięciu. Smaku nie potrafił później opisać, zauważył tylko, że nie były słone, jak morskie wodorosty na Ziemi. Warto pamiętać, że podczas całego pobytu na Perelandrze zmysł smaku dawał mu coś więcej niż na Ziemi: nie tylko przyjemność, ale i wiedzę, chociaż wiedza ta nie zawsze dawała się ująć w słowa. Gdy tylko przełknął kilka kęsów wodorostów, poczuł, że w jego świadomości zachodzą dziwne zmiany. Wydawało mu się, że powierzchnia morza jest dachem tego świata; myślał o pływających wyspach tak jak my o obłokach; oczami wyobraźni widział je z dołu jako włókniste maty z długimi, zwisającymi serpentynami. To, że mógł kiedyś chodzić po ich górnej powierzchni, zdawało mu się teraz prawdziwym cudem lub baśnią. Wspomnienie Zielonej Pani, jej przyszłego potomstwa i w ogóle wszystkie problemy zaprzatające go od momentu wylądowania na Perelandrze, stopniowo bladły w jego umyśle jak bledną sny po przebudzeniu; ich miejsce zaczął powoli zajmować świat nowych problemów i wzruszeń, których nie potrafił nazwać. Przeraził się. Mimo głodu odrzucił resztę ziela.

Musiał znowu zasnąć, bo następna scena, jaką zapamiętał, miała miejsce już w świetle dnia. W dali przed sobą widział wciąż Nie-człowieka,

a dzielącą ich przestrzeń znaczyły smugi ryb. Ptaki zrezygnowały z pościgu. Nagle dotarł do niego prozaiczny sens sytuacji, w jakiej się znalazł. Wnosząc z jego doświadczenia, w rozumowaniu człowieka po przybyciu na obcą planetę pojawia się dziwna wada: z początku zupełnie zapomina o rozmiarach nowego świata. W porównaniu z dystansem, jaki musiał pokonać w podróży kosmicznej, planeta wydaje mu się tak mała, że wszelkie odległości na niej przestają się liczyć. Dwa różne miejsca położone gdzieś na Marsie czy na Wenus przybysz traktuje tak jak dwa punkty w jednym mieście. Lecz teraz, gdy Ransom rozejrzył się raz jeszcze dookoła i nie zobaczył nic prócz złotego nieba i rozhuśtanych fal, zrozumiał niedorzeczność takiego złudzenia. Nawet gdyby na Perelandrze istniały kontynenty, mógł być oddalony od najbliższego z nich o całą szerokość Pacyfiku albo jeszcze bardziej. Gdyby istniały - a przecież nie miał żadnych podstaw, by sądzić, że istnieją. Co więcej, nie miał też podstaw, by przypuszczać, że pływające wyspy są liczne lub równomiernie rozmieszczone na całej powierzchni planety. Nawet gdyby taki roztańczony archipelag zajmował z tysiąc mil kwadratowych, czyż nie byłby tylko znikomą plamką na bezkresnym oceanie, oblewającym glob niewiele mniejszy od Ziemi? Niebawem jego ryba musi się zmęczyć. Już teraz zdawało mu się, że płynie wolniej niż na początku. Oczywiście Nieczłowiek będzie torturował swojego wierzchowca, zmuszając go do ruchu, dopóki nie padnie. I oczywiście on, Ransom, nie mógłby tego zrobić.

Tak rozmyślając, spojrzął przed siebie i ujrzał coś, co zmroziło mu serce. Jedna z ryb powoli odłączyła od swojego rzędu, wyrzuciła z siebie mały słup piany, dała nurka i wypłynęła kilka metrów dalej, wyraźnie dryfując. Po kilku minutach znikła z pola widzenia. Najwidoczniej miała już dosyć.

Teraz szturm na jego wiarę podjęły przeżycia minionego dnia i nocy. Bezkres oceanu, a jeszcze bardziej wrażenia, jakich doznał po skosztowaniu wodorostów, zbudziły w nim wątpliwości, czy ten świat rzeczywiście należy do tych dwojga, którzy nazywają siebie Królem i Królową. Jak mógł być dla nich stworzony, skoro w większości nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi? Czy nie jest to pogląd w najwyższym stopniu naiwny i antropomorficzny? A ów wielki zakaz, od którego jakby tak wiele zależy, czy naprawdę jest tak ważny? Co może obchodzić te szumiące fale, uwieńczone żółtą pianą, lub stworzenia zamieszkujące ich głębie, czy dwie drobne istoty osiedlą się czy nie osiedlą na określonej skale, oddalonej stąd o setki mil?

Czy rzeczywiście ma głębsze znaczenie paralelizm między scenami, jakich był niedawno świadkiem, a tymi opisanymi w Księdze Rodzaju - paralelizm, który uprzednio dawał mu poczucie poznawania doświadczalnie czegoś, w co inni ludzie mogą tylko wierzyć? Czego bowiem na pewno dowodzi? Jedynie tego, że podobne irracjonalne tabu towarzyszy brzaskowi rozumu na dwu różnych planetach. Opowieść o Maleldilu jest z całą pewnością bardzo piękna i wzniosła, ale gdzie jest ów Maleldil w tej chwili? Jeśli ten bezkresny ocean mówi cokolwiek, to z pewnością coś zgoła innego. Podobnie jak wszystkie bezludne przestrzenie, również i ta wodna pustynia jest nawiedzona, ale wcale nie przez antropomorficzne bóstwo, lecz raczej przez całkowicie nieodgadnioną rzeczywistość, dla której człowiek ze swym życiem pozostanie na zawsze obojętny. A poza tym oceanem jest tylko przestrzeń kosmiczna. Daremnie próbował sobie przypomnieć, że był w tej „przestrzeni” i odkrył, iż jest Niebiosami kipiącymi pełnią życia, dla którego nawet nieskończoność nie byłaby ani o cal sześciennej zbyt wielka.

Wszystko to wydawało mu się teraz snem. Coraz bardziej pochłaniał go przeciwny nurt myśli, z którego kiedyś tak często szydził, nazywając go Upiorem Empiryzmu; ów wielki mit naszego wieku z jego gazami i galaktykami, latami świetlnymi i ewolucją, z koszmarnymi perspektywami zwykłej arytmetyki, dzięki której wszystko, co może mieć jakieś znaczenie dla ludzkiego umysłu, staje się jedynie produktem ubocznym powszechnego chaosu. Dotychczas Ransom zawsze lekcewał ów świat, traktował z pewną pogardą jego płaskie superlatywy, jego błazeńską satysfakcją z faktu, że różne rzeczy muszą mieć różne rozmiary, jego gładką potoczność cyfr. Nawet teraz jego rozum nie poddał się całkowicie, chociaż serce nie chciało już słuchać rozumu. Jakaś część jego osobowości wciąż wiedziała, że rozmiary są najmniej ważną cechą rzeczy, że materialny wszechświat zawdzięcza swój majestat mitotwórczej mocy i zdolności do porównań - ten właśnie majestat, przed którym on, Ransom, ma się teraz ukorzyć. Wiedział, że same cyfry nie są w stanie napawać nas lękiem, dopóki nie udzielimy im ze swoich własnych zasobów takiej grozy, jakiej one same nigdy nie mogą nabyć, podobnie jak nie ma jej bankierska księga rachunkowa. Ale ta wiedza była teraz czystą abstrakcją, nad którą wzięła górę samotność i wielkość bezkresnego oceanu.

Z rozmyślań wyrwało go coś, czego się najmniej spodziewał: dźwięk ludzkiego głosu. Spostrzegł, że wszystkie ryby zniknęły, jego własna porusza się leniwie, a zaledwie kilka metrów od siebie ujrzał Nie-człowieka.

Już nie uciekał, lecz powoli zbliżał się do niego, skulony, z oczami zapuchniętymi od ciosów, ze skórą koloru wątroby, z nogą wyraźnie złamaną i ustami wykrzywionymi od bólu.

- Ransom... - rozległ się słaby głos.

Ransom milczał. Nie zamierzał go zachęcać do podjęcia nowej rozgrywki.

- Ransom - powtórzył zdławiony głos. - Na miłość boską, odezwij się.

Spojrzał na Przeciwnika zaskoczony i zobaczył łzy spływające mu po policzkach.

- Och, Ransom, nie odtrącaj mnie. Powiedz, co się stało? Co oni z nami zrobili? Ty... ty cały krwawisz. Ja mam złamaną nogę... - głos załamał się w szlochu.

- Kim jesteś? - zapytał Ransom szorstko.

- Och, nie udawaj, że mnie nie znasz - wymamrotał głos Westona. - Jestem Weston. A ty jesteś Ransom. Elwin Ransom z Cambridge, filolog. Wiem, trochę się pokłóciliśmy. Bardzo mi przykro. Przyznaję, że to moja wina. Ransom, chyba nie pozwolisz mi zdechnąć w tym okropnym miejscu?

- Gdzie nauczyłeś się aramejskiego? - zapytał Ransom, nie spuszczając go z oczu.

- Aramejskiego? O czym ty mówisz? Chyba nie godzi się kpić z umierającego.

- I naprawdę jesteś Westonem? - zapytał Ransom, zaczynając wierzyć w powrót profesora.

- A kim miałbym być? - głos był na granicy płaczu, ale pojawiła się w nim nuta rozżalonego zniecierpliwienia.

- Gdzie byłeś?

Weston - jeśli to był Weston - wzdrygnął się.

- A gdzie teraz jesteśmy? - zapytał.

- Na Perelandrze... czyli na Wenus. Ale o tym przecież wiesz.

- Czy odnalazłeś statek kosmiczny?

- Widziałem go tylko raz i to z daleka. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. Z tego, co wiem, wynika, że co najmniej parę setek mil stąd.

- A więc jesteśmy w pułapce? - głos Westona przypominał skomlenie zbitego psa. Ransom nic nie odpowiedział, a tamten zwiesił głowę i rozplakał się jak dziecko.

- Posłuchaj - rzekł Ransom w końcu - nie ma sensu robić z tego tragedii. Do licha, przecież na Ziemi mogło być z tobą gorzej. Pamiętaj, że tam jest wojna. Może w tej chwili Niemcy bombardują Londyn. - A widząc, że

profesor wciąż płacze, dodał: - Weź się w garść, chłopie. W końcu to tylko śmierć. Przecież wiesz, że każdy musi kiedyś umrzeć. Nie zabraknie nam wody, a głód - bez pragnienia - nie jest taki straszny. A co do utonięcia... no cóż, rana od bagnetu lub rak, to chyba gorsze?...

- Czy chcesz powiedzieć, że zamierzasz mnie tu zostawić? - zapytał Weston.

- Nie mogę, nawet gdybym chciał - odparł Ransom. - Czy nie zauważyłeś, że jestem w takiej samej sytuacji?

- Obiecuj, że nie odejdziesz i nie porzucisz mnie na pastwę losu.

- Dobrze, przyrzekam ci to, jeśli chcesz. Dokąd miałbym odejść?

Weston rozejrzał się powoli dookoła, a potem skierował swoją rybę nieco bliżej Ransoma.

- Gdzie jest... no wiesz? - zapytał szeptem i wykonał jakiś bezsensowny gest.

- Takie samo pytanie mógłbym zadać tobie.

- Mnie? - Weston miał tak zniekształconą twarz, że trudno było odczytać jej wyraz.

- Czy nie pamiętasz, co się z tobą działo w ciągu ostatnich kilku dni? - zapytał Ransom.

Weston znowu rozejrzał się wokół z niepokojem.

- To wszystko prawda - powiedział w końcu.

- Co jest prawdą?

- Dobrze ci gadać! - warknął Weston w nagłym wybuchu wściekłości. - Utopienie nie boli, śmierć tak czy owak nadejdzie. Co za brednie! Co *ty* możesz wiedzieć o śmierci? Mówię ci, to wszystko prawda.

- O czym ty właściwie mówisz?

- Przez całe życie nabijałem sobie głowę różnymi nonsensami. Próbowałem przekonać sam siebie, że tym, co się liczy, są losy ludzkości... próbowałem wierzyć, że można coś zrobić, by uczynić świat bardziej znośnym. To wszystko są bzdury, rozumiesz?

- A prawdą jest coś innego?

- Tak - odparł Weston.

Na długi czas zapadło milczenie.

- Lepiej skierujmy ryby głowami do fali - odezwał się Ransom spoglądając na morze - bo nas rozdzieli.

Weston posłuchał, ale sprawiał wrażenie, jakby nie był świadom tego, co robi. Przez jakiś czas płynęli wolno obok siebie.

- Powiem ci, co jest bardziej prawdziwe - powiedział w końcu Weston.

- Co?

- Małe dziecko, które zakrada się na piętro, gdy nikt nie widzi, bardzo wolno uchyla drzwi, by choć raz zajrzeć do pokoju, gdzie leży trup jego babki, a potem ucieka i ma koszmarne sny.

- Dlaczego to ma być bardziej prawdziwe? Do czego właściwie zmierzasz?

- Dziecko wie o wszechświecie coś, co starają się ukryć wszystkie religie i cała nauka.

Ransom milczał.

- Jest wiele rzeczy... - ciągnął Weston. - Dzieci boją się przejść nocą obok cmentarza, a dorośli mówią im, żeby nie były głupie. Ale dzieci wiedzą o wiele więcej niż dorośli. Krajowcy w Afryce Środkowej nakładają maski i ciemną nocą wyczyniają różne okropności, a misjonarze i biali urzędnicy mówią, że to zabobony. Ale ci czarni wiedzą więcej o wszechświecie niż biali. Obdarci księża na przedmieściach Dublina straszą głupkowate dzieci opowieściami o śmierci. Powiesz, że to ludzie ciemni, niedouczeni. To nieprawda. Ich ciemnota polega tylko na tym, że wierzą w możliwość ucieczki. Nie ma takiej możliwości. Taki jest prawdziwy wszechświat. Taki był i taki zawsze będzie. Taki jest właśnie sens tego WSZYSTKIEGO.

- Nie bardzo rozumiem... - zaczął Ransom, ale Weston nie pozwolił mu skończyć.

- Właśnie dlatego jest tak ważne, by żyć jak najdłużej. Wszystko, co dobre, jest tu i teraz. Tu i teraz, Ransom. Cienka łupinka tego, co nazywamy życiem... coś zewnętrznego... na pokaz... A potem - potem zaczyna się *prawdziwy* wszechświat. Już na zawsze. Na wieki wieków. Nie ma ucieczki. Pogrubić tę łupinę bodaj o centymetr, żyć choćby tydzień, dobę, pół godziny dłużej - tylko to się naprawdę liczy. Oczywiście ty tego nie rozumiesz, ale rozumie to każdy człowiek, którego mają powiesić. Mówisz: co za różnica, prędzej czy później. Co za różnica!

- Przecież nikt nie musi tam odejść.

- Och, wiem, że w to wierzysz. Ale popełniasz błąd. Tak myśli tylko mała część cywilizowanej ludzkości. Ludzkość jako całość wie dobrze, jak jest naprawdę. Wie, jak Homer, że *wszyscy* umarli zapadają w wewnętrzną ciemność: pod skorupę. Wszyscy otępiali, wszyscy mamrocząc, bełkocąc, gnijąc. Upiory. Każdy dzikus wie, że upiory nienawidzą żyjących, tych, co wciąż zażywają szczęścia na zewnątrz skorupy, tak jak stare kobiety nienawidzą dziewcząt, które wciąż cieszą się swą urodą. Mają rację ci, którzy boją się upiorów. Ty też będziesz kiedyś upiorem.

- Ty nie wierzysz w Boga - powiedział Ransom.

- Ach, to inna sprawa! Jako mały chłopiec chodziłem do kościoła, tak jak ty. Niektóre części Biblii mają głębsze znaczenie, o którym wy, wierzący, nie macie pojęcia. Czy Biblia nie mówi, że On jest Bogiem żywych, a nie umarłych? O to właśnie chodzi. Być może wasz Bóg istnieje, ale w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Oczywiście ty tego nie pojmujesz, ale jeszcze przyjdzie taki dzień, w którym przejrysz. Teraz... no cóż, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałeś koncepcję tej cienkiej, zewnętrznej łupinki, zwanej życiem. Wyobraź sobie wszechświat jako nieskończony glob otoczony z zewnątrz bardzo cienką powłoką. Pamiętaj jednak, że jej grubość mierzy się *czasem*. W najlepszych miejscach niewiele ponad siedemdziesiąt lat. Rodzimy się na powierzchni tej skorupy i w ciągu całego życia zapadamy się w nią stopniowo, a kiedy w końcu przejdziemy przez nią całkowicie, stajemy się zmarłymi: dostajemy się do ciemnego wnętrza globu, do prawdziwego wszechświata. Jeśli twój Bóg istnieje, nie ma go *wewnątrz* globu, jest na zewnątrz, tak jak Księżyc. Zapadając się do wnętrza globu, znikamy z Jego pola widzenia. On nie idzie tam za nami. Mówisz: Bóg jest poza czasem i uważasz, że to bardzo pocieszające! Biedaku! To po prostu oznacza, że On zostaje na zewnątrz, w świetle, w powietrzu - *na zewnątrz*. Ale my istniejemy w czasie. Poruszamy się wraz z czasem, a więc z Jego punktu widzenia *odchodzimy* w coś, co On uważa za niebyt, dokąd nigdy za nami nie podąży. To jest nasze przeznaczenie. Bóg może istnieć lub może nie istnieć w tym, co nazywamy „życiem”. Ale jakie to ma znaczenie? Przecież my nie zabawimy tam długo!

- To wcale nie jest cała prawda o bycie - powiedział Ransom. - Gdyby było tak, jak mówisz, czulibyśmy się w takim wszechświecie bardzo swojsko jako jego cząstki. Sam fakt, że podobna koncepcja przeraża nas swoją potwornością...

- Tak - przerwał mu Weston - wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że samo ludzkie rozumowanie zachowuje wartość tak długo, jak długo pozostajemy na zewnątrz skorupy. Wobec prawdziwego wszechświata - tego wewnątrz - jest całkowicie bezradne. Nawet zwyczajni naukowcy, jakim ja niegdyś byłem, zaczynają to dostrzegać. Czy nie widzisz, jakie jest prawdziwe znaczenie całej tej nowoczesnej gadaniny o niebezpieczeństwach ekstrapolacji, o zakrzywionej przestrzeni i nieokreśloności atomu? Oczywiście uczeni nie używają wielu słów, ale w istocie zmierzają za życia do odkrycia tego, co odkryje każdy człowiek, kiedy umrze: że rzeczywistość nie jest ani racjonalna, ani konsekwentna,

ani w ogóle żadna inna. W pewnym sensie można powiedzieć, że jej nie ma. „Realne” i „nierealne”, „prawdziwe” i „fałszywe” - to wszystko ma znaczenie tylko na powierzchni. Ściśnij mocniej te pojęcia, a nic z nich nie zostanie.

- Gdyby to było prawdą - rzekł Ransom - to po co w ogóle o tym mówić?

- Albo o czymkolwiek innym! Brawo! Jedyne czegośkolwiek polega na tym, że nic nie ma sensu. Dlaczego upiory straszą? Bo są upiorami. A co innego miałyby robić?

- Zaczynam cię rozumieć - powiedział Ransom. - Sposób, w jaki człowiek patrzy na wszechświat czy na jakąkolwiek budowlę, w znacznej mierze zależy od miejsca, w którym się akurat znajduje.

- Ale szczególnie od tego, czy jest wewnątrz, czy na zewnątrz. Wszystkie sprawy, nad którymi tak lubimy się rozwodzić, leżą na zewnątrz. Weź na przykład naszą planetę albo Perelandrę. Albo piękne ludzkie ciało. Wszystkie barwy i miłe oku kształty są tylko tam, gdzie ciało się kończy, gdzie już przestaje istnieć. A wewnątrz - co jest wewnątrz? Ciemność, robactwo, gorąco, ciśnienie, sól, duszność, smród.

Przez kilka minut płynęli w milczeniu przez rosnące coraz bardziej fale. Ryby posuwały się wyraźnie wolniej.

- Oczywiście ciebie to niewiele obchodzi - odezwał się w końcu Weston.

- Co was, żyjących w skorupie, w ogóle obchodzi? Jeszcze nie zostaliście ściągnięci w dół, do środka. To mi przypomina sen, jaki kiedyś miałem, chociaż wówczas jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo jest prawdziwy. Śniłem, że leżę martwy... no wiesz, ułożony pięknie w szpitalnej izolatce. Twarz miałem umytą i ogoloną przez ludzi z zakładu pogrzebowego, w pokoju stały wielkie, białe lilie... I nagle wszedł ktoś, kto... dosłownie się rozpadał... jak włóczęga... tyle że to nie jego ubranie było w strzępach, ale on sam... Wszedł i stanął w nogach łóżka. Czułem, że mnie nienawidzi. „No, pięknie, pięknie”, powiedział. „Na pewno jesteś z siebie bardzo zadowolony pod tymi czystymi, białymi prześcieradłami? Kwiaty, gotowa lśniąca trumna. Ja też tak zaczynałem. Wszyscy tak zaczynamy. Ale tylko poczekaj, a zobaczysz, co będzie dalej, dokąd się stoczysz...”

- Wiesz co? - przerwał mu Ransom ostrym tonem. - Może byś przestał pleść bzdury?

- Albo spirytyzm - ciągnął Weston, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Kiedyś uważałem to wszystko za nonsens. Ale myliłem się. To wszystko prawda. Czy zauważyłeś, że wszystkie *przyjemne* opowieści o zmarłych są albo tradycyjne, albo czysto filozoficzne? Bo aktualne doświadczenie

ukazuje coś zupełnie innego. Ektoplazma, ta śluzowata mgiełka, która wydobywa się z brzucha medium i formuje wielkie, rozsmazane, rozpadające się twarze... Automatyczne pismo dające całe ryzy śmiecia...

- Czy jesteś Westonem? - zapytał nagle Ransom, odwracając się do swego towarzysza. Czuł, że zaczyna go doprowadzać do szaleństwa ten monotony, mamroczący głos, na tyle artykułowany, że musiało się go słuchać, i jednocześnie tak niewyraźny, że trzeba było wytężyć słuch, by zrozumieć słowa.

- Nie złość się - odpowiedział głos. - Nie powinieneś się na mnie złościć. Myślałem, że będziesz mi współczuć. O Boże, Ransom, to jest straszne! Ty tego nie rozumiesz. Pomyśl tylko. Jesteś tam, w dole, pod tyłoma warstwami. Pogrzebany żywcem. Próbujesz znaleźć jakiś związek między rzeczami - i nie możesz. Zabrali ci głowę... Nie możesz nawet sięgnąć wspomnieniem wstecz, ku temu, czym było życie w powłoce, bo wiesz, że ono nie miało sensu od samego początku.

- Kim jesteś?! - zawołał Ransom. - Skąd wiesz, jak wygląda śmierć? Bóg mi świadkiem, pomógłbym ci, gdybym wiedział jak. Podaj mi fakty. Gdzie byłeś przez ostatnie dni?

- Przestań! - uciszył go nagle Weston. - Co to takiego? Ransom nasłuchiwał. Z całą pewnością w otaczającym ich wielkim zbiorowisku dźwięków pojawił się nowy element. Z początku nie potrafił go zidentyfikować. Morze było wzburzone, a wiatr silny. Nagle Weston wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

- Och, mój Boże! - zawołał. - Och, Ransom! Ransom! Zginiemy. Zabiją nas i zepchną pod skorupę. Ransom, przyrzekłeś, że mi pomożesz. Nie pozwól, by mnie znowu dostali.

- Zamknij się - rzekł Ransom, bo odrażająca istota tak jęczała i zawodziła, że trudno mu było wsłuchać się w ów nowy, niski, głęboki dźwięk, który wmieszał się w wycie wiatru i ryk wody.

- To bałwany rozbijają się o skały! - wołał Weston. - Nie słyszysz, głupcze? W pobliżu musi być ląd! Jakiś skalisty brzeg. Spójrz tam... nie, na prawo. Zaraz nas roztrzaska na miazgę. Zobacz... O Boże, robi się ciemno!

I rzeczywiście nadeszła ciemność. Ransoma ogarnęło przerażenie, jakiego chyba jeszcze nigdy w życiu nie zaznał: strach przed śmiercią, strach przed tą okropną istotą miotającą się tuż obok niego, a w końcu strach przed czymś nieokreślonym. Po kilku minutach w czarnej jak smoła nocy ujrzał świetlisty obłok piany. Ze sposobu, w jaki wystrzelała stromo w górę, ocenił, że wielka fala rozbiła się o wysoki, skalisty brzeg.

Niewidzialne ptaki krążyły w podnieceniu tuż nad ich głowami, wrzeszcząc przeraźliwie.

- Hej, Weston, jesteś tu?! - zawołał. - Jak się czujesz? Weź się w garść. Te wszystkie bzdury, o których mówiłeś, to zwykłe wariactwo. Zmów dziecinny pacierz, jeśli nie potrafisz się modlić jak dorosły. Żałuj za grzechy. Chwyć mnie za rękę. W tej chwili setki młodych chłopców śmiało spoglądają śmierci w oczy. Jakoś przez to przejdziemy.

Poczuł, że jego rękę ucisnęła w ciemności inna, bardzo zimna dłoń. Uścisk był trochę mocniejszy, niż oczekiwał.

- Nie zniosę tego, nie wytrzymam - jęczał głos Westona.

- Spokojnie... Tylko nie tak! - zawołał Ransom, bo Weston nagle chwycił go oburącz za ramię.

- Nie wytrzymam - powtórzył głos w ciemności.

- Hej! Puszczaj! Do diabła, co ty wyprawiasz?!

W tej samej chwili silne ręce wyrwały go z rybiego siedła, opasały w kolanach żelaznym uściskiem i zaczęły ściągać w dół. Daremnie się opierał, chwytając śliskiego ciała ryby. Woda zamknęła się nad nim. Przeciwnik pociągał go w ciepłą otchłań, a potem jeszcze głębiej, tam, gdzie przestała już być ciepła.

„Nie utrzymam dłużej oddechu”, myślał Ransom. „Nie mogę. Nie wytrzymam. „Raz po raz coś zimnego i oślizgłego przesuwano się w górę wzdłuż jego udręczonego ciała. Zdecydował, że nie będzie już dłużej wstrzymywał oddechu, że otworzy usta i umrze. Ale wola nie posłuchała tej decyzji. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu nie tylko klatka piersiowa, ale i skronie. Walka była daremna. Ręce nie napotykały Przeciwnika, nogi miał spętane uściskiem. Uświadomił sobie, że zaczynają się wznosić w górę, ale nie wzbudziło to w nim nadziei. Powierzchnia morza była za daleko: nie wytrzyma, zanim jej dosięgną. W obliczu bliskiej śmierci wszystkie koncepcje życia pozagrobowego zbladły i straciły sens. „A więc tak umiera człowiek”, powtarzał w myśli, nie mając do tego żadnego stosunku, jakby to było abstrakcyjne stwierdzenie, które go nie dotyczy.

Nagle uszy wypełnił mu ryk dźwięków, trudny do zniesienia huk i szum. Automatycznie otworzył usta i stwierdził, że znowu oddycha. W rozbrzmiewających echemi, nieprzeniknionych ciemnościach czepiał się czegoś, co przypominało żwir, a jednocześnie wierzgał dziko, by uwolnić się z uścisku wciąż opasującego mu nogi. Wreszcie wyzwolił się i podjął walkę na nowo. Była to walka na oślep, po części w wodzie, po części na pokrytej otoczkami plaży. Co jakiś czas natrafiał na ostrzejsze skały, które kaleczyły mu stopy i łokcie. Ciemność wypełniła się zdławionymi przekleństwami, skowytem, krótkimi jękami, odgłosami uderzeń i ciężkich oddechów.

W końcu zdołał przygnieść Przeciwnika do kamieni. Usiadł na nim okrakiem i ścisnął kolanami jego żebra, aż usłyszał, jak trzeszcza. Chwytał go oburącz za gardło. Ostre szpony szarpały mu ramiona, lecz nie rozluźnił chwytu. Kiedyś już ścisnął tak czyjąś szyję, ale wówczas chodziło o powstrzymanie krwotoku z tętnicy, o ratowanie życia. Teraz dusił śmiertelnego wroga, zabijał. Zdawało mu się, że trwa to całe wieki. Nieczłowiek zaprzestał walki, lecz on długo jeszcze nie ważył się rozluźnić uścisku. Nawet wówczas, gdy był już całkowicie pewny, że Przeciwnik

przestał oddychać, siedział wciąż na jego piersiach, nie puszczając zimnego gardła ze zmęczonych rąk. Był bliski omdlenia, lecz najpierw policzył do tysiąca, a dopiero potem cofnął ręce. Nadal jednak ścisnął kolanami nieruchome ciało.

Nie potrafił powiedzieć, czy w ciągu kilku ostatnich godzin naprawdę przemawiał do niego duch Westona, czy też padł ofiarą jeszcze jednego podstępny. Zresztą, cóż za różnica! Potępienie prowadzi niewątpliwie do pomieszania osobowości: źli ludzie otrzymują w piekle to, czego panteiści błędnie oczekują od nieba. Wtapiają się w swego Mistrza, tak jak ołowiany żołnierz roztapia się i traci kształt na łyżce trzymanej nad płomieniem gazu. Pytanie, czy w konkretnym wypadku działa Szatan, czy też jeszcze ktoś, kogo Szatan strawił, jest na dalszą metę pozbawione wyraźnego sensu. Tymczasem najważniejsze, by nie dać się oszukać ponownie.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to czekać rana. Z ryku fal wynioskował, że znajduje się w bardzo wąskiej zatoce otoczonej skałami. Jak tu trafili, pozostawało zagadką. Niestety, do świtu pozostawało wiele godzin. Postanowił nie opuszczać martwego ciała, dopóki nie obejrzy go w świetle dziennym i w razie potrzeby nie zrobi jeszcze czegoś, aby mieć pewność, że ciało nie ożyje. Do tego czasu musi jakoś wytrzymać. Wymoszczona otoczkami plaża nie zachęcała do spoczynku. Kiedy spróbował odchylić się do tyłu, plecy natrafiły na ostry występ skalny. Na szczęście był tak zmęczony, że na razie sprawiało mu ulgę samo siedzenie. Ale to stadium wkrótce minęło.

Starał się wytrwać. Przede wszystkim postanowił zaniechać obliczania upływu czasu. „Jedyna bezpieczna odpowiedź - powiedział sobie - to pomyśleć o możliwie najwcześniejszej godzinie, a następnie wmówić w siebie, że naprawdę jest o dwie godziny wcześniej. „Skracał sobie czas rekapitulacją tego, co już przeżył na Perelandrze. Recytował wszystkie zapamiętane urywki z *Iliady*, *Odysei*, *Pieśni o Rolandzie*, *Raju utraconego*, *Kalewali* i *Polowania na rekina*, a nawet własny poemat o fonetyce germańskiej, skomponowany na pierwszym roku studiów. Próbował strawić jak najwięcej czasu na przypominaniu sobie tych wersów, których nie pamiętał. Postawił przed sobą problem szachowy. Próbował naszkicować w myślach rozdział książki, jaką zaczął pisać na Ziemi.

Ale wszystko w końcu zawodziło. Raz po raz wpadał w tępą beczynność, gdy zaciskał zęby starając się nie upaść na twarz. W końcu nie potrafił już sobie przypomnieć, co było przed tą nocą. Nie mógł uwierzyć, że dwanaście godzin może się tak dłużyć, nawet komuś, kto się

nudzi i czuwa. I te odgłosy... To gruboziarniste, oślizgłe zmęczenie...

To bardzo dziwne, myślał, że tu w ogóle nie ma owych słodkich, nocnych powiewów, tak charakterystycznych dla Perelandry. Czy nie jest też dziwne (ale ta myśl przyszła chyba wiele godzin później), że ciemności nie rozjaśnia bodaj fosforescencja pianistych grzebieni fal? Powoli, bardzo powoli, zaczęła mu świtać prawdopodobna odpowiedź; wyjaśniałaby ona również, dlaczego ciemność trwa tak długo. Była to odpowiedź tak straszna, że nie pozwalała na luksus przerażenia. Starając się panować nad sobą, dźwignął się na zeszywniałe nogi i ruszył ostrożnie wzdłuż plaży. Posuwał się bardzo wolno z wyciągniętymi przed siebie rękami i wkrótce dotknął pionowej skały. Wspiął się na palce i sięgnął rękami jak najwyżej. Wyczuł jedynie skałę.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział na głos do siebie. Po omacku wrócił, odnalazł ciało Nie-człowieka, przekroczył je i ruszył w przeciwną stronę. Brzeg zakręcał tu ostro. Nim zrobił dwadzieścia kroków, jego uniesione do góry ręce napotkały tym razem nie ścianę, lecz skalny pułap. Posunął się kilka kroków dalej i pułap zaczął opadać. Niebawem musiał się pochylić, a potem pełznąć na czworakach. Nie zdziwił się, gdy w końcu sklepienie połączyło się z kamienistą powierzchnią plaży.

Zrobiło mu się słabo z bezsilnej rozpacz. Wrócił po omacku do trupa i usiadł. Nie miał wątpliwości: nigdy nie doczeka się poranka. W tym miejscu słońce nie zapłonie aż do końca świata. Być może czekał już całą noc i cały dzień. To echo, to martwe powietrze, ten szczególny zapach - wszystko potwierdzało złowrogą prawdę. Kiedy poszedł na dno ze swym wrogiem, natrafili przypadkowo na szczelinę w skale i wyłynęli na powierzchnię w jakiejś grocie.

Czy można odwrócić bieg wydarzeń? Odnalazł po omacku drogę do brzegu, gdzie żwir był wilgotny. Woda sama wyszła mu na spotkanie. Potężny bałwan wystrzelił w górę, przewalił się z rykiem nad jego głową i uderzył w ścianę gdzieś poza nim, a potem powrócił z taką mocą, że pociągnąłby go za sobą, gdyby Ransom nie przywarł do plaży, rozkrzyżowując ramiona i czepiając się - aż do bólu - kamieni.

Rzucić się *w to*? Co to da? W najlepszym razie połamanie żeber przy zderzeniu z przeciwległą skałą. Gdyby miał światło i zdołał wdrapać się na jakąś wysoką półkę skalną, mógłby skoczyć i nurkując na samo dno odnaleźć podwodne wyjście... Szansa jedna na sto... Zresztą - i tak nie ma światła.

Chociaż powietrze w jaskini nie było najlepsze, Ransom podejrzewał, że

jego więzienie musi być jakoś zasilane powietrzem z zewnątrz. Inna sprawa, czy do takiej domniemanej szczeliny można się dostać... Trzeba jednak spróbować. Odwrócił się i zaczął badać ścianę poza sobą. Z początku rezultat nie dawał żadnej podstawy do nadziei, ale przekonanie, iż wszystkie jaskinie dokądś prowadzą, było w nim - jak w każdym z nas - zbyt głęboko zakorzenione, aby zaniechać poszukiwań. Wreszcie wymacał rękami niezbyt wysoką półkę skalną. Sądził, że będzie miała ledwie kilka cali szerokości, ale kiedy się na nią wspiął, nie wyczuł przed sobą ściany. Bardzo ostrożnie postąpił kilka kroków naprzód, aż prawą nogą stanął na czymś ostrym. Syknął z bólu i ruszył dalej, starając się stąpać jeszcze ostrożniej. Po chwili wymacał pionową ścianę, zupełnie gładką, w każdym razie do takiej wysokości, do jakiej mógł dosięgnąć ręką. Przesunął się w prawo i wkrótce natrafił na próżnię, ale niemal w tej samej chwili potknął się boleśnie. Rozmasował stopę i ruszył dalej na czworakach. Miał wrażenie, że pełźnie po stromym osypisku. Czasem ślizgał się po sypkim piargu, czasem mozolnie pokonywał wielkie głazy, ale przez co najmniej dziesięć minut zdołał wspiąć się dość wysoko. Potem znów napotkał pionową ścianę. Obmacał ją i znalazł półkę na wysokości swoich piersi, ale tym razem naprawdę bardzo wąską. Wlazł na nią i, przywarłszy całym ciałem do skały, począł szukać palcami następnego punktu oparcia.

Kiedy go znalazł, zawahał się, zdając sobie sprawę, że teraz czeka go prawdziwa wspinaczka. Nie miał pojęcia, jak wysoka i stroma jest skała, do której przywarł drżąc z zimna; może nie odważyłby się jej atakować nawet w świetle dziennym i w odpowiednim ubraniu. Nadzieja szeptała mu jednak, że równie dobrze skała może mieć zaledwie dwa, trzy metry. Jeśli tylko przez kilka minut zachowa zimną krew, dotrze do wygodnych, krętych korytarzy w sercu tej góry, wiodących w końcu na zewnątrz. Ta wizja rozpałała jego wyobraźnię. Zdecydował się wspinać wyżej. Prawdę mówiąc, nie tyle lękał się upadku, co oddalenia od wody. Był przekonany, że głód może znieść długo, natomiast drżał na myśl o mękach pragnienia.

Przez kilka następnych minut dokonywał czynów, na jakie nigdy nie zdobyłby się na Ziemi. Niewątpliwie pomagały mu w tym ciemności: nie miał przynajmniej lęku wysokości i zawrotów głowy. Ale z drugiej strony poleganie wyłącznie na zmyśle dotyku czyniło ze wspinaczki czyste szaleństwo. Gdyby go ktoś obserwował, byłby z pewnością zdumiony, widząc, jak raz nieprzytomnie ryzykuje, a innym razem pozwala sobie na zupełnie niepotrzebną ostrożność. Przez cały czas próbował zagłuszyć w sobie myśl, że być może wspina się daremnie ku skalnemu sklepieniu

jakiejś gigantycznej jaskini.

Mniej więcej po kwadransie wspinaczki znalazł się na szerokiej, płaskiej powierzchni. Mogła to być kolejna, o wiele głębsza półka, ale podsycał w sobie nadzieję, że osiągnął już szczyt urwiska. Odpoczął przez chwilę, obmacując rany. Wreszcie wstał i ruszył ostrożnie naprzód, wyciągnąwszy przed siebie ręce, aby nie zderzyć się z nową ścianą. Ale nic takiego nie nastąpiło. Po trzydziestu krokach krzyknął kilka razy i z tonu dźwięków wywnioskował, że znajduje się na obszernej, otwartej przestrzeni. Pokryte drobnymi otoczkami zbocze podnosiło się dość stromo. Co pewien czas zdarzały się większe kamienie, ale nauczył się już unosić wysoko stopy i rzadziej je kaleczył. Dokuczał mu tylko ból głowy i migotanie ostrych światełek i urojonych barw, bo mimo całkowitej ciemności nie mógł się powstrzymać, by wciąż nie wyteżać wzroku.

Ta powolna, uciążliwa wędrówka w ciemności trwała bardzo długo i w końcu zaczął się obawiać, że krąży w kółko lub że zabłądził wśród podziemnych korytarzy, ciągnących się w nieskończoność pod powierzchnią planety. Podtrzymywało w nim nadzieję stałe wznoszenie się kamienistego zbocza. Nieznośna była tęsknota za światłem. Marzył o nim tak, jak zgłodniały człowiek marzy o jedzeniu. Oczami wyobraźni widział mleczne obłoki sunące nad wzgórzami po błękitnym, kwietniowym niebie albo napełniające spokojem jasne kręgi od lamp, oświetlające rozrzucone w miłym nieładzie książki i fajki. Owładnęło nim nieodparte wrażenie, że idzie po zboczu nie tylko pograżonym w ciemności, ale i czarnym z natury, jakby je pokrywała sadza. Zdawało mu się, że ma nią powalane ręce i nogi, a kiedy wyobrażał sobie powrót na światło dnia, był to zawsze powrót do świata pokrytego grubą warstwą sadzy.

Nagle uderzył o coś czołem i oszołomiony osunął się na ziemię. Kiedy oprzytomniał, zbadał ręką niespodziewaną przeszkodę i stwierdził, że kamienisty stok zbiega się z gładkim, skalnym sklepieniem. Serce w nim zamarło, gdy usiadł, przetrawiając to odkrycie. Gdzieś z dołu dochodził słaby, melancholijny odgłos fal, podpowiadając mu, że musiał osiągnąć znaczną wysokość. W końcu, bez większej nadziei, zaczął posuwać się w prawo, przez cały czas dotykając sklepienia uniesionymi wysoko rękami. Wkrótce stracił kontakt ze skałą, a po pewnym czasie usłyszał bliski szum wody. Szedł bardzo wolno, bojąc się, że może trafić na wodospad. Kamieniste podłoże zrobiło się wilgotne i niebawem wyczuł, że wchodzi do zagłębienia z wodą. Zrobił kilka kroków w lewo i rzeczywiście natrafił na wodospad, ale struga wody była mała i nie musiał się jej obawiać. Ukłął w

pluszczącej sadzawce, napił się z kaskady i pozwolił, by orzeźwiający strumień oblał mu zbolałą głowę i ramiona.

Pokrzepiony spróbował ruszyć dalej. Śliskie kamienie porastał mech i Ransom raz po raz natrafiał na płytkie zbiorniki wody, ale na ogół droga nie sprawiała mu większych trudności. Po blisko dwudziestu minutach zbocze skończyło się; sądząc po brzmieniu echa, musiał dojść do naprawdę rozległej i wysokiej pieczary. Pozwolił, by dalej prowadził go strumyk, i już po chwili poczuł się raźniej, jakby w tej bezkształtnej ciemności znalazł towarzysza. Powoli rodziła się w nim i krzepła prawdziwa nadzieja, różna od owej konwencjonalnej otuchy, jakiej ludzie dodają sobie zwykle w rozpaczliwych sytuacjach.

Ale niebawem zaczęły go niepokoić dziwne odgłosy. Już dawno ucichł stłumiony szum morza, dobiegający uprzednio ze skalnej studni, z której rozpoczął wędrówkę. Od dłuższego czasu słyszał tylko łagodny szmer strumyka. Ale teraz mieszały się z nim inne dźwięki. Czasem był to głuchy plusk, jakby coś ześliznęło się do jednej z pozostawionych w tyle sadzawek, czasem - jeszcze bardziej zagadkowy suchy zgrzyt, jakby ktoś ciągnął po kamieniach metalowy przedmiot. Z początku wziął to za wytwór swojej udręczonej wyobraźni. Kilka razy przystanął nasłuchując, lecz gdy uspokoiony ruszał w dalszą drogę, niepokojące dźwięki rozbrzmiewały znowu. Wreszcie przystanął raz jeszcze i usłyszał je zupełnie wyraźnie. Czyżby to Nie-człowiek ożył mimo wszystko i podążał jego śladem? Wydawało się to nieprawdopodobne - przecież gdyby nawet powrócił do życia po raz wtóry, to jego jedynym planem mogła być tylko ucieczka. Z drugiej strony niełatwo było się pogodzić z inną możliwością: że te podziemne groty są zamieszkane. Całe dotychczasowe doświadczenie mówiło mu, że jeśli żyją tu jakieś istoty, to prawdopodobnie nie są groźne, lecz nie potrafił uwierzyć, by coś żyjącego w takim miejscu mogło nie być odrażające. Niby stłumione echo wróciły słowa Nie-człowieka - a może Westona: „Wszystko, co piękne, jest na powierzchni; wewnątrz jest tylko ciemność, gorąco, groza i smród”.

Przyszło mu na myśl, że jeśli jakieś stworzenie idzie za nim w górę strumienia, dobrze by było oddalić się od jego brzegu i poczekać, aż przejdzie. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że stworzenie żyjące w wiecznych ciemnościach musi posługiwać się głównie węchem, nie chciał też ryzykować utraty kontaktu ze strumieniem. Ostatecznie postanowił iść dalej jego brzegiem.

Po pewnym czasie zrobiło mu się nieznośnie gorąco. W poszukiwaniu

ochłody wszedł do strumienia, ale nie przyniosło mu to wyraźnej ulgi. Nie wiedział, czy to skutek zmęczenia - dokuczał mu teraz silny głód - czy też bezwiednego przyspieszenia kroku. W końcu postanowił, że mimo ścigających go wciąż odgłosów, musi zatrzymać się i odpocząć. Niemal w tej samej chwili ujrzał światło.

Tyle razy ulegał złudzeniom, że z początku nie chciał w to uwierzyć. Zamknął oczy, policzył do stu i ponownie je otworzył. Odwrócił się, usiadł i wytrwał tak kilka minut, modląc się, by światło nie okazało się halucynacją, a potem spojrzał raz jeszcze. „No, jeśli to jest złudzenie - pomyślał - to trzeba przyznać, że wyjątkowo uporczywe.” Przed nim majaczyła w mroku słaba, drżąca poświata o lekko czerwonym zabarwieniu. Była za słaba, by cokolwiek oświetlić. W tym królestwie czerni trudno było powiedzieć, czy od jej źródła dzieli go pięć stóp czy pięć mil.

Czując, jak serce łomocze mu w piersi, zaczął iść, dziękując Bogu, że strumień prowadzi w tym samym kierunku.

Był pewien, że światło jest jeszcze daleko, gdy niespodziewanie znalazł się na jego krawędzi. Padało z góry, tworząc na powierzchni wody krąg, który stwarzał złudzenie głębszej, pomarszczonej sadzawki. Wszedł do niej i spojrzał w górę. Nad sobą miał nieregularną, czerwoną plamę światła. Tym razem było dość silne, by rozjaśnić najbliższe otoczenie. Kiedy oczy Ransoma przyzwyczyły się do rozpoznawania kształtów, stwierdził, że spogląda w skalny komin. Jego dolny otwór znajdował się w sklepieniu pieczary, którą dotąd szedł, zaledwie kilka stóp nad jego głową; górny przebijał niewątpliwie dno oddzielnej, wyżej położonej komory, skąd pochodziło światło. Widział nierówne ściany szybu, pokryte plamami i nawisami galaretowatej, raczej niezbyt przyjemnej dla oka roślinności. Spływała po nich woda, a jej krople spadały ciepłym deszczem na głowę i ramiona Ransoma. Ciepło i czerwone zabarwienie światła pozwalały podejrzewać, że górną komorę oświetla jakiś podziemny ogień.

Trudno właściwie powiedzieć, dlaczego Ransom bez chwili wahania postanowił, że uczyni wszystko, by dostać się do górnej jaskini. Kiedy się nad tym później zastanawiał, przychyłał się do wniosku, że prawdziwym powodem była po prostu przemożna tęsknota za światłem. Już pierwsze spojrzenie w komin przywróciło mu świat wymiarów i perspektywy i już samo to dawało poczucie uwolnienia z więzienia. Miał wrażenie, że dowiaduje się o swym otoczeniu o wiele więcej, niż dowiadywał się naprawdę. Odzyskiwał cały układ kierunków przestrzennych, bez którego człowiek nie jest w stanie nazywać swego ciała własnym. Żaden powrót do

tej straszliwej, czarnej próżni, w której się dotąd poruszał, nie wchodził w ogóle w rachubę. Być może pomyślał też i o tym, że wejście do oświetlonej groty przerwie wreszcie ucieczkę przed tym czymś lub kimś nieznanym, co uparcie podążało jego śladem.

Nie było to łatwe. Nie mógł dosięgnąć otworu komina, a podskakując dotykał tylko zwisających frędzli porostów. Wreszcie wpadł na pomysł nie rokujący z początku wielkich sukcesów, ale najlepszy ze wszystkich, jakie mu przychodziły do głowy. W nikłym świetle dostrzegł wokół siebie sporo wielkich kamieni i postanowił ułożyć z nich stos pośrodku sadzawki.

Pracował gorączkowo i nieraz musiał niszczyć to, co już zrobił, nim piramida osiągnęła pożądaną wysokość. Słaby i zlany potem stanął wreszcie na jej szczycie. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, jak wielkie ryzyko go czeka. Musiał teraz schwytać mocno frędzle porostów zwieszające się po obu stronach otworu, licząc na to, że utrzymają jego ciężar, a następnie podciągnąć się energicznie do góry. W całej tej operacji najważniejsza była szybkość, bo był pewny, że jeśli nawet rośliny nie przerwą się w pierwszym momencie, to długo nie utrzymają jego ciężaru.

Udało się. Nie bardzo wiedząc, jak do tego doszło, tkwił już w szczelinie, wsparty plecami o jedną ścianę, a stopami o drugą, jak alpinista w skalnym kominie. Gruba, gąbczasta roślinność ochraniała skórę. Po kilku mozolnych ruchach zdołał się wsunąć głębiej. Okazało się, że ściany rozpadliny są na tyle nierówne i popękane, że można się po nich wspinać w zwykły sposób. Robiło się coraz goręcej. „Jestem chyba skończonym głupcem pchając się do tego piekła”, pomyślał. W tej samej chwili wynurzył głowę przez górny otwór.

Oślepiła go jasność. Kiedy w końcu odzyskał zdolność postrzegania, zobaczył, że stoi w przestronnej grocie wypełnionej jaskrawym blaskiem o takim natężeniu, jakby była wydrążona w rozpalonym do czerwoności żużlu. Po lewej stronie dno opadało łagodnie, po prawej wznosiło się ku krawędzi, za którą ziała otchłań oślepiającej jasności. Środkiem płynęła szeroka, płytka rzeka. Sklepienie było tak wysoko, że ginęło w mroku, a ściany pięły się ku niemu szerokimi łukami, jak korzenie starych buków.

Wygramolił się z dziury, przeszedł przez gorącą, jak się okazało, rzekę i ostrożnie podszedł do krawędzi. Tysiące stóp niżej, hucząc, kłębiąc się i trzeszcząc, płonął potworny ogień. Przeciwnego brzegu otchłani nie widział. Wytrzymał parę sekund, a kiedy odwrócił głowę, grota wydała mu się pograżona w ciemności. Nie mógł dłużej znieść żaru i wycofał się jak najdalej, a potem usiadł plecami do ognia, by zebrać myśli.

Stało się to zupełnie nieoczekiwanie. Jego świadomość została całkowicie opanowana przez obraz wszechświata, jaki Weston (jeśli to był Weston) malował mu niedawno. Inwazja była tak nagła i trudna do odparcia jak atak czołgów. Teraz widział wyraźnie, że całe życie spędził w świecie iluzji. Upiory, przeklęte upiory mają słuszność! Piękno Perelandry, niewinność Zielonej Pani, cierpienia świętych, szlachetne porywy ludzkich uczuć - wszystko to jest tylko zewnętrznym pozorem, widowiskiem. To, co nazywał światami, jest tylko powłoką światów. Zaledwie ćwierć mili głębiej, pod skorupą, rozpoczynają się tysiące mil mroków, milczenia i piekielnego ognia, sięgające do samego serca planety. Tam mieszka Rzeczywistość - bezcelowa, nie uformowana, wszechpotężna absurdalność, z którą żadne duchy nie mają nic wspólnego i wobec której wszelkie wysiłki są daremne. Teraz wiedział już, że to coś, co podążało jego śladem, wejdzie do wilgotnego, ciemnego szybu i za chwilę wyłoni się z ohydneho kanału. A wówczas nadejdzie śmierć. Utkwił oczy w czarnym otworze, z którego tak niedawno sam wyszedł. A potem...

- Spodziewałem się tego - powiedział na głos.

Powoli, chwiejnie, nienaturalnymi i nieludzkimi ruchami, wypełził z otworu ludzki kształt, purpurowy w blasku płomiennej łuny. Wlokąc złamaną nogę, z dolną szczęką zwisającą jak u trupa, Nie-człowiek dźwignął się i zrobił kilka niepewnych kroków w jego stronę. Ransom nie miał jednak czasu, by na to zareagować. Z czarnej dziury zaczęło wychodzić coś innego.

Najpierw wyłoniło się coś, co przypominało gałęzie drzewa, następnie siedem czy osiem świetlnych punktów, ugrupowanych nieregularnie, jak konstelacja gwiazd, a w końcu jakaś potworna, rurowata masa, odbijająca czerwone światło jak wypolerowany metal.

Serce skoczyło mu do gardła. Gałęzie rozwinęły się gwałtownie w kłębowisko długich macek, punkty świetlne rozbłyły wieloma oczami w przykrytej muszlą - jak hełmem - głowie. Rurowata masa okazała się wielkim, prawie cylindrycznym tułowiem. Dalej wyłaniały się kanciaste, wielocłonowe nogi, a kiedy sądził, że ma już przed sobą całe ciało poczwary, z otworu wyłonił się drugi tułów, a za nim trzeci. Potwór składał się z trzech części połączonych cienkimi przegubami, jak odwłok osy z resztą ciała. Wielocłonowa, drgająca masa wznosiła się teraz tuż za Nie-człowiekiem, tak że ich okropne, splątane cienie tańczyły na ścianie poza nimi jak jedno straszliwe zagrożenie.

„Chcą mnie nastraszyć”, odezwał się głos w mózgu Ransoma i w tym

samym momencie poczuł pewność, że to Nie-człowiek wezwał tego olbrzymiego, podziemnego robaka i że to on wsączył do jego mózgu złe myśli poprzedzające pojawienie się Przeciwnika. Świadomość, że jego myśli mogą być w ten sposób kierowane z zewnątrz, obudziła w nim nie grozę, lecz wściekłość. Uprzytomnił sobie - jakby obserwował kogoś innego - że wstaje, zbliża się do Nie-człowieka i krzyczy do niego po angielsku:

- Czy myślisz, że ci na *to* pozwolę?! Precz z mego mózgu! To nie twój mózg! Powtarzam ci: wynoś się!

Wyrzucił z siebie te słowa jak w transie i podniósł znad strumienia wielki, kanciasty kamień.

- Ransom! Zaczekaj! Obaj jesteśmy w pułapce... - zaskrzeczał Nie-człowiek. Ale Ransom był już przy nim.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... a więc... Amen! - zawołał i z całej siły cisnął kamieniem w twarz Nie-człowieka. Tamten upadł sztywno, jak przewrócony ołówek, z twarzą zmiażdżoną tak, że nie można już było rozpoznać rysów.

Ransom gotów już był stawić czoło drugiej okropności. Ale gdzie się podziała okropność? To nieznanne stworzenie, bez wątpienia dziwaczenie ukształtowane, nie budziło już żadnej odrazy ani lęku. Jak w ogóle można mieć coś przeciw jakiemuś zwierzęciu tylko dlatego, że ma więcej nóg i oczu niż my? Wszystko, co od samego dzieciństwa czuł do insektów i płazów, zamarło w nim tak raptownie i nieodwołalnie, jak zamiera obrzydliwa muzyka, gdy wyłączy się radio. Bez wątpienia były to od samego początku złe czary Przeciwnika. Kiedyś, w Cambridge, gdy siedział w pobliżu okna zajęty pisaniem, doznał wstrząsu, bo ujrzał, jak po białym papierze pełźnie wielobarwny robak o wyjątkowo wstrętnym kształcie. Ale zaraz odetchnął z ulgą: owad okazał się zeschniętym liściem poruszającym przez powiew wiatru. Nagle te same zakrzywienia i wklęsłości, które jeszcze przed chwilą stanowiły o brzydocie robaka, uczyniły pięknym zeschniętym liść.

W tej chwili doznał bardzo podobnego uczucia. Nie miał już najmniejszej wątpliwości, że stworzenie nie chce wyrządzić mu krzywdy, prawdę mówiąc, w ogóle nie ma żadnych zamiarów. Zostało tu przywleczone przez Nie-człowieka, a teraz stało spokojnie, niezobowiązująco poruszając czułkami. Widocznie nowe otoczenie nie przypadło mu do gustu, bo po chwili odwróciło się pracowicie wokół osi i zaczęło znikać w otworze, z którego niedawno wyszło. Ransom patrzył, jak ostatni człon chwieje się nad krawędzią otworu i unosi w górę podobny do

torpedy ogon.

„Zupełnie jak ożywiona kolejka podziemna”, pomyślał i omal nie wybuchnął śmiechem.

Spojrzał na Nie-człowieka. Z głowy niewiele zostało, ale wolał nie ryzykować. Chwycił go za nogi, rozciągnął na skraju ognistej przepaści i - po krótkim odpoczynku - zepchnął w dół. Przez sekundę zarysowało się czernią na tle złota, bieli i purpury, a potem znikło w morzu ognia.

Dopełził, a raczej dotoczył się do strumienia i pił długo. „Może to koniec, a może jeszcze nie - pomyślał - może jest wyjście z tych podziemi, a może go nie ma, ale dzisiaj nie zrobię już ani jednego kroku. Nawet gdyby miało mi to uratować życie. Nawet za cenę życia. Sprawa załatwiona. Chwała Bogu. Jestem zmęczony.”

W tej samej chwili zapadł w głęboki sen.

15

Resztę podziemnej wędrówki Ransom odbył jakby w malignie, półprzytomny z wyczerpania i głodu. Pamięta, że gdy obudził się po długim śnie w rozjarzonej blaskiem ognia jaskini, przez wiele godzin leżał jeszcze nieruchomo nad ciepłym strumieniem, prowadząc dialog sam ze sobą, czy warto iść dalej. Sam moment decyzji uleciał mu z pamięci, a następne obrazy odcisnęły się w niej bardzo chaotycznie.

Najpierw była długa galeria, otwarta z jednej strony na płomienistą czeluść i jakieś przerażające miejsce, z którego wydobywały się obłoki pary. Niewątpliwie jeden z podziemnych potoków znajdował tam ujście w otchłani ognia. Dalej były mniej oświetlone komory pełne nieznanymi minerałami, które lśniły i grały blaskami mamiąc jego oczy, jakby zwiedzał ciemną, pełną luster salę przyświecając sobie latarką. Wydawało mu się także - chociaż mógł to być wytwór wyobraźni - że przeszedł przez przestronną, katedralną nawę, przywodzącą na myśl bardziej dzieło sztuki niż przyrody, z dwoma wielkimi tronami w jednym końcu i stallami po obu stronach, zbyt dużymi jak dla istot ludzkich. Jeśli ten obraz był realny, Ransom nigdy nie znalazł jego wytłumaczenia.

Był też ciemny tunel, w którym dął wiatr - nie wiadomo skąd - i miotał mu piasek w twarz. Było miejsce, przez które szedł w ciemności, patrząc w dół - przez gmatwaninę szybów, naturalnych łuków i poskręcanych lejów - na gładką posadzkę zalaną chłodnym, zielonym światłem. I kiedy tak stał i patrzył, wydało mu się, że w pole widzenia wpełzły wielkie, podobne do ziemskich żuków stwory, pomniejszone przez odległość do rozmiarów komarów.

Posuwały się parami ciągnąc platformę, a na niej stała wyprostowana i nieruchoma, wysmukła postać spowita płaszczem. Dziwny zaprzęg przesunął się powoli przez tę naturalną scenę i zniknął mu z oczu, pozostawiając w pamięci wspomnienie jakiegoś trudnego do zniesienia majestatu. Wnętrze tej planety nie było przeznaczone dla człowieka, ale z całą pewnością oddane zostało komuś we władanie.

Pomyślał, że zapewne jest jakiś sposób - należy go tylko znaleźć - odnowienia starych, pogańskich praktyk, mających na celu zjednanie sobie miejscowych bóstw nieznanymi krainami w taki sposób, by nie było to obrażą samego Boga, lecz tylko formą rozsądnych i uprzejmych przepras za wtargnięcie do ich królestwa. Ta okryta płaszczem postać na dziwnym rydwaniu była bez wątpienia istotą podobną człowiekowi, co nie oznacza wcale, by byli sobie równi lub by mieli równe prawa w podziemnej krainie.

W długi czas później usłyszał bębnienie - *bum-bum-ba-ba-bum* z nieprzeniknionych ciemności - najpierw odległe, później otaczające go ze wszystkich stron, a w końcu zamierające w oddali po kaskadzie echa przetaczającej się długo ciemnym labiryntem. Potem ujrzał kolumnę zimnego, pulsującego światła. Choć szedł ku niej przez wiele godzin, nigdy nie udało mu się do niej zbliżyć, aż w końcu nagle znikła i nigdy już się nie dowiedział, co to było.

Wreszcie, po tylu dziwacznych zachwytach i trudach, że trudno mi je tutaj opisać, nadszedł moment, w którym nagle, bez żadnego ostrzeżenia, pośliznął się na glinie i z dreszczem przerażenia, wyciągnąwszy instynktownie ręce, aby się czegoś złapać, walczył już rozpaczliwie z bystrym nurtem głębokiej wody. Zdążył tylko pomyśleć, że jeśli nawet uniknie roztrzaskania o kamienne ściany kanału, to wkrótce wpadnie z potokiem do ognistej otchłani. Kanał musiał być bardzo prosty, a prąd mniej gwałtowny, niż przypuszczał, bo ani razu nie otarł się o brzegi, choć długo pędził z nurtem przez rozbrzmiewające echem ciemności, poddawszy się swemu losowi.

Nietrudno zrozumieć, że oczekiwanie śmierci, wyczerpanie i ogłuszający ryk wody osłabiły jego zdolność postrzegania i myślenia. Sięgając później pamięcią do tych chwil, wyłuskiwał z niej zmiany barwy: najpierw przejście z czerni w szarość, potem z szarości w niepojęty chaos półprzejrzystego błękitu, zieleni i bieli. W górze migotały zarysy łuków i kolumn świecących przyćmionym blaskiem, wszystko to było jednak bardzo niewyraźne i krótkotrwałe. Przez chwilę miał wrażenie, że płynie przez jaskinię z lodu, ale szybko zreflektował się, że jest na to za ciepło. Sklepienie marszczyło się i falowało jak powierzchnia wody - musiała to być gra refleksów światła. A w chwilę później prąd wyniósł go w krainę słońca, powietrza i ciepła. Pochwycony przez wir, przeokoziłkował kilka razy i wylądował na płyciźnie wielkiego zalewu, oślepiony i bez tchu.

Był zbyt słaby, by się poruszyć. Coś w powietrzu, a także niezmierna cisza tworząca tło dla pojedynczych krzyków ptactwa powiedziały mu, że

znajduje się na szczycie wysokiej góry. Wytoczył się z wody na wonny, błękitny mech. Spojrzawszy tam, skąd przybył, ujrzał rzekę wylewającą się ze skalnej gardzieli, naprawdę przypominającej lodową pieczarę. Pod nią woda była widmowo niebieska, lecz tu, w spokojnym rozlewisku, nabrała ciepłej, bursztynowej barwy. Przesycone lekką mgiełką powietrze pachniało świeżością, a wokół perliła się rosa. Tuż obok wyrastała skalna ściana spowita barwną roślinnością, zaś tam, gdzie prześwitywała naga powierzchnia - lśniła jak szkło. Lecz to wszystko niewiele go obchodziło, skoro pod drobnymi, ostro zakończonymi liśćmi dostrzegł kiście podobnych do winogron owoców. Mógł po nie sięgnąć nie podnosząc się z mchu. Przejścia od jedzenia do snu nie zapamiętał w ogóle.

Od tego punktu coraz trudniej odtworzyć przeżycia Ransoma w określonym porządku. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nad rzeką u ujścia z podziemi, jedząc, śpiąc i budząc się jedynie po to, by znowu jeść i spać. Mówił, że mogło to trwać przez dzień lub dwa, ale jego niezły stan fizyczny po zakończeniu rekonwalescencji wskazywałby raczej, że minęły ze dwa lub trzy tygodnie. Był to czas, który miał odtąd powracać tylko w snach, jak okres niemowlęstwa. Bo, prawdę mówiąc, przeżył wówczas swoje drugie niemowlęstwo, gdy jego karmicielką była sama planeta Wenus.

Z długiego, świątecznego odpoczynku utrwaliły mu się w pamięci trzy wrażenia. Jednym był nieustający szmer rozradowanej wody. Drugim - rozkoszne życie, jakie wysysał z kiści gron chylących się ku jego wyciągniętej dłoni. I wreszcie pieśń - raz bujająca wysoko nad głową, innym razem wytryskająca z odległych dolin i wąwozów - która płynęła przez jego sny i była pierwszym dźwiękiem, jaki słyszał po przebudzeniu. Była bezkształtna jak pieśń ptaka, lecz nie wyśpiewywał jej ptasi głos. Jeśli ptasi trel porównać z dźwiękiem fletu, to ten głos można by porównać do wiolonczeli: w obu wypadkach różnica jest podobna. Był to głos głęboki, dojrzały i czuły, głos pełny jak brzemienny wiatrem żagiel, głos bogaty i złotobrazowy, głos wezbrany namiętnościami - tak, ale nie były to na pewno namiętności ludzkie.

Ponieważ Ransom wynurzał się ze stanu półświadomej bierności i snu stopniowo, jego wrażenia z miejsca, w którym leżał, są trudne do odtworzenia w takim porządku i natężeniu, w jakim ich doznawał. Mogę tylko opisać, co zobaczył, gdy już odzyskał zdrowie i jasność myśli.

Podziemna rzeka wypływała z gardzieli w wysokim, prostopadłym skalnym masywie, zbudowanym nie z lodu, lecz z jakiegoś przepuszczającego światło minerału. Jego drobne odłamki były

przezroczyste jak szkło, ale skała oglądana z bliska robiła się mętna już na głębokości około piętnastu centymetrów. Jeśli się weszło do jaskini, brodząc pod prąd brzegiem rzeki, i spojrzano wstecz, krawędzie łuku tworzącego wylot były przezroczyste, a całe wnętrze tonęło w niebieskawym świetle. Jak to wyglądało na szczycie urwiska, Ransom nigdy nie zdołał zbadać.

Przed urwiskiem rozpościerała się płaska, porośnięta błękitnym mchem łąka, która po mniej więcej trzydziestu krokach zaczynała dość stromo opadać. Rzeka spływała tam wartko, tworząc serię porohów i kaskad wśród bujnych kwiatów, drżących nieustannie pod tchnieniem łagodnego wiatru. Zbocze ciągnęło się dość daleko i kończyło krętą, zalesioną doliną, która skręcała w prawo i nikła z oczu za majestatycznym wzniesieniem. A dalej - tak nisko i daleko, że wydawało się to ułudą - majaczyły szczyty gór, a poza nimi ledwo widoczne kotliny i jary rozplywające się w złotych mgłach. Po przeciwnej stronie doliny piętrzył się łańcuch niebieskich, pofałdowanych grzbietów niemal himalajskiej wysokości, ukoronowanych czerwonymi turniami. Nie była to przydymiona czerwień nadmorskich klifów Devonu, lecz czysta różowoczerwona barwa przywodząca na myśl świeżo położoną farbę. Ransoma zdumiewała czystość tej barwy, a także niezwykła ostrość skalnych iglic, szybko jednak przypomniał sobie, że przebywa w bardzo młodym świecie: z geologicznego punktu widzenia te góry przeżywały okres dzieciństwa. Ponadto mogły leżeć o wiele dalej, niż mu się wydawało.

Z tyłu przesłaniały widok kryształowe urwiska, po prawej stronie kończące się rychło, a dalej wyrastał inny szczyt, o wiele niższy od tych, które widniały na wprost, za doliną. Fantastyczna stromość wszystkich zboczy potwierdzała domysł, że znajduje się w bardzo młodych górach.

Jeśli nie liczyć błakającej się pod niebem i w dolinach pieśni, było tu bardzo cicho. Od czasu do czasu pojawiały się samotne ptaki, zwykle jednak o wiele niżej. Na zboczach po prawej stronie i - nieco mniej wyraźnie - na stromiźnie wielkiego masywu na wprost coś ustawicznie migotało i falowało, lecz Ransom nie potrafił znaleźć przyczyny tego zjawiska. Przypominało to spływającą po stoku wodę, ale gdyby rzeczywiście płynęły tam potoki, to biorąc pod uwagę oddalenie masywu, musiałyby mieć ze dwie lub trzy mile szerokości - więc uznał to za nieprawdopodobne.

Starając się zebrać spostrzeżenia Ransoma w jeden obraz, pominąłem coś, co w rzeczywistości bardzo mu utrudniało wizję całości. Krajobraz

spowijały co pewien czas welony szafranowej lub bladozłotej mgły, jakby złociste sklepienie nieba, które zdawało się wisieć zaledwie o kilka stóp nad szczytami gór, otwierało się, by wylać na świat swoje bogactwa.

Dzień po dniu poznając coraz lepiej swoje otoczenie, Ransom poznawał również stopniowo stan własnego ciała. Przez długi czas było tak zeszywniałe i odrętwiałe, że nie mógł sobie pozwolić na żaden ruch, a nawet nieostrożny oddech wywoływał grymas bólu. Zdrowie powracało jednak zadziwiająco szybko.

Najpoważniejszą ranę odkrył dopiero wtedy, gdy czuł się już naprawdę dobrze. Była to rana w pięcie. Jej kształt wskazywał wyraźnie, że musiała być zadana ludzkimi zębami - mocnymi, tępyimi zębami właściwymi naszemu gatunkowi, które bardziej miażdżą i szarpią, niż przecinają. Co dziwniejsze, w ogóle nie pamiętał takiego ugryzienia w żadnym z licznych starć z Nie-człowiekiem. Rana nie wyglądała groźnie, ale wciąż krwawiła. Choć nie był to silny krwotok, nie mógł go zatamować. Nie przejmował się tym specjalnie: w owym czasie ani przeszłość, ani przyszłość nie bardzo go interesowały. Zarówno lęk, jak i pragnienie czegokolwiek należały wówczas do tych stanów świadomości, do których nie był zdolny.

W końcu nadszedł dzień, w którym odczuł potrzebę jakiejś aktywności, choć nie był jeszcze gotów do porzucenia swego legowiska między rozlewiskiem rzeki a skalną ścianą - legowiska, które stało mu się domem. Zajął się więc czymś, co może się wydawać śmieszne i niedorzeczne, ale co wówczas uważał za swoją powinność. Stwierdził, że substancja owej przezroczystej skały nie jest zbyt twarda. Znalazł ostry kamień innego rodzaju i oczyścił kawał ściany z roślinności. Wymierzył rozmieszczenie liter i przez kilka godzin mozolnie wycinał je w skałę.

Napis ułożył w starym języku solarnym, ale oczywiście posłużył się alfabetem łacińskim:

W tych jaskiniach zostało spalone
ciało
Edwarda Rollesa Westona
uczonego hnau ze świata
zwanego przez jego mieszkańców
Ziemią
a przez eldile
Tulkandrą.
Urodził się, gdy Ziemia dokonała

tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt obrotów
wokół Arbola
od kiedy
MALELDIL
- niech będzie błogosławiony -
narodził się jako hnau na Tulkandrze.
Ten Weston badał właściwości ciał
i jako pierwszy z Ziemian
odbywał podróże przez Głębiny Niebios
na Malakandrę i na Perelandrę
gdzie swoją wolę i rozum
oddał Skrzywionemu Eldilowi
kiedy Ziemia dokonała
tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego obrotu
wokół Arbola
od narodzin Maleldila
- któremu chwała na wieki -

- Czyste wariactwo - mruknął z zadowoleniem, układając się na miękkim mchu. - Nikt tego nigdy nie przeczyta. Ale należało to jakoś uwiecznić. Mimo wszystko był wielkim fizykiem. A w każdym razie trochę się rozruszałem.

Ziewnął potężnie i zapadł w dwunastogodzinny sen.

Nazajutrz poczuł się na tyle dobrze, że pospacerował trochę po łące, choć nie odważył się jeszcze zejść po zboczu. Następnego dnia przyniósł dalszą poprawę; trzeciego czuł się już zupełnie zdrow i gotów do dalszych przygód.

Wyruszył wczesnym rankiem, trzymając się brzegu rzeki. Zbocze okazało się bardzo strome, ale nie skaliste, a błękitny mech tak miękki i sprężysty, że schodząc w dół nie czuł wcale zmęczenia w kolanach. Mniej więcej po pół godzinie, gdy przeciwległy szczyt przesłonił już całkowicie widok, a pozostawione z tyłu kryształowe urwiska lśniły w oddali jak bladoniebieska poświata, doszedł do strefy odmiennej roślinności. Rozpoczął się tu las karłowatych drzewek sięgających mu zaledwie do pasa. Ze szczytu każdej gałęzi wyrastały wiotkie wstęgi, falujące na wietrze równoległe do zbocza jak długie proporce. Brodził wśród roślin niby po falującym nieustannie morzu, rozciągającym się teraz aż po horyzont. Błękit tego morza był jaśniejszy od błękitu mchu; intensywny w środku

każdej wstęgi, przechodził w niebieską szarość ku pierzastym krawędziom, co w sumie dawało efekt przypominający nisko ścielące się dymy lub wieczorne mgły w naszym świecie. Subtelna, prawie niewyczuwalna pieśń tych wstęg na jego nagiej skórze, ich cichy, śpiewny szum i wesoły ruch towarzyszący każdemu jego krokowi sprawiły, że serce zaczęło mu bić rytmem tej samej, prawie beztrudnej radości życia, jaką odczuwał już na Perelandrze przed spotkaniem Przeciwnika. Teraz wiedział, że te właśnie karłowate lasy - „falujące drzewa”, jak je nazwał - były wyjaśnieniem owego zjawiska migotania czy falowania wody, widzianego z góry na dalekich stokach.

Kiedy poczuł zmęczenie i usiadł, znalazł się w zupełnie innym świecie. Zwiewne wstęgi falowały teraz nad jego głową. Był jakby w lesie stworzonym dla karzełek, w lesie przykrytym błękitnym, przejrzystym baldachimem, pośród żywej mozaiki światła i cieni. A po chwili, gdy już nasycił oczy ich nieustającym tańcem na niebieskim mchu, spostrzegł, że ten las został naprawdę stworzony dla karzełek. W gęstwinie mchu, szczególnie tu bogatego i pięknego, wędrowały tu i tam małe stworzonka. W pierwszej chwili wziął je za owady, ale gdy przyjrzał się bliżej, okazały się maleńkimi ssakami. Było tam wiele górskich myszy rozmiarów trzmieli - miniaturowe modele tych, które już spotkał na Stałym Łądzie. Były prawdziwe cuda natury: małe, wdzięczne stworzenia podobne do koników, a jeszcze bardziej do ziemskich przodków konia.

„Jak tu iść dalej, żeby nie zdeptać tysięcy tych cudownych stworzeń”, zafrasował się Ransom, lecz po chwili spostrzegł, że w rzeczywistości nie były tak liczne, jak się wydawało. Główne stado wkrótce się oddaliło, a kiedy wstał, w polu widzenia było zaledwie kilka miniaturowych koników.

Blisko godzinę brodził wśród falujących wstęg, mając wrażenie, że zażywa kąpieli w łagodnych morskich falach. Potem doszedł do wysokiego lasu, a niebawem drogę zagroziło mu skaliste łóżko rzeki, płynącej w prawą stronę. Musiał już dotrzeć do owej krętej, lesistej doliny, którą widział z góry. Na drugim brzegu rozpoczynało się zbocze wiodące ku wielkiemu masywowi góry. Tu, w uroczystej nawie wysokopiennego lasu, gęstniał bursztynowy cień, strumyczki spływały ze skał i coraz mocniej rozbrzmiewała dziwna pieśń, słyszana już na szczycie. Teraz była tak głośna i melodyjna, że Ransom zбочzył w prawo i poszedł z biegiem strumienia, by odnaleźć jej źródło. Bardzo szybko opuścił majestatyczne nawy i przestronne polany i musiał się przedzierać przez gęszcza wysokich, kwitnących krzewów. Wkrótce głowę miał obsypaną barwnymi

płatkami, a boki pokryte pyłkiem. Pozbawione kolców gałązki wydzielaly żywiczną substancję; każdy krok dobywał z gleby i roślinności nowe, cudowne wonie, od których kręciło mu się w głowie. Pieśń rozbrzmiewała coraz silniej, lecz nagle, gdy zarośla stały się tak gęste, że nie widział nic na odległość jarda, umilkła. Usłyszał trzask łamanych gałązek i ruszył w tym kierunku, ale nic nie zobaczył. Był już bliski poniechania dalszych poszukiwań, gdy pieśń zabrzmiała znowu, tym razem nieco dalej. Pospieszył w tym kierunku i ponownie tajemnicza istota przestała śpiewać i ukryła się przed nim. Zabawa w chowanego trwała blisko godzinę, lecz w końcu jego upór został nagrodzony.

Skradając się powoli w czasie najgłośniejszego wybuchu melodii, dostrzegł poprzez obsypane kwiatami gałęzie coś czarnego. Zatrzymując się, gdy pieśń milkła, i posuwając z największą ostrożnością dalej, gdy rozbrzmiewała ponownie, podchodził coraz bliżej. Po dziesięciu minutach ujrzał wreszcie wyraźnie wielkie, czarne stworzenie, które śpiewało, nie wiedząc, że jest obserwowane. Czarne, gładkie i lśniące, siedziało wyprostowane jak pies. Jego barki sięgały o wiele wyżej niż głowa człowieka, przednie nogi wpierały się mocno w ziemię, jak młode drzewka, a szerokie, miękkie łapy przypominały racice wielbłąda. Potężny, zaokrąglony brzuch lśnił bielą, a z ramion wyrastała długa, końska szyja. Głowa zwrócona była profilem. Z szeroko otwartych ust płynęła kaskada treli - pieśń tak nabrzmiała radością i tak mocna, że niemal widoczna w lśniącym gardle. Ransom wpatrywał się jak urzeczony w ogromne, wilgotne oczy i drgające, czułe nozdrza. Nagle stworzenie umilkło, dostrzegło go i odskoczyło o parę kroków, a następnie zamarło bez ruchu na czterech łapach, niewiele mniejsze od młodego słonia, kołysząc długim, puszystym ogonem. Było pierwszą istotą na Perelandrze, która okazała pewien lęk przed człowiekiem.

A jednak nie był to lęk. Na głos Ransoma zwierzę podeszło, ostrożnie zbliżyło aksamitny nos do jego dłoni i pozwoliło się dotknąć. Natychmiast jednak odskoczyło i, wyginając długą szyję, ukryło głowę w przednich łapach.

Ransomowi nie udało się z nim porozumieć i kiedy w końcu zniknęło w zaroślach, zrezygnował z dalszych prób. Nie chciał dokonywać żadnego gwałtu na jego sarniej płochliwości, na jego ustępliwej delikatności i wyraźnej chęci pozostania na zawsze jedynie dźwiękiem w najgęstszych zakątkach bezludnych lasów.

Powrócił na swój szlak, a po kilku minutach pieśń rozbrzmiała jeszcze

potężniej i jeszcze piękniej niż dotąd, jakby w radosnym peanie na cześć odzyskanej samotności.

Zabrał się teraz poważnie do zdobywania wielkiej góry. Po kilkunastu minutach wyszedł z lasu na jej niższe zbocza. Były tak strome, że blisko pół godziny wspinał się przy użyciu nie tylko nóg, ale i rąk, dziwiąc się jednocześnie, że prawie nie odczuwa zmęczenia. Potem znowu wszedł w strefę falujących drzew. Tym razem wiatr wiał z dołu, unosząc wiotkie wstęgi w taki sposób, że wydawały się tworzyć zdumiewający, bo płynący pod górę, wodospad, pieniący się i falujący w kierunku szczytów. Za każdym razem, gdy wiatr na chwilę zamierał, błękitne wstęgi zwijały się i opadały pod wpływem siły ciężenia, jak grzywy fal załamujące się pod uderzeniami mocnego, przeciwnego wiatru.

Szedł długo, odpoczywając co pewien czas, choć właściwie nie musiał tego robić. Znajdował się już tak wysoko, że spoglądając za siebie, przez dolinę, widział na tym samym co on poziomie kryształowe urwisko, spod którego wyruszył w drogę. Teraz zobaczył, że dalej, za białym klifem, piętrzy się łańcuch podobnych stromizn, zakończony czymś w rodzaju szklanej góry stołowej. Pod obnażonym słońcem naszej planety nie mógłby nań patrzeć - tutaj, pod matowym falowaniem, jakie perelandryjskie niebo zapożycza od oceanu, szklisty płaskowyż oślepił drżącym, zmieniającym się co chwila blaskiem. Na lewo widniały pojedyncze iglice zielonych skał.

Wspinał się dalej. Zielone szczyty i białoniebieski płaskowyż stopniowo opadały i malały, a za nimi pojawił się cudowny plaster mgły mieniący się barwami ametystu, szmaragdu i złota. W miarę wspinaczki wznosiła się również krawędź tego plastra, aby wreszcie utworzyć widnokrąg morza zawieszony nad szczytami gór. A podczas gdy góry malały, morze rosło z każdym krokiem. Jego widnokrąg podnosił się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu wszystkie niższe góry zdawały się spoczywać na dnie wielkiej, barwnej misy morza. Tak było poza nim, natomiast przed nim wyrastało pod niebo bezkresne zbocze, raz błękitne, raz fioletowe, raz migocące plamami falujących drzew, podobnymi do pełznącego w górę dymu.

Oglądając się wstecz nie widział już lesistej doliny, gdzie spotkał śpiewające zwierzę, a góra, z której wyruszył, wyglądała jak nieznaczną wypukłość na stoku wielkiego masywu. W powietrzu nie było ptaków; pod baldachimem błękitnych wstęg nie wędrowały już żadne miniaturowe stworzenia. Pięta przez cały czas nieznacznie mu krwawiła. Nie odczuwał lęku, nie dokuczała mu samotność. Nie miał żadnych pragnień, nie myślał nawet o osiągnięciu szczytu ani o tym, po co tam idzie. Ta nie kończąca się

wspinaczka przestała być czynnością - była teraz stanem, w którym żył i w którym czuł się szczęśliwy. W pewnej chwili pomyślał nawet, że już umarł i dlatego nie czuje zmęczenia, bo już nie ma ciała. Rana w pięcie skłaniała do wniosku, że tak nie jest, ale gdyby nawet nie żył i gdyby te góry należały do pozagrobowego świata, jego wędrówka nie mogłaby być wspanialsza i dziwniejsza.

Noc spędził na zboczu, leżąc wśród delikatnych pni falujących drzewek, pod słodko pachnącym, chroniącym od wiatru, cicho szepczącym baldachimem. Rano ruszył w dalszą drogę. Z początku wędrował w gęstej mgłę, a gdy się rozstała, był już tak wysoko, że horyzont morza otaczał go ze wszystkich stron, prócz jednej, gdzie piętrzyły się - już niedalekie - różowoczerwone iglice. Poprzez przełęcz między dwiema najbliższymi uchwycił spojrzeniem rąbek czegoś nieokreślonego, łagodnego i zarazem wzbudzającego wzruszenie. Opanowała go dziwna mieszanina uczuć: z jednej strony pewność, że musi wejść do tego tajemniczego miejsca strzeżonego przez skalne iglice, z drugiej strony - równie silne poczucie lęku przed pogwałceniem czyjegoś prawa. Nie śmiał zawrócić z drogi i nie śmiał przekroczyć przełęcz. Rozglądał się za aniołem z mieczem ognistym, lecz wiedział, iż Maleldil nakazuje mu tam wejść. „Będzie to najświętszy i zarazem najbardziej bezbożny czyn w moim życiu”, pomyślał, ale szedł dalej i wkrótce dotarł do przełęcz.

Szczyty po obu jej stronach nie były zbudowane z czerwonej skały. Zapewne miały skalny rdzeń - na to wskazywały ich kształty, przywodzące na myśl alpejski Matternhorn - ale spowijał je płaszcz z kwiatów podobnych do lilii, lecz koloru róż. Niebawem takie same kwiaty pokryły kobiercem drogę, po której szedł. Miażdżył je bosymi stopami; nareszcie nie zostawiał krwawych śladów.

Z siodła między dwiema iglicami spojrzął nieco w dół, bo wierzchołek tej dziwnej góry tworzył płytką nieckę. Zobaczył dolinę o powierzchni kilku akrów, tak tajemniczą jak dolina na szczycie jakiejś chmury: purpurową dolinę otoczoną dziesięcioma lub dwunastoma lśniącymi iglicami. W środku widniał staw, którego czysta, gładka tafla odbijała złoto nieba. Lilie spływały aż do samej krawędzi stawu, wytyczając wszystkie jego zatoczki i przylądki.

Poddając się bez oporu ogarniającemu go poczuciu grozy, szedł powoli przed siebie z pochyloną głową. Tuż nad wodą zobaczył coś białego. Ołtarz? Plama białych kwiatów pośród szkarłatnych? Grobowiec? Ale czyj? Nie, to nie był grobowiec, lecz trumna - otwarta i pusta. Wieko leżało tuż

obok.

Wreszcie zrozumiał. Trumna była bliźniaczą kopią kosmicznego pojazdu, w którym moce anielskie przyniosły go z Ziemi na Wenus. „Czeka, przygotowana na mój powrót.” Gdyby pomyślał „na mój pogrzeb”, jego uczucia nie różniłyby się wiele. A gdy o tym myślał, uświadamiał sobie stopniowo, że w dwu miejscach tuż obok niego kwiaty są jakieś dziwne. Po chwili dostrzegł, że ta dziwność polega na osobliwej różnicy w świetle, a zaraz potem, że dotyczy nie tylko kwiatów, lecz i powietrza nad nimi. Po kilku sekundach krew zaczęła w nim krążyć szybciej i przeniknęło go znajome, choć wciąż dziwne poczucie pomniejszania i zanikania. Wiedział już, że stoi w obliczu dwóch eldilów.

Stał nieruchomo, bez słowa. Nie do niego należało przerwanie milczenia.

16

Rozległ się czysty głos, przypominający melodię dalekich dzwonków, głos całkowicie bezcielesny, który sprawił, że Ransom poczuł mrowienie w całym ciele.

- Postawili już stopy na piasku i zaczynają się wspinać.

- Ten mały z Tulkandry już tu jest - powiedział drugi głos.

- Popatrz na niego, umiłowany, i pokochaj go - rzekł pierwszy. - Zaprawdę, jest tylko oddychającym pyłkiem i nieostrożne dotknięcie mogłoby obrócić go wniwecz. A jego najlepsze myśli zmieszane są z takimi, że gdyby nam się to zdarzyło, zagasłoby nasze światło. Ale jest w ciele Maleldila, a jego grzechy są już odkupione. W swoim języku nazywa się Elwin, czyli przedstawiciel eldilów.

- Jak wielka jest twoja wiedza! - odezwał się drugi głos.

- Byłem tam, w dole, w powietrzu Tulkandry - odrzekł pierwszy - którą ci malcy nazywają Ziemią. Gęste powietrze, tak pełne Ciemnych, jak Głębiny Niebios pełne są Świetlistych. Słyszałem tych więźniów, jak rozmawiają ze sobą w różnych językach. Elwin powiedział mi, jak to z nimi jest.

Ransom zrozumiał, że te słowa wypowiedział Ojarsa Malakandry, wielki archont Marsa. Nie rozpoznał głosu, bo głosy eldilów nie różnią się między sobą. Nie działają fizycznie na nasze bębny słuchowe, lecz tworzą efekt dźwięku wprost w naszej świadomości, a ich mowa nie ma oczywiście nic wspólnego z płucami czy wargami.

- Jeśli wolno, Ojarso - rzekł Ransom - powiedz mi, kim jest ten drugi?

- To jest właśnie Ojarsa - brzmiała odpowiedź - bo tutaj nie jest to moje imię. Jestem Ojarsą w mojej własnej sferze. Tutaj jestem po prostu Malakandrą.

- Ja jestem Perelandra - rzekł drugi głos.

- Nie rozumiem - powiedział Ransom. - Ta kobieta powiedziała mi, że w tym świecie nie ma eldilów.

- Do dziś nie widzieli mego oblicza. Mogli mnie oglądać tylko w wodzie, w sklepieniu nieba, w wyspach, jaskiniach i drzewach. Nie zostałem

ustanowiony, by nimi rządzić, lecz gdy byli młodzi, władałem wszystkim innym. To ja utoczyłem tę kulę, gdy po raz pierwszy oderwała się od Arbola. Ja oprząłem ją powietrzem i utkałem jej sklepienie. Ja zbudowałem Stały Łąd i tę świętą górę, tak jak mi nakazał Maleldil. Zwierzęta, które śpiewają, i te, które latają, i wszystko, co pływa po moim łonie, i to, co pełza i drąży w moim wnętrzu, aż do samego rdzenia - wszystko to należało do mnie aż do dzisiaj. Chwała Maleldilowi!

- Ten mały może cię nie zrozumieć - odezwał się Pan Malakandry. - Myśli, że czujesz się skrzywdzony.

- Przecież tego nie mówi, Malakandro.

- Nie mówi. To jeszcze jedna dziwna cecha dzieci Adama.

Na moment zapanowała cisza, a potem Malakandra zwrócił się do Ransoma:

- Zrozumiesz to lepiej, gdy w myślach porównasz to z pewnymi wydarzeniami w twoim świecie.

- Sądzę, że rozumiem - odrzekł Ransom. - Mówił nam o tym jeden z rzeczników Maleldila. Dzieje się podobnie, gdy dzieci wielkiego rodu osiągną pełnoletność. Wówczas ci, którzy zarządzali całym ich dziedzictwem, i których mogli nawet nigdy nie oglądać, przekazują wszystko w ich ręce i oddają im klucze.

- Dobrze to rozumiałeś - rzekł Perelandra. - Podobnie dzieje się również, gdy śpiewające zwierzę porzuca niemą matkę, która je wykarmiła swą piersią.

- Śpiewające zwierzę? - powtórzył Ransom. - Bardzo bym chciał dowiedzieć się o nim więcej.

- Te zwierzęta nie mają mleka. Ich potomstwo karmi samica innego gatunku. Jest duża i piękna, lecz niema. Dopóki śpiewające zwierzę karmi się jej mlekiem, przebywa wśród jej szczeniąt i jest jej posłuszne. Lecz gdy dorośnie, staje się najbardziej subtelne i wspaniałe ze wszystkich zwierząt i wówczas opuszcza ją, a ona zachwyca się jego śpiewem.

- Dlaczego Maleldil tak to uczynił?

- A dlaczego Maleldil stworzył mnie? Teraz wystarczy powiedzieć, że zwyczaje tych dwu gatunków zwierząt pomogą w osiągnięciu mądrości mojemu Królowi, mojej Królowej i ich dzieciom. Ale dość już o tym. Nadchodzi godzina.

- Jaka godzina? - zdziwił się Ransom.

- Nadszedł dzień świtu - odparł jeden lub drugi głos, a może oba razem. Ale do Ransoma dotarło coś więcej prócz samych dźwięków. Serce zaczęło

mu bić szybciej.

- Świtu... To znaczy... Czy wszystko się udało? Czy Królowa odnalazła Króla?

- Dzisiaj narodził się świat - rzekł Malakandra. - Dzisiaj po raz pierwszy dwa niższe stworzenia, dwie podobizny Maleldila, które oddychają i mnożą się jak zwierzęta, przestąpiły próg, na którym potknęli się i upadli twoi prarodzice, i zasiadły na tronie swojego prawdziwego przeznaczenia. Tego jeszcze nigdy nie było. Nie zdarzyło się to w twoim świecie i dlatego właśnie stało się tam coś o wiele większego - ale nie to. A ponieważ coś o wiele większego zdarzyło się na Tulkandrze, to właśnie - a nie coś większego - staje się tutaj.

- Twoje słowa przytłaczają Elwina - odezwał się drugi głos. - Myśli, że jego trud okazał się daremny.

- Nie upadaj na duchu! - rzekł Malakandra. - To nie twoje dzieło. Nie jesteś aż tak wielki, choć zapobiegłeś rzeczy tak wielkiej, że zadziwiłeś Głębiny Niebios. Raduj się, maleńki, swoją własną małością. Nie na tobie spoczywa brzemię zasługi. Nie lękaj się, by twoje ramiona miały dźwigać ten świat. On jest pod tobą i unosi cię.

- Czy oni tu przyjdą? - zapytał Ransom w jakiś czas później.

- Są już wysoko, na zboczu góry - odparł Perelandra. - Nadchodzi nasza godzina. Przygotujmy jakieś kształty, bo jeśli zostaniemy sobą, trudno im będzie nas zobaczyć.

- Mówisz bardzo słusznie - rzekł Malakandra. - W jakiej postaci ukážemy się, by powitać ich godnie?

- Ukážmy się najpierw temu małemu - odpowiedział drugi głos. - On jest człowiekiem i powie nam, co jest miłe dla ich zmysłów.

- Ja widzę... Widzę coś nawet teraz - odezwał się Ransom.

- Czy Król ma wyteżać swój wzrok, by dostrzec tych, którzy przychodzą złożyć mu pokłon? - zapytał archont Perelandry. - Spójrz i powiedz nam, jak to na ciebie działa.

Nagle znikło to nieuchwytnie światło, ta prawie niedostrzegalna różnica w polu widzenia, która sygnalizuje obecność eldila. Znikły też różowe iglice i gładka tafla jeziora. Wokół Ransoma rozpętało się tornado potworności: mknące kolumny ziejące setkami oczu, pulsacje ognia jaśniejące jak błyskawice, szpony i dzioby przecinające powietrze jak straszliwe klingi, kłębiaste masy czegoś, co przypominało śnieg, mknące szaleńczo, by po ułożeniu się w sześciany i ośmiościany rozpląnąć się w nieskończenie czarnej próżni.

- Dosyć! Dosyć! - zawołał Ransom i nagle wszystko znikło. Rozglądał się dookoła mrużąc oczy i widząc tylko pola szkarłatnych lili, spływające ku złotej tafli wody. „Te kształty nie odpowiadają ludzkim zmysłom”, dał do zrozumienia eldilom.

- A więc spójrz na to - powiedziały głosy.

Spojrzał, nie bez lęku. Daleko, między dwoma szczytami po drugiej stronie doliny pojawiły się ruchome kręgi. Nic więcej, tylko dwa koncentryczne kręgi obracające się powoli jeden wewnątrz drugiego. Nie było w nich nic przerażającego, jeśli już przyzwyczało się do ich uderzających rozmiarów, ale nie było też nic wymownego. Poprosił więc, by eldile podjęły trzecią próbę. I nagle po drugiej stronie jeziora ukazały się dwie ludzkie postacie.

Były wyższe od sornów, owych olbrzymów, których spotkał na Marsie: miały blisko dziesięć metrów wysokości. Jaśniały jak rozpalone do białości żelazo. Kontury ich ciał, rysujące się na tle czerwonego krajobrazu, zdawały się lekko i szybko falować, jakby stałość ich kształtów, podobnie jak w wypadku wodospadów i płomieni, współistniała z oszałamiającym ruchem materii, jaką zawierały. Przy samym brzegu, na pół cala od krawędzi, postacie były przejrzyste, dalej jaśniała stężona, oślepiająca biel.

Przez cały czas, gdy na nie patrzył, zdawały się pędzić ku niemu z zawrotną szybkością. Kiedy jednak przenosił wzrok na otoczenie, trwały nieruchomo. Po części przypisywał to wrażenie ich długim, lśniącem włosom, które unosiły się za nimi, jakby potężny wiatr dął im prosto w twarz. Ale jeśli to był wiatr, to nie polegał na ruchu powietrza, bo wokół nich nie drgnął ani jeden płatek lilii. Postacie nie stały całkiem pionowo w stosunku do dna doliny, ale Ransomowi (podobnie jak mnie, gdy raz na Ziemi spotkałem eldila) zdawało się, że eldile zawsze stoją pionowo. To raczej sama dolina - to cały świat Perelandry - położone były ukośnie względem nich. Przypomniał sobie słowa Ojarsy usłyszane kiedyś na Marsie: „Nie jestem *tutaj* w takim samym sensie, jak ty jesteś *tutaj*”. Przyszło mu do głowy, że te istoty naprawdę są w ruchu, chociaż nie jest to ruch w stosunku do niego. Ta planeta, która wydaje mu się światem nieruchomym, gdy na niej przebywa - jego światem - w rzeczywistości jest dla nich kulą mknącą przez niebiosy. W stosunku do ich własnego, niebiańskiego układu odniesienia eldile musiały mknąć naprzód, aby się utrzymać w tej górskiej dolince. Gdyby się zatrzymały, przemknęłyby obok niego zbyt szybko, by mógł je w ogóle dostrzec, unoszony podwójnym pędem: obrotu planety wokół osi i jej biegu wokół Słońca.

Ich ciała, jak mówił Ransom, były białe. Ale tuż nad ramionami tryskał z tej bieli strumień barw, okrywając szyje, igrając na twarzach i tworząc wokół ich głów jakby pióropusze lub aureole. W pewnym sensie zapamiętał te kolory - to znaczy był pewien, że rozpoznałby je, gdyby je znowu zobaczył - ale mimo wielu wysiłków nie był w stanie wyobrazić ich sobie wizualnie lub nadać im jakieś określenia. Nieliczne osoby, z którymi mogliśmy to przedyskutować, podzielały nasze wyjaśnienie tego fenomenu. Sądzimy, że kiedy stworzenia „nadcielesne” chcą się nam „pokazać”, w rzeczywistości wcale nie działają na siatkówki naszych oczu, lecz manipulują bezpośrednio odpowiednimi częściami naszych mózgów. Jeżeli tak jest w istocie, to bardzo możliwe, że mogą stwarzać w nas takie wrażenia, jakie *powinniśmy* mieć, gdyby nasze oczy były w stanie odebrać te kolory w widmie barw, które aktualnie pozostawały poza ich zasięgiem. „Pióropusze” czy aury obu eldilów bardzo się od siebie różniły. Ojarsa Malakandry jaśniał kolorami zimnymi, porannymi, nieco metalicznymi, czystymi, surowymi i ożywczymi. Ojarsa Wenus płonął ciepłym bogactwem barw, pełnym zapowiedzi bujnego, roślinnego życia.

Najbardziej zaskoczyły go twarze. Trudno sobie wyobrazić coś mniej podobnego do twarzy „aniołów” z popularnych dzieł sztuki. Brakowało im też zupełnie owego bogactwa różnorodności, owego śladu niedojrzałych jeszcze możliwości, jakie budzą zainteresowanie w twarzy ludzkiej. Na tych twarzach wyciśnięty był jeden, niezmienny wyraz - tak dobitny i jasny, że niemal ranił i oślepiał - ale prócz niego nie było w nich nic. W tym sensie twarze te były tak „prymitywne” i nienaturalne, jak twarze archaicznych posągów z Eginy. Ransom długo nie mógł się zdecydować, jak określić ów jeden wyraz twarzy. W końcu oświadczył, że było to miłosierdzie. Cokolwiek to znaczy, jednego był pewny: nie można go porównywać z wyrazem ludzkiego miłosierdzia, które zawsze widzimy jako zrodzone z naturalnego *uczucia* miłości lub przynajmniej zapowiadające narodziny miłości. W tych twarzach w ogóle nie było uczucia: ani śladu uczucia choćby i sprzed dziesięciu milionów lat, ani zarodka, z którego mogłoby się ono rozwinąć w najodleglejszej przyszłości. Z tych twarzy strzelała jak rozgałęziona błyskawica czysta, duchowa, intelektualna miłość, tak niepodobna do miłości, jakiej my doświadczamy, że można by ją poczytać za okrutną dzikość.

Ciała obu postaci były nagie, całkowicie pozbawione pierwszorzędnych lub drugorzędnych cech płciowych. Tego mógł się spodziewać. Skąd jednak pochodziła owa dziwna różnica między nimi? Ransom stwierdził, iż

nie jest w stanie wskazać na choćby jeden charakterystyczny szczegół, z którego ta różnica wynikała, a jednak nie sposób było jej nie zauważyć. Setki razy próbował wyrazić ją słowami. Mówił, na przykład, że Malakandra przywodził na myśl rytm, a Perelandra melodię. Mówił, że Malakandra działał nań jak stopa wierszowa iloczasowa, a Perelandra jak stopa akcentowana. Wydaje mu się, że pierwszy trzymał w ręku coś przypominającego włącznię, a drugi miał dłonie otwarte, zwrócone środkiem do niego. Nie jestem jednak pewien, czy wysiłki mojego przyjaciela naprawdę mi pomogły. W każdym razie wiem jedno: w tym momencie pojął prawdziwe znaczenie *rodzaju*.

Każdy z nas musi się czasem zastanawiać, dlaczego w prawie wszystkich językach pewne nieożywione obiekty są rodzaju męskiego, a inne żeńskiego. Co jest męskiego w jednych gatunkach drzew, a żeńskiego w innych? Ransom wyleczył mnie z przekonania, iż jest to zjawisko czysto morfologiczne, zależne wyłącznie od formy słowa. Rodzaj gramatyczny nie jest też jakimś wyimaginowanym rozszerzeniem pojęcia płci. Nasi przodkowie nie dlatego nadali dębowi rodzaj męski, że rzutowali nań jakieś cechy męskie. W rzeczywistości proces przebiegał odwrotnie. Rodzaj jest rzeczywistością bardziej fundamentalną niż płeć. Płeć jest w istocie rzeczy tylko zastosowaniem do życia organicznego owej fundamentalnej biegunowości, która dzieli wszystkie stworzone byty. Płeć żeńska jest tylko jedną z cech należących do rodzaju żeńskiego, a jest wiele innych; rodzaj męski i żeński spotykamy na takich płaszczyznach rzeczywistości, w których cechy samcze i samicze byłyby po prostu bezsensowne. Rodzaj męski nie jest czymś w rodzaju rozcieńczonej męskości, a rodzaj żeński czymś w rodzaju rozcieńczonej żeńskości. Przeciwnie, męskość i żeńskość stworzeń ożywionych raczej słabo i niezbyt wyraźnie odzwierciedla oba rodzaje w sensie gramatycznym. Ich funkcje rozrodcze, różnice w sile i rozmiarach częściowo ujawniają, ale częściowo również zacierają prawdziwą biegunowość.

Wszystko to Ransom zobaczył na własne oczy. Te dwie białe istoty nie miały płci. A jednak Malakandra był na pewno rodzaju męskiego (nie: płci męskiej), a Perelandra była rodzaju żeńskiego (nie: płci żeńskiej). Malakandra wydał mu się kimś w rodzaju wojownika pełniącego nieustającą straż na wałach jego własnego archaicznego świata, wiecznie przeszukującego spojrzeniem horyzont od strony Ziemi, skąd przed wiekami nadeszło zagrożenie. „Spojrzenie żeglarza”, powiedział kiedyś do mnie Ransom. „Wiesz... oczy przesycone dalą”.

Natomiast oczy Perelandry były raczej zwrócone ku wnętrzu, jakby stanowiły zasłonięte kurtyną wrota do świata morskich fal, szumów i powiewów, do świata życia kołysanego przez wiatry, pluszczącego na omszałych kamieniach, opadającego rosą i ulatującego ku słońcu w zwiewnych smugach mgieł. Na Marsie nawet lasy są z kamienia, na Wenus nawet lądy pływają.

Odtąd nie nazywał ich już w myślach Malakandra i Perelandra, lecz ich ziemskimi imionami. W głębokim zdumieniu myślał: „Moje oczy oglądały Marsa i Wenus. Widziałem Aresa i Afrodytę”.

Pytał ich, w jaki sposób dali się poznać starożytnym poetom Ziemi. Kto i kiedy nauczył dzieci Adama, że Ares to wojownik, a Afrodyta powstała z morskiej piany? Przecież Ziemia była oblężonym, zajęтым przez nieprzyjaciela terytorium jeszcze w czasach poprzedzających historię. Bogowie nie mieli tam dostępu. W jaki sposób ludzie dowiedzieli się o eldilah innych planet?

W odpowiedzi usłyszał, że te wiadomości docierały na Ziemię bardzo okrężnymi drogami, przechodząc wiele etapów pośrednich. Jest sfera przestrzeni, ale jest również sfera myśli. Wszechświat jest jeden, można go porównać do misternej sieci pajęczej, gdzie każdy umysł wyczuwa każdą z nici, albo do przestronnej galerii wypełnionej szeptami, gdzie (z wyjątkiem bezpośredniego działania Maleldila) każda nowina podawana z ust do ust ulega zmianom, a jednak żadna tajemnica nie może być ściśle dochowana. W świadomości upadłego Archonta, pod którego jarzmem jęczy nasza planeta, wciąż żywa jest pamięć Głębin Niebios i bogów, z którymi kiedyś obcował jak równy z równymi. Ba! W samej materii naszego świata nie zanikły całkowicie ślady niebiańskiej wspólnoty. Pamięć przenika rodzące łono i unosi się w powietrzu. Muza istnieje naprawdę. Najśłabszy oddech, jak mówi Wergiliusz, sięga przeszłych pokoleń. Nasza mitologia opiera się na podstawach bardziej realnych, niż możemy marzyć, choć jest również prawdą, że od tych podstaw dzieli ją nieskończona odległość.

Kiedy Ransom to usłyszał, zrozumiał wreszcie, dlaczego mitologia jest tym, czym jest - promieniami niebiańskiej mocy i piękna, padającymi na dżunglę nieczystości i otępiącej głupoty. Rumienił się ze wstydu za rodzaj ludzki, gdy patrzył na prawdziwego Marsa i prawdziwą Wenus, przypominając sobie brednie opowiadane o nich na Ziemi. A potem ogarnęły go wątpliwości.

- Ale czy widzę was takimi, jakimi jesteście naprawdę? - zapytał.
- Tylko Maleldil widzi stworzenia takimi, jakimi naprawdę są - odrzekł

Mars.

- A jak wy widzicie siebie nawzajem?

- W twoim umyśle nie ma odpowiedniego miejsca na odpowiedź na to pytanie.

- Ale czy oglądam tylko zjawy? Czy to w ogóle nie jest realne?

- Oglądasz tylko zjawy, mały. Nigdy nie oglądasz niczego więcej, czy patrzysz na Arbola, czy na kamień, czy na swoje ciało. My jesteśmy równie realni jak tamte zjawiska.

- Ale... przecież najpierw widziałem was w innej postaci...

- Nie. Widziałeś tylko próby.

- Nie rozumiem. Czy tamte zjawiska... te kręgi i oczy... były bardziej czy mniej realne od tego, co teraz widzę?...

- Twoje pytanie nie ma sensu - odparł Mars. - Możesz zobaczyć kamień, jeśli jest w odpowiedniej odległości i jeśli porusza się z mniej więcej taką samą szybkością co ty. Ale jeśli ktoś rzuci kamieniem i trafi cię w oko, to co wtedy widzisz? I gdzie tu jest pytanie o większą czy mniejszą realność?

- Poczuję ból i zapewne zobaczę rozpryskujące się światło - powiedział Ransom. - Nie wiem jednak, czy nazwałbym to „wyglądem” kamienia.

- A jednak byłoby to bardzo realne działanie kamienia. Oto odpowiedź na twoje pytanie. Znajdujemy się teraz w odpowiedniej dla ciebie odległości.

- Czy poprzednio byliście bliżej?

- Tu nie chodzi o ten rodzaj odległości.

- Ale jest jeszcze, Ojarso, forma, w której chyba pojawiaasz się najchętniej: to bardzo nikle światło, jakie widziałem w twoim świecie.

- To była i jest forma wystarczająca, by porozumieć się z tobą. Nie trzeba więcej ani nam, ani tobie. Jeśli dziś ukazujemy się wyraźniej, to czynimy tak, by uhonorować Króla. Tamto światło jest przenikającym w świat twoich zmysłów echem tej postaci, w jakiej ukazujemy się sobie lub eldilom większym i potężniejszym.

W tym momencie do Ransoma dotarły wzmagające się zakłócenia ciszy, dochodzące zza niego - bezładne, ochryple i trajkoczące dźwięki wdzierały się między górską ciszę i kryształowe głosy bogów. Rozejrzał się wokoło. W nieopisanym bogactwie kształtów, barw i rozmiarów, baraszkując, podskakując, podfruwając, szybując, kołyszając się i pełzając, wlewał się w dolinę przez przełęcz między iglicami cały ogród zoologiczny. Zwierzęta i ptaki nadchodziły przeważnie parami, samiec obok samicy, łaszcząc się do siebie, podskakując, nurkując pod brzuchy

sąsiadów i wspinając się na ich grzbiety. Niebawem otoczyły Ransoma ze wszystkich stron płomieniste pióropusze, złociste dzioby, połyskujące skrzydła, wilgotne oczy, wielkie, czerwone czeluście skamlących lub beczących gardeł i gąszcz ruchliwych ogonów.

„Prawdziwa Arka Noego!”, pomyślał Ransom i zaraz potem nawiedziła go nieco poważniejsza refleksja: „Ale w tym świecie nie będzie potrzebna żadna arka”.

Ponad tę niespokojną ciszę wzbił się triumfalny głos czterech śpiewających zwierząt. Wielki eldil Perelandry zgromadził wszystkie stworzenia po tej stronie jeziora, pozostawiając drugą stronę wolną (nie licząc podobnego do trumny przedmiotu). Ransom nie był pewien, czy Wenus przemawia do zwierząt, a nawet czy w ogóle zdają sobie sprawę z jej obecności. Jej kontakt z nimi był chyba nieco bardziej subtelny, zupełnie różny od stosunków łączących Zieloną Panią z jej poddanymi.

Oba eldile znajdowały się teraz po tej samej stronie jeziora co Ransom. Człowiek, bogowie i zwierzęta - wszyscy patrzyli w jednym kierunku. Cała scena zaczęła się aranżować sama. Najpierw, na samej krawędzi stawu, stały eldile, między nimi - nieco w tyle - siedział wśród szkarłatnych lili Ransom. Za nimi, jak powiększone figurki psów stawianych na kominku, przysiadły na zadach cztery śpiewające zwierzęta, głosząc radość wszystkim uszom. A dalej usadowiły się wszystkie pozostałe zwierzęta. Nastrój stawał się coraz bardziej uroczysty, oczekiwanie coraz intensywniejsze. W typowo ludzki, niezbyt mądry, sposób Ransom zadał pytanie, po to tylko, aby zakłócić tę atmosferę:

- W jaki sposób Król i Królowa zdołają tu się wspiąć, a potem ponownie zejść na brzeg i opuścić wyspę przed zapadnięciem nocy?

Nikt mu nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, nie oczekiwał odpowiedzi. Wiedział dobrze, że *ta* wyspa nigdy nie była dla nich zakazana, a jedynym celem zakazu przebywania na tamtej było doprowadzenie ich do przeznaczanego im tronu. Zamiast odpowiedzi usłyszał krótkie polecenie bogów:

- Milcz.

Jego oczy tak przywykły do przyćmionej miękkości perelandryjskiego dziennego światła, że - zwłaszcza po wędrówce w ciemnych wnętrznościach góry - przestał zupełnie dostrzegać różnicę między nim a oświetleniem na Ziemi. Dlatego doznał wstrząsu, gdy nagle ujrzął, jak szczyty po drugiej stronie doliny rysują się czernią na tle nieba, którego barwa przywodzi wspomnienie ziemskiego świtu. W chwilę później ostre,

wyraźnie nakreślone cienie - długie jak cienie o wczesnym poranku - pojawiły się za każdym zwierzęciem i każdą nierównością gruntu. Każda lilia miała teraz swoją ciemną i jasną stronę. Światło podnosiło się coraz wyżej, aż wreszcie wypełniło całą dolinę. Cienie znowu znikły. Wszystko pogrążyło się w czystym świetle dnia - w świetle, które zdawało się pochodzić z niewiadomego źródła. Odtąd wiedział już, co naprawdę oznaczają wyrażenia, że światłość „spoczęła” na jakiejś świętej rzeczy lub „spowiała” ją, a nie promieniowała z niej samej.

Kiedy światło osiągnęło swą doskonałość i spoczęło jak władca na tronie lub jak wino we wnętrzu czary, napełniając swą czystością całą misę ukwieconej doliny, każdy jej zakątek i każdą szczelinę, pojawiła się świętość, sam Raj w swoich dwu Osobach, Raj kroczący ręką w rękę, dwa ciała jaśniejące w tym świetle jak drogocenne szmaragdy, nie zanadto jednak jasne, aby na nie patrzeć.

Dwie postacie zatrzymały się przez chwilę na przełęczy między dwoma szczytami. Mężczyzna podniósł prawą rękę w królewskim i kapłańskim błogosławieństwie. A potem zeszli w dół i stanęli po drugiej stronie górskiego jeziora.

Wówczas bogowie uklękli i pochyłili swe olbrzymie ciała w pokłonie przed maleńkimi postaciami Króla i Królowej.

Na szczycie góry zapanowała wielka cisza. Ransom również pochylił się kornie przed tą ludzką parą. Kiedy w końcu oderwał wzrok od czterech błogosławionych stóp i lekko uniósł głowę, stwierdził, że mówi, choć głos mu się łamał, a oczy zachodziły mgiełką łez.

- Nie odchodźcie! Nie podnoście mnie z klęczek! Nigdy jeszcze nie widziałem mężczyzny ni kobiety. Całe życie spędziłem wśród cieni i zdruzgotanych wizerunków. Och, mój Ojciec i moja Matko, mój Panie i moja Pani! Nie poruszajcie się, nie odpowiadajcie mi jeszcze. Nigdy nie widziałem swoich własnych rodziców. Przyjmijcie mnie za syna. Tak długo byliśmy samotni w naszym świecie!

Oczy Królowej spoglądały na niego z miłością i uznaniem, ale to nie ona wypełniła bez reszty jego myśli. Trudno było teraz myśleć o czymkolwiek innym niż o Królu. Jakże mam opisać go ja, który go nigdy nie widziałem? Nawet Ransom z trudem opisał jego twarz. Nie chcemy jednak zachowywać prawdy tylko dla siebie. Była to twarz, o której nikt nie może powiedzieć, że jej nie zna.

Jak mógł patrzeć na to oblicze i nie popełniać bałwochwalstwa, nie pomylić go z tym, którego była obrazem? Bo podobieństwo było, na swój szczególny sposób, nieskończone. Chwilami aż zdumiewało, iż czoło nie powleka cień smutku, a na dłoniach i w stopach nie ma ran. A jednak nie istniała obawa pomyłki, chwila wahania, żaden poryw woli ku zakazanej czci. Tam, gdzie podobieństwo było największe, pomyłka była najmniej możliwa.

Być może zawsze tak jest. Zręcznie wykonana figura woskowa może tak bardzo przypominać człowieka, że nawet na moment nas zmyli. Ale nigdy nie zmyli portret namalowany przez wielkiego artystę, chociaż oddaje podobieństwo w o wiele głębszy sposób. Gipsowe wyobrażenia Najświętszego mogły niegdyś budzić uwielbienie, jakie miało być przeznaczone dla Tego, którego wyobrażały. Ale tutaj, gdy Ransom miał przed sobą Jego żywe podobieństwo, zewnętrzne i wewnętrzne, stworzone

Jego własnymi rękami, ten wykwit boskiego arcyzmu, arcydzieło autoportretu, które wyszło z Jego pracowni, aby zachwycić wszystkie światy - tutaj nigdy nie było można pomylić podobizny z oryginałem. Co więcej, całe piękno tej podobizny polegało właśnie na pewności, że jest to kopia - łudzące podobieństwo, a jednak nie tożsamość, raczej echo, rym, doskonały pogłos nie stworzonej muzyki utrwalony w stworzonym medium.

Przez pewien czas Ransom całkowicie pochłaniał nabożny podziw wobec tej realności. Gdy się ocknął, zdał sobie sprawę, że słyszy słowa wypowiedane przez Perelandrę, a to, co usłyszał, wyglądało na zakończenie długiego przemówienia.

- Pływające wyspy i stałe lądy - mówiła Wenus - powietrze i kurtyny u wrót Głębin Niebios, morza i Świętą Górę, rzeki naziemne i rzeki podziemne, ogień, ryby, ptactwo, zwierzęta i inne, nie znane wam jeszcze stworzenia żyjące wśród fal - wszystko to Maleldil składa dzisiaj w wasze ręce, abyście tym władali po kres waszych dni i po kres czasu. Odtąd moje słowo jest niczym, a wasze słowo jest nienaruszalnym prawem i córką samego Głosu. Wy jesteście Ojarsą w kręgu, jaki ten świat zatacza wokół Arbola. Radujcie się swą mocą. Nadajcie imiona wszelkim stworzeniom i prowadźcie wszystkie gatunki do doskonałości. Umacniajcie słabych, oświecajcie ciemnych, miłujcie wszystkich. Cześć wam i pozdrowienie, mężczyzno i kobieto, Ojarso-Perelandri, Adamie, Korono, wy, których imiona są Tor i Tinidril, Baru i Baru'ah, Ask i Embla, Jatsur i Jatsura, wy - umiłowani przez Maleldila. Wieczna Mu chwała!

Kiedy w odpowiedzi przemówił Król, Ransom znowu spojrzał na niego. Ludzka para siedziała teraz na niskim brzegu wystającym nieco ponad krawędź stawu. Światło było tak silne, że na powierzchni wody ich odbicia rysowały się tak wyraziście jak na naszej planecie.

- Składamy ci dzięki, o sprawiedliwa Matko Mleczna - rzekł Król - szczególnie za ten świat, nad którym przez tyle wieków trudziłaś się jako prawica Maleldila, aby wszystko było gotowe na nasze przebudzenie. Nie znaliśmy cię aż do dziś. Często zastanawialiśmy się, czyją to rękę widzimy w długich falach i jasnych wyspach i czyje to tchnienie zachwyca nas w porannym powiewie. Bo chociaż byliśmy wówczas młodzi, pojmovaliśmy mgliście, że prawdą są słowa: „To dzieło Maleldila”, ale nie jest to cała prawda. Ten świat otrzymujemy teraz w darze, a nasza radość jest tym większa, że to dar nie tylko od Niego, ale i od ciebie. Co jednak Maleldil wkłada teraz do twojej głowy? Co masz odtąd czynić?

- To zależy od Ciebie, Torze-Ojarso - odpowiedziała Perelandra. Mogę

powrócić tylko do Głębin Niebios, ale mogę przebywać również i w tej ich części, która dla was jest światem.

- Jest naszym najgłębszym pragnieniem - rzekł Król - byś pozostała z nami, zarówno dlatego, że darzymy cię miłością, jak i dlatego, byś mogła wspierać nas swą radą, a nawet swym działaniem. Jeszcze wiele razy okrążymy Arbola, zanim dorośniemy do pełnej samodzielności władania królestwem, jakie Maleldil złożył w nasze ręce. Nie dojrzeliliśmy jeszcze do tego, by sprowadzić deszcz i czynić piękną pogodę. Jeżeli wydaje ci się to dobre, zostań z nami.

- Jestem rada z zaproszenia - powiedziała Perelandra.

Słuchając tego dialogu Ransom dziwił się, że kontrast między Adamem i eldilami nie jest dysonansem. Po jednej stronie był kryształowy, bezcielesny głos i niezmienny wyraz śnieżnobiałej twarzy; po drugiej - krew krążąca w żyłach, uczucie drżące na wargach i roziskrzone oczy, moc męskich ramion, cud kobiecych piersi, nie znane na Ziemi połączenie męskiej chwały i bogactwa kobiecości, żywy strumień doskonałej zwierzęcości. A jednak w tym spotkaniu pierwsza strona nie wydawała się wcale upiorna, a druga zbyt żywotna lub wręcz wulgarna. *Animal rationale* - zwierzę, lecz również rozumna dusza - taka była, jak pamiętał, starożytna definicja człowieka. Nigdy jednak nie zobaczył tego na własne oczy. Teraz miał przed sobą żyjący Raj, Pana i Panią, ucieleśnienie odzyskanej zgody, most spinający klamrą to, co bez niego tworzyłoby próżnię w stworzeniu, zwornik całego łuku. Wkraczając do tej górskiej dolinki, zjednoczyli nagle ciepłą mnogość zwierząt poza nim z nadcielesnymi inteligencjami u jego boku. Zamknęli koło i od tej pory wszystkie oddzielne tony mocy i piękna stworzyły jedną muzykę.

Lecz oto Król mówił znowu:

- A tak, jak dar ten jest bogatszy dlatego, że nie jest tylko darem Maleldila, lecz darem Maleldila wręczonym przez ciebie, Perelandro, tak nabiera on jeszcze większej wartości, bo pośrednikiem jesteś nie tylko ty, ale i ktoś trzeci. Postępujcie więc pierwszego słowa Tora, Ojarsy-Perelandri: każdego ranka i każdego wieczora, dopóki ten świat pozostanie światem, my i nasze dzieci będziemy mówili do Maleldila o Ransomie, człowieku z Tulkandry, i będziemy go słać między sobą. A tobie, Ransomie, powiem: słusznie uczyniłeś, nazywając nas Panem i Ojcem, Panią i Matką, bo takie jest nasze imię. Lecz w innym sensie to my ciebie nazywamy Panem i Ojcem. Bo oto Maleldil przysłał cię do naszego świata w dniu, w którym dobiegł kresu czas naszej młodości i mogliśmy tylko wlecieć lub spaść,

pogrążyć się w zepsuciu lub w doskonałości. To Maleldil zawiódł nas tam, dokąd zamierzał, lecz pośród Jego narzędzi ty byłeś najważniejszy.

Wezwali go do siebie, a Ransom przeszedł przez staw, sięgający mu zaledwie do kolan. Upadłby do ich stóp, ale mu na to nie pozwolili. Powstali, by go przywitać, i oboje uścisnęli go i ucałowali, usta w usta, serce przy sercu, jak równy z równym. Chcieli, by siadł pomiędzy nimi, kiedy jednak dostrzegli jego zmieszanie, pozwolili mu usiąść na brzegu jeziora, nieco na lewo od nich. Stamtąd objął spojrzeniem całe zgromadzenie - wielkie postacie bogów i ciżbę zwierząt. Wtedy przemówiła Królowa:

- Gdy tylko odwiodłeś ode mnie Złego, ja zaś zbudziłam się ze snu, mój umysł został oczyszczony. To dla mnie istny dziw, łaciaty, że przez te wszystkie dni ty i ja byliśmy tak okropnie młodzi. Powód, dla którego nie wolno nam było zamieszkać na Stałym Łądzie, jest przecież tak oczywisty! Dlaczego miałabym pragnąć żyć właśnie tam, a nie gdzie indziej? Tylko dlatego, że jest łądem *stałym*. A dlaczego pragnęłabym właśnie stałości łądu, jeśli nie dlatego, bym pewnego dnia mogła zdecydować, gdzie mam być nazajutrz i co się ze mną stanie? Byłoby to odrzuceniem fali, wyrwaniem ręki z dłoni Maleldila, powiedzeniem Mu: „Nie tak, ale tak”. Jakbym chciała własną mocą sprowadzić natychmiast to, co czas ma mi przynieść kiedyś... jakbym dziś zbierała owoce na jutrzejszy posiłek, zamiast jeść to, co zostało nam dane. Byłaby to zimna miłość i kruche zawierzenie. I jak zdołalibyśmy ponownie wznieść się do prawdziwej miłości i prawdziwego zawierzenia?

- Rozumiem to - rzekł Ransom - chociaż w moim świecie uznano by to za szaleństwo. Jesteśmy już tak długo we władaniu zła, że... - i urwał, wątpiąc, czy zostanie zrozumiany, a jednocześnie dziwiąc się, że użył słowa „zło”, bo aż dotąd nie wiedział, że je zna i nigdy go jeszcze nie słyszał ani na Marsie, ani na Wenus.

- Teraz już znamy te sprawy - powiedział Król widząc jego wahanie. - Maleldil dał nam poznać, co zdarzyło się w twoim świecie. Poznaliśmy zło, chociaż nie w ten sposób, w jaki Zły pragnął je nam wpoić. Poznaliśmy jednak zło lepiej, bo przecież to przebudzenie pozwala rozumieć sen, a nie sen przebudzenie. Można nie znać zła dlatego, że jest się młodym. Ale istnieje jeszcze większa, ciemniejsza nieznajomość zła, której źródłem jest czynienie zła. Człowiek, który zasypia, przestaje wiedzieć, że śni. Wy, mieszkańcy Tulkandry, mniej znacie zło teraz niż w czasach poprzedzających dzień, w którym wasz Pan i wasza Pani zaczęli je

popętniać. Nas Maleldil wyprowadził z pierwszej postaci nieświadomości, a w drugą nie wstąpiliśmy wcale. A stało się to za przyczyną samego Złego. Jakże mało wiedział ten mroczny umysł o prawdziwym celu, w jakim przybył na Perelandrę!

- Wybacz mi, Ojczy, jeśli powiem głupstwo - rzekł Ransom. - Rozumiem, w jaki sposób zło zostało ukazane Królowej, lecz nie wiem, jak ty je poznałeś.

Niespodziewanie Król wybuchnął śmiechem. Biorąc pod uwagę wielkość jego ciała, ten śmiech przypominał małe trzęsienie ziemi: był głośny, głęboki, długi, aż w końcu Ransom zaczął się również śmiać, chociaż nie wiedział z czego, a potem śmiała się i Królowa. Ptaki zaczęły trzepotać skrzydłami, zwierzęta wymachiwać nogami, światło jakby jeszcze bardziej pojaśniało, szybciej zabiło tętno całego zgromadzenia i wszystkich napełniła zupełnie nowa radość, nie mająca nic wspólnego z naszym rozweseleniem, jakby płynęła wprost z powietrza, albo jakby roztańczyły się Głębiny Niebios. Niektórzy mówią, że taki taniec jest ich normalnym stanem."

- Wiem, o czym on myśli - rzekł wreszcie Król patrząc na Królową. - On myśli, że ty cierpiałaś i walczyłaś, a ja otrzymałem ten świat w nagrodę. I masz słusność - ciągnął zwracając się do Ransoma. - Wiem teraz, co się w twoim świecie sądzi o sprawiedliwości. I być może dobry to osąd, bo w tym świecie wszystko dzieje się zawsze *poniżej* sprawiedliwości. Ale Maleldil zawsze jest *ponad* nią. Wszystko jest darem. To, że zostałem Ojarsą, jest nie tylko darem samego Maleldila, ale i naszej Matki Mlecznej, a przecież nie tylko jej, bo i twoim, a także mojej żony - ba, w pewnym sensie jest to dar złożony mi przez same zwierzęta i ptaki. Dar trafił do mnie za pośrednictwem wielu rąk, wzbogacony po drodze różnymi rodzajami miłości i pracy. Takie jest Prawo. Najlepsze owoce zrywane są dla każdego nie jego rękami.

- Ale to jeszcze nie wszystko, Łaciaty - powiedziała Królowa. - Król nie powiedział ci wszystkiego. Maleldil zawiódł go daleko, na zielone morze, gdzie lasy wyrastają z dna ponad fale...

- To miejsce nazywa się Lur - wtrącił Król.

- To miejsce nazywa się Lur - powtórzyły eldile i Ransom pojął, że Król nie wypowiada zasłyszanej informacji, lecz nadaje nazwę części swego królestwa.

- I tam, w Lur... to bardzo daleko stąd... - mówiła dalej Królowa - przydarzyły mu się dziwne rzeczy.

- Czy wolno o nie zapytać? - odezwał się Ransom.

- Było ich wiele - odparł Król Tor. - Przez wiele godzin uczyłem się właściwości kształtów, kreśląc linie na darni pokrywającej wysepkę, po której błądziłem. Przez wiele godzin dowiadywałem się nowych rzeczy o Maleldilu i o Jego Ojcu, i o Trzecim. Kiedy byliśmy młodzi, niewiele o tym wiedzieliśmy. A potem pokazał mi w ciemności, co dzieje się z Królową, i zrozumiałem, że ona może ulec podszeptom Złego. Potem ujrzałem, co stało się z twoim światem, jak wasza Matka upadła i jak wasz Ojciec poszedł za nią, przez co pogrążył ją jeszcze bardziej, a na wszystkie swoje dzieci sprowadził ciemność. A potem ujrzałem przed sobą... tak jakby coś zbliżało się do mojej ręki... poznałem, co powinienem uczynić, gdyby się tak stało... Poznałem zło i dobro, ból i radość.

Ransom oczekiwał, że Król opowie o swojej decyzji, ale gdy jego głos zamarł w pełnej zadumy ciszy, nie śmiał zadać pytania.

- Tak... - powiedział wreszcie Król w głębokim zamyśleniu. - Człowiek może być rozdarty na dwoje... jedna jego część obróci się w proch... lecz ta druga, żywa, musi wciąż podążać za Maleldilem. Bo gdyby i ona upadła, gdyby i ona stała się prochem, czyż byłaby jakaś nadzieja dla całości?... Dopóki żyje jedna połowa, On może dzięki niej przywrócić życie drugiej.

Znowu zamilkł, tym razem na dłużej, a potem ponownie przemówił, tym razem nieco szybciej.

- Nie dał mi pewności. Żadnego stałego lądu. Zawsze trzeba rzucać się w falę.

Nagle rozpogodził czoło i zwrócił się do eldilów zupełnie innym tonem.

- Z pewnością, Matko Mleczna. Bardzo nam potrzeba rady, bo już czujemy, że rośnie w naszych ciałach coś, z czym nasza młoda wiedza nie może sobie poradzić. Nie zawsze będą ciałami przywiązanymi do niższych światów. Posłuchajcie drugiego, słowa, które wypowiadam jako Tor-Ojarsa-Perelandri. Podczas gdy ten świat okrąży Arbol dziesięć tysięcy razy, będziemy sądzić i podnosić na duchu nasz lud z tego tronu. Zwie się on Tai Harendrimar, Wzgórze Życia.

- Zwie się on Tai Harendrimar - powtórzyły eldile.

- Na zakazanym niegdyś Łądzie Stałym - ciągnął Król Tor - uczynimy miejsce chwały Maleldila. Nasi synowie zegną skalne filary w łuki...

- Co to są łuki? - zapytała Królowa Tinidril.

- Łuki - odrzekł Król Tor - powstają wówczas, gdy filary kamienne wypuszczają gałęzie jak drzewa i splatają się tymi gałęziami, aby dźwignąć wielką kopułę jakby listowia, ale i liście będą wykute z kamienia. I synowie

nasi uczynią tam wizerunki...

- Co to są wizerunki? - zapytała Tinidril.

- Na Głębin Niebios! - zawołał Król wybuchając śmiechem. - Wygląda na to, że w powietrzu jest za dużo nowych słów. Myślałem, że te rzeczy przepływają do mnie z twoich myśli, a tymczasem okazuje się, że w ogóle o nich nie myślałaś! A jednak sądzę, że Maleldil przekazuje mi je poprzez ciebie. Pokażę ci wizerunki, pokażę ci domy. Być może pod tym względem nasze natury są swoim przeciwieństwem i to ty zapładniasz, a ja będę rodzić. Pomówmy jednak o mniej zawiłych sprawach. Napełnimy ten świat naszymi dziećmi. Poznamy ten świat aż do jego rdzenia. Uczynimy szlachetniejsze ze zwierząt tak mądrymi, że staną się *hnau* i przemówią. Ich życie obudzi się na nowo w nas, tak jak my obudziliśmy się w Maleldilu. Kiedy czas dojrzeje i dziesięć tysięcy obrotów będzie dobiegać kresu, rozedrzemy kurtynę nieba, a Głębin Niebios staną się znajome oczom naszych synów, tak jak drzewa i fale znane są oczom naszym.

- A co będzie później, Torze-Ojarso? - zapytał Malakandra.

- Później zamiarem Maleldila jest udzielenie nam pełnej swobody w Głębinach Niebios. Nasze ciała ulegną przemianie, choć nie wszystko się zmieni. Będziemy jak eldile, ale niezupełnie jak eldile. I tak będą się zmieniać wszyscy nasi synowie i wszystkie córki, gdy nadejdzie ich czas dojrzwania, aż wypełni się liczba, którą Maleldil wyczytał w umyśle swojego Ojca, zanim wytrysnął czas.

- I wówczas nastąpi koniec? - zapytał Ransom.

- Koniec? - Król spojrział na niego ze zdumieniem. - Kto mówi o końcu?

- Koniec waszego świata - rzekł Ransom.

- Na Głębin Niebios! - zawołał Tor. - Twoje myśli nie są podobne do naszych. W czasie, o którym mówię, będziemy niedaleko początku wszechrzeczy. Ale zanim nastąpi prawdziwy początek, trzeba będzie rozstrzygnąć jedną sprawę.

- Jaką? - zapytał Ransom.

- Sprawę twojego świata, Tulkandry. Zanim nastąpi początek, trzeba będzie przerwać obłączenie i zmasać czarną plamę. W tym czasie Maleldil stoczy bój - w nas i w wielu, którzy byli kiedyś *hnau* w twoim świecie, i w innych przybyłych z daleka, i w wielu eldilach. A na koniec we własnej, nieutajonej postaci zstąpi na Tulkandrę. Niektórzy z nas będą tam przed Nim. Słyszę, Malakandro, że ty i ja będziemy wśród nich. Spadniemy na wasz Księżyc, siedzibę tajemnego zła, tarczę Ciemnego Pana Tulkandry, poszczerbioną od wielu uderzeń. Skruszymy Księżyc, a jego szczątki

spadną na wasz świat. Z oceanów powstanie dym, który zaćmi światło Arbola. A kiedy sam Maleldil będzie już blisko, zło zrzuci maskę i ukaże się, nagie i ohydne w każdej ze swych postaci, tak że klęski i potworności okryją wasze lądy i morza jak płaszcz. Lecz w końcu nastąpi powszechne oczyszczenie i nawet wspomnienie o waszym Czarnym Ojarsie zostanie wymazane z pamięci. Wasz świat napełni się pięknem i czarem. Znowu połączy się z całym Polem Arbola i odzyska swe prawdziwe imię. Ale czy to możliwe, przyjacielu, by na Tulkandrę nie dotarły pogłoski o tych wydarzeniach? Czyżby twoi bracia myśleli, że Ciemny Władca na zawsze utrzyma swoją zdobycz?

- Większość z nich - odparł Ransom - przestała w ogóle myśleć o tych sprawach. Niektórzy zachowują wciąż prawdziwą wiedzę, ale i ja nie zrozumiałem od razu, o czym mówisz, bo to, co nazwałeś Początkiem, my zwykliśmy nazywać Końcem Świata.

- Nie nazywam tego początkiem - rzekł Król Tor. - To, o czym mówię, jest jakby wymazaniem błędnego początku, by świat mógł się *potem zacząć* naprawdę. To tak jak z człowiekiem, który ułoży się do snu i po jakimś czasie poczuje pod łopatką skręcony korzeń; zmienia więc miejsce i dopiero wówczas zapada w prawdziwy sen. Albo jak z człowiekiem, który stawiając stopę na jakiejś wyspie, zrobi fałszywy krok, zachwieje się, a nawet upadnie. Potem podnosi się, odzyskuje równowagę i zaczyna swą wędrówkę. Czy odzyskanie równowagi nazwałbyś końcem?

- I sądzisz, że cała historia mojego rodzaju to tylko pierwszy fałszywy krok - i nic więcej?

- Dla mnie historia wszystkich Dolnych Światów to dopiero początek, a dzieje twojego świata to początek nieudany. Mówisz o wieczorze, zanim zaświta dzień! Dziś rozpoczynam dopiero przygotowania do początku, zamierzone na dziesięć tysięcy lat, ja, pierwszy z mojego rodzaju, który jest rodzajem pierwszym. Powiadam ci, że kiedy ostatnie z moich dzieci dojrzeją, a dojrzałość ich rozprzestrzeni się na wszystkie Dolne Światy, dopiero wówczas rozlegną się szepty o bliskości poranka!

- Pełen jestem wątpliwości i niewiedzy - powiedział Ransom. - W naszym świecie ci, którzy znają Maleldila, wierzą, że Jego przyjście na Ziemię w ciele człowieka jest centralnym wydarzeniem wszystkich dziejów. Jeśli zabierzesz mi tę wiarę, Ojczy, dokąd mnie zawiedziesz? Chyba nie chcesz, bym uwierzył słowom Przeciwnika, które spychają mój świat i mój rodzaj w daleki zakątek i w zamian dają mi wszechświat bez żadnego centrum, miliony światów, które pędzą donikąd, albo, co jeszcze gorsze, ku

wiecznie rosnącej wielości nowych światów? To Przeciwnik przyszedł do mnie z liczbami nieskończonymi, pustymi przestrzeniami, nieustannymi powrotami. Żądał, bym ukorzył się przed wielkością rozmiarów i liczb. A może uważasz, że centrum stanowi twój świat? Mam wątpliwości. A co z mieszkańcami Malakandry? Czy oni też uważają, że to ich świat jest centrum? Wyznam ci, że nie pojmuję nawet, dlaczego Perelandra miałaby należeć do ciebie. Tyś został stworzony zaledwie wczoraj, a ona istnieje od wieków. W większości składa się z wód, w których nie możesz zamieszkać. A krainy ukryte pod jej skorupą? A te bezkresne przestrzenie, gdzie w ogóle nie ma planet? Czy sądzisz, że naprawdę łatwo odpowiedzieć Przeciwnikowi, gdy mówi, iż nie istnieje żaden plan, a wszystko pozbawione jest znaczenia? Ilekroć wydaje się nam, że odkryliśmy jakiś plan, natychmiast rozplywa się w nicość lub w inny plan, o którym nigdy nam się nie śniło. To, co było centrum, staje się obrzeżem, a w końcu zaczynamy wątpić, czy jakikolwiek kształt, plan czy wzór jest czymś więcej, jak tylko złudzeniem naszych oczu, uwiedzionych próżną nadzieją lub zmęczonych zbyt długim patrzeniem. Ku czemu to wszystko zmierza? Czym jest ów poranek, o którym mówisz? Czego będzie początkiem?

- Początkiem Wielkiej Gry, Wielkiego Tańca - odparł Tor. - Ale niewiele jeszcze o tym wiem. Niech przemówią eldile.

Głos, który zabrzmiał w następnej chwili, wydawał się głosem Marsa, ale Ransom nie był tego do końca pewien. A po nim przemówił ktoś, kogo zupełnie nie znał. Chociaż wierzył, że w rozmowie, która się rozpoczęła - jeśli to można nazwać rozmową - i on sam brał czynny udział, nigdy nie wiedział, które słowa należą do niego, a które do eldilów; nie wiedział nawet, czy w danej chwili przemawia człowiek czy eldil. Zdawało mu się, że głosy rozbrzmiewają kolejno, ale i tego nie był pewny, bo wrażenie, jakie zapamiętał, przypominało raczej muzykę wykonywaną przez kwintet lub szum pięciu drzew stojących razem na wzgórzu.

- Nie można o tym mówić w ten sposób - mówił pierwszy z głosów. - Wielki Taniec nie czeka, aż mieszkańcy Dolnych Światów zbiorą się, aby wziąć w nim udział. Nie można mówić o jego początku, gdyż trwa i trwa zawsze. Nie istniał czas, w którym byśmy się nie weselili przed Jego obliczem. Taniec, w którym bierzemy udział, jest w centrum i dla niego wszystko zostało stworzone. Chwała Maleldilowi!

A inny głos mówił:

- On nigdy nie uczynił tego samego dwukrotnie. Nigdy nie wypowiedział ponownie tego samego słowa. Po planetach nie przyszły doskonalsze

planety, lecz zwierzęta, po zwierzętach nie doskonalsze zwierzęta, lecz duchy. Po upadku - nie uzdrowienie, lecz nowe stworzenie. A z nowego stworzenia - nie trzecie stworzenie, ale sam rodzaj przemiany zostanie zmieniony. Chwała Maleldilowi!

A inny głos mówi:

- Ten łańcuch przemian jest brzemienno sprawiedliwością, jak drzewo uginające się pod ciężarem owoców. Wszystko jest słuszne, lecz nie ma równości. Jego Porządek nie polega na tym, że takie same kamienie leżą obok siebie, lecz raczej na tym, że kamienie podtrzymują łuk i same są podtrzymywane. Władanie i posłuszeństwo, zapładnianie i rodzenie. Żar ześlizguje się w dół, życie wystrzela w górę. Chwała Maleldilowi!

- Ci, którzy w nedorzecznym sumowaniu dodają lata do lat, mile do mil, galaktyki do galaktyk, nie zbliżają się do Jego wielkości. Dni Pola Arbola dobiegną kresu i nawet dni Głębin Niebios są już policzone. Nie na tym polega Jego wielkość. Przebywa - cały i niepodzielny - w nasionku najmniejszego kwiatka i wcale Go to nie ogranicza. Głębin Niebios mieszczą się w Nim, który przebywa w ziarenku, lecz nie przerastają Go. Chwała Maleldilowi!

- Krawędź każdej natury graniczy z czymś, co nie jest jej cieniem lub podobieństwem. Z wielu punktów - jedna linia, z wielu linii - jeden kształt, z wielu kształtów - jedno zwarte ciało, z wielu odczuć i myśli - jedna osoba, z trzech Osób - On sam. Czym okrąg dla kuli, tym starożytne światy, które nie potrzebowały odkupienia, dla świata, w którym On się narodził i umarł. Czym punkt dla linii, tym ten świat dla odległych owoców Jego odkupienia. Chwała Maleldilowi!

- A przecież koło nie jest mniej okrągłe niż kula, a kula jest domem i ojczyzną kół. W każdej kuli zawiera się nieskończona mnogość kół i gdyby mogły przemówić, powiedziałyby: „Kule dla nas zostały stworzone”. Niech żadne usta nie otworzą się, by im zaprzeczyć. Chwała Maleldilowi!

- Mieszkańcy starożytnych światów nigdy nie zgrzeszyli i nigdy nie zstąpił do nich Maleldil, a przecież to dla nich stworzono Dolne Światy. Bo chociaż leczenie tego, co zostało zranione, i prostowanie tego, co zostało skrzywione, jest nowym wymiarem chwały, to jednak to, co proste, nie zostało uczynione po to, aby mogło być skrzywione, ani zdrowe po to, by mogło być zranione. Mieszkańcy starożytnych światów są centrum. Chwała Maleldilowi!

- Wszystko, co samo nie jest Wielkim Tańcem, zostało stworzone po to, by On mógł ku temu zstąpić. W upadłym świecie przygotował dla siebie

ciało, zjednoczył się z prochem i uczynił go chwalebny na wieki. Taki jest kres i ostateczna przyczyna wszelkiego stworzenia i dlatego grzech, z którego to przyszło, zwany jest błogosławionym, a świat, w którym to się stało, jest centrum. Chwała Maleldilowi!

- Drzewo zostało zasadzone w tamtym świecie, lecz owoc dojrzał w tym. Źródło, które trysnęło mieszaniną krwi i życia w Ciemnym Świecie, tu płynie samym życiem. Przebyliśmy pierwsze progi skalne, odtąd strumień nabiera głębi i zwraca się w kierunku morza. Oto Gwiazda Zaranna, przyobiecana przez Niego tym, którzy zwyciężą - oto centrum światów. Aż dotąd trwało oczekiwanie, lecz teraz trąba zagrziała i wojska ruszyły w pochód. Chwała Maleldilowi!

- Chociaż światami rządzą ludzie i aniołowie, to światy są stworzone dla nich samych. Wody, po których nie pływaliscie, owoce, których nie zerwaliście, jaskinie, do których nie zstąpiliście, ogień, którego wasze ciała nie mogą przebyć - wszystko to nie czeka na wasze przyjście, aby osiągnąć doskonałość, chociaż będzie wam posłuszne, gdy przybędziecie. Niezliczoną ilość razy okrążyłem Arbol, zanim Maleldil powołał was do życia, a przecież czasy te nie były martwą pustynią śniącą o dniu waszego przebudzenia. Przemawiały własnym głosem i były również w centrum wszechrzeczy. Nie traćcie otuchy, mali nieśmiertelnicy! Nie jesteście głosem, którym przemawia wszystko, co stworzone, nie ma też wiecznej ciszy tam, dokąd nie możecie zawędrować. Żadna stopa nie tknęła i nie tknie lodów Glundu, a Żelazna Równina Neruwalu jest dziewicza i pusta. Lecz nie bez celu bogowie krążą nieustannie po Polu Arbola. Chwała Maleldilowi!

- W centrum wszechrzeczy jest Pył rozproszony po niebiosach, z którego zrobione są wszystkie światy i wszystkie ciała, co światami nie są. Nie czeka on, aż ujrzą go stworzone oczy lub dotkną stworzone dłonie, lecz sam w sobie jest siłą i chwałą Maleldila. Jedynie drobna jego cząstka służy lub służyć będzie zwierzętom, ludziom czy bogom. Lecz zawsze i wszędzie, przed ich przyjściem i po ich odejściu, tam, dokąd nigdy nie trafią, poza wszelkimi wyobraźnymi odległościami Pył pozostaje tym, czym jest i własnym głosem opiewa chwałę Najwyższego. Jest Mu najdalszy ze wszystkich rzeczy, bo nie ma życia, uczucia, rozumu - jest Mu jednak najbliższy, bo bez pośrednictwa duszy ulatuje z niego jak iskry z ogniska i każdym swoim ziarenkiem przemawia czysty obraz Jego energii. Każde ziarenko, gdyby przemówiło, powiedziałoby: „Ja jestem w centrum! Dla mnie wszystko zostało stworzone”. Niech żadne usta nie otworzą się, by

mu zaprzeczyć. Chwała Maleldilowi!

- Każde ziarenko jest w centrum. Pył sam jest centrum. Światy są w centrum. Zwierzęta są w centrum. I mieszkańcy starych światów. I rodzaj, który zgrzeszył. Tor i Tinidril. Bogowie są tam również. Chwała Maleldilowi!

- Centrum jest tam, gdzie Maleldil. On jest w każdym miejscu. Nie jakaś Jego część w jednym miejscu, a inna w drugim, lecz w każdym miejscu cały i niepodzielny Maleldil, nawet w drobinie niemożliwej do wyobrażenia. Nie ma innego wyjścia z centrum prócz Skrzywionej Woli, która wiedzie donikąd. Chwała Maleldilowi!

- Wszystko zostało stworzone dla Niego. On jest centrum. A ponieważ z Nim jesteśmy, każdy z nas jest w centrum. To nie tak, jak w mieście Ciemnego Świata, gdzie mówią, że każdy musi żyć dla wszystkich. W Jego mieście wszyscy zostali stworzeni dla każdego. Kiedy On umarł w Zranionym Świecie, umarł nie dla ludzi, lecz dla każdego człowieka. Gdyby istniał wówczas tylko jeden człowiek, Maleldil postąpiłby tak samo. Każda rzecz, od pojedynczej drobinie Pyłu do najpotężniejszego eldila, jest końcem i ostateczną przyczyną całego stworzenia, zwierciadłem, na które pada promień Jego chwały, aby do Niego powrócić. Chwała Mu, chwała na wieki!

- W planie Wielkiego Tańca splatają się niezliczone plany. Każdy ruch, gdy nadejdzie jego pora, staje się impulsem powodującym spełnianie celu, ku któremu skierowane są wszystkie pozostałe. Tak więc każdy jest w równej mierze w centrum, lecz nie dlatego, że jest równy innym; jeden ustępuje miejsca, inny je otrzymuje, małe rzeczy są tam dzięki swej małości, wielkie dzięki swej wielkości, a wszystkie wzory powiązane są i splecione razem więzami ukorzenia się przed berłem miłości. Chwała Maleldilowi!

- Każda rzecz, którą stworzył, jest Mu bezgranicznie potrzebna, aby Jego miłość i chwała mogły rozlewać się niby potężna rzeka, potrzebująca koryta i wypełniająca jednakowo głębokie rozpadliny i najmniejsze szczeliny. Wypełnione są jednak, lecz nie są sobie równe, a gdy rzeka wypełni je po brzegi, rozlewa się dalej i tworzy nowe kanały. My również niezmiernie potrzebujemy wszystkiego, co On stworzył. Kochajcie mnie, bracia, bo jestem wam nieskończenie potrzebny i zostałem stworzony, by nieść wam radość. Chwała Maleldilowi!

- On nie potrzebuje niczego, co zostało stworzone. Eldil nie jest Mu potrzebny bardziej niż drobina Pyłu. Zaludniony świat nie jest Mu potrzebny bardziej niż świat zupełnie pusty. Wszystko jest Mu zbyteczne w równym stopniu,

bo niczego Mu nie przydaje. My także nie potrzebujemy niczego, co zostało stworzone! Kochajcie mnie, moi bracia, bo jestem wam nieskończenie zbyt, a wasza miłość będzie jak Jego miłość - zrodzona nie z waszej potrzeby ani z mojej zasługi, lecz z najczystszej, bezinteresownej szczodrości. Chwała Mu, chwała na wieki!

- Wszystko jest stworzone przez Niego i dla Niego. On stwarza siebie samego dla własnej radości i widzi, że jest dobry. On zapładnia sam siebie, a co rodzi się z Niego, jest Nim samym. Chwała Maleldilowi!

- Wszystko, co zostało stworzone, wydaje się bezcelowe umysłem ciemnym, ponieważ we wszystkim jest więcej celów, niż mogą one dostrzec. W morzach są wyspy, gdzie włosy darni zostały tak cudownie i ściśle utkane, że jeśli się nie umie patrzeć, nie zobaczy się ani włosów, ani sposobu, w jaki są misternie splecione, tylko jednostajną, płaską powierzchnię. Tak właśnie jest z Wielkim Tańcem. Niech twoje oczy spoczną na jednym tylko ruchu, a on poprowadzi cię przez wszystkie wzory i wyda ci się ruchem najważniejszym, rządzącym wszystkimi innymi. Lecz to złudzenie będzie prawdą. Niech żadne usta nie otworzą się, by temu zaprzeczyć. Wydaje się, że nie ma planu, bo wszystko jest planem. Wydaje się, że nie ma centrum, bo wszystko jest centrum. Chwała Maleldilowi!

- Ale złudzenie to jest także końcem i ostateczną przyczyną, dla której wywiódł On czas i rozpostarł Głębiny Niebios. Gdybyśmy bowiem nigdy nie napotkali ciemności ani drogi prowadzącej donikąd, ani pytania, na które niepodobna sobie wyobrazić odpowiedzi, to umysł nasz nie potrafiłby nigdy stworzyć sobie obrazu Otchłani Ojca. Bo jeśli istota stworzona wrzuci swe myśli do tej Otchłani, nigdy, przenigdy myślom tym nie odpowie żadne echo. Chwała Mu! Chwała! Chwała! Chwała!

Ransom nie zauważył, kiedy i jak dokonana się przemiana, lecz nagle wydało mu się, że to, co rozpoczęło się jako mowa, zmieniło się w wizję albo w coś, co można zapamiętać tylko tak, jakby się to widziało. Wydało mu się, że widzi Wielki Taniec utkany z falowania wielu sznurów czy wstęg światła, przeskakujących przez siebie i pod sobą, nieustannie splatających się w jakieś delikatne wzory przypominające kwiaty lub arabeski. Każdy wzór, na jaki spojrzał, stawał się kluczem lub ośrodkiem całego spektaklu, za pomocą którego można było wyodrębnić i ułożyć w całość inne elementy, ale gdy tylko wzrok spoczął na czymś, co uprzednio zdawało się marginesową dekoracją, odkrywało się i tu taką samą hegemonię. A jednak ów poprzedni, dawniej kluczowy wzór nie tracił nic na tym odkryciu, lecz w swym nowym podporządkowaniu ukazywał znaczenie większe niż

to, które mu zostało odjęte.

Widział również (ale tutaj słowo „widzieć” jest już zdecydowanie nieadekwatne), jak w miejscach zetknięcia się owych wstęg czy spirali światła zapalały się na moment iskierki jasności. W jakiś sposób wiedział, że te mikroskopijne cząsteczki są powtarzającymi się zjawiskami, o których mówi historia: ludami, instytucjami, klimatami opinii publicznej, cywilizacjami, nurtami sztuki i nauki i tym podobnymi efemerycznymi błyskami, które wygwizdują swą krótką pieśń i giną. Same wstęgi lub sznury, w których żyły i ginęły miliony owych cząsteczek, były czymś innym i z początku nie potrafił pojąć czym. W końcu poznał jednak, że większość z nich to indywidualne jednostki. Wynikało z tego, że czas, w jakim odbywał się Wielki Taniec, różni się znacznie od naszego czasu. Niektóre cieńsze i delikatniejsze włókna były rzeczywistościami uważanymi przez nas za krótkotrwałe; widział więc różne kwiaty i owady, jakiś owoc, gwałtowny deszcz, a raz (jak sądził) falę morską. Inne wstęgi były rzeczywistościami, które i my uważamy za długowieczne: kryształami, rzekami, górami, a nawet gwiazdami. Wysoko nad nimi, w pasie jasności, rozbłyskując barwami nie znanymi naszej tęczy, były linie osobowych bytów, tak różniące się między sobą, jak wszystkie razem różniły się od poprzedniej kategorii. Ale nie wszystkie włókna były tu osobami, niektóre były uniwersalnymi prawdami lub wartościami. Wówczas nie był wcale zaskoczony, że zarówno one, jak i osoby są podobnymi świetlistymi wstęgami, tak różnymi od owych atomów zbiorowości, które żyły i umierały w zwarciu się ich strumieni, ale gdy wrócił na Ziemię, dziwił się temu bardzo.

Lecz teraz Taniec musiał już wyjść poza granice wizualności, przynajmniej w ludzkim pojęciu, bo Ransom opowiada, że cała ta monstrualna konfiguracja zakochanych w sobie i ożywiających się wzajemnie kręgów ujawniła się jako zaledwie powierzchnia o wiele bardziej rozległego, czterowymiarowego wzoru, a ten znów jako granica jeszcze innych światów, aż nagle, gdy ruch stał się jeszcze szybszy, splatanie jeszcze bardziej ekstatyczne, związek wszystkiego z wszystkim jeszcze bardziej ścisły, gdy wymiar zaczął rodzić wymiar, i ta część percepcji Ransoma, która posługiwała się rozumem i pamięcią, zaczęła być spychana coraz dalej kosztem tej, która tam, w samym zenicie złożoności, mogła jeszcze widzieć - wówczas złożoność została pochłonięta i rozplynęła się, jak zwiewna biała chmurka rozplywa się w agresywnym błękiecie nieba, i oto prostota ponad wszelkie wyobrażenie, prastara i

zarazem młoda jak wiosna, bezgraniczna i oczywista, pociągnęła go sznurami nieskończonej tęsknoty w swój własny bezruch. Wszedł w taki spokój, w takie zacisze i taką świeżość, że w tym samym momencie, w którym znajdował się najdalej od naszego zwykłego sposobu istnienia, odczuł, jak odrywa się od czegoś, budzi z transu i wraca do siebie. Z westchnieniem ulgi rozejrzał się wokół siebie...

Zwierzęta znikły. Dwie białe postacie znikły. W zwykłym, łagodnym świetle perelandryjskiego poranka dostrzegł tylko Tora i Tinidril.

- Gdzie są zwierzęta? - zapytał.

- Odeszły, by zająć się swoimi małymi sprawami - odparła Tinidril. - Odeszły, by zrodzić małe, złożyć jajka, zbudować gniazda, utkać swe sieci i wykopać nory. Odeszły, by śpiewać, bawić się, jeść i pić.

- Długo tu nie wytrzymały - zauważył Ransom - bo czuję, że wciąż jest wczesny ranek.

- Ale nie ten sam ranek - powiedział Tor.

- A więc jesteśmy tu długo?

- Tak. Sam tego do tej chwili nie wiedziałem. Od chwili naszego spotkania opisaliśmy pełny krąg wokół Arbola.

- Rok?! - zawołał Ransom. - Cały rok? Wielkie nieba! Co mogło się w tym czasie wydarzyć w moim ciemnym świecie! Czy wiedziałeś, Ojczy, że mija tyle czasu?

- Nie czułem, gdy mijał - odrzekł Tor. - Myślę, że odtąd fale czasu będą się dla nas często zmieniać. Będzie zależało od naszej woli, czy wzniesiemy się ponad nie, by ujrzeć wiele fal naraz, czy też poddamy się jednej, jak dotąd.

- Przychodzi mi do głowy - powiedziała Tinidril - że dzisiaj, skoro ten rok przywiódł nas znowu do tego samego miejsca w niebiosach, przyjdą eldile, by zabrać Łaciatego do jego świata.

- Masz słuszność, Tinidril - rzekł Tor. Potem spojrzał na Ransoma i dodał: - Z twojej stopy sączy się czerwona rosa.

Ransom zobaczył, że rana w pięcie wciąż krwawi.

- Tak - powiedział. - W to miejsce ugryzł mnie Zły. Ta czerwona rosa to *hru*.

- Usiądź, przyjacielu - rzekł Tor - Pozwól, że umyję ci stopy w tym jeziorze.

Ransom zawahał się, ale Król był stanowczy. Usiadł więc na niskim brzegu, a Król ukląkł przed nim w płytkiej wodzie i ujął zranioną stopę w swe ręce.

- A więc to jest *hru* - powiedział po chwili milczenia. - Nigdy jeszcze nie widziałem tej cieczy. A więc to jest substancja, którą Maleldil odmienił światy, zanim jeszcze pierwszy z nich został stworzony.

Mył stopę długo, ale krwawienie nie ustępowało.

- Czy to znaczy, że Łaciaty umrze? - zapytała w końcu Tinidril.

- Nie sądzę - odparł Tor. - Myślę, że każda istota jego rodzaju, która oddychałaby powietrzem, jakim on oddychał, i piła taką wodę, jaką on pił od czasu, gdy przybył na Świętą Górę, przekonałaby się, że niełatwo jej umrzeć. Powiedz mi, przyjacielu, czy po utracie Raju ludzie nie nauczyli się umierać zbyt szybko?

- Słyszałem, że pierwsze pokolenia były bardzo długowieczne, ale dziś większość ludzi uważa, że to legenda lub poezja. Nie zastanawiałem się nad tym.

- O! - zawołała nagle Tinidril. - Eldile idą po niego!

Ransom rozejrzał się i zobaczył już nie białe ludzkie postacie, w jakich oglądał ostatnio Marsa i Wenus, lecz prawie niewidoczne światła. Król i Królowa rozpoznali w nich duchy tak łatwo, jak ziemski monarcha poznaje swoich dworzan nawet wówczas, gdy nie są w stroju dworskim.

Król uwolnił stopę Ransoma i wszyscy troje poszli w kierunku białej skrzyni. Pokrywa leżała obok na ziemi. Wszyscy poczuli pragnienie opóźnienia rozstania.

- Jak się nazywa to, co teraz czujemy, Torze? - zapytała Tinidril.

- Nie wiem - odrzekł Król. - Kiedyś nadam temu nazwę. To nie jest dzień na wymyślanie nazw i imion.

- To mi przypomina owoc w bardzo grubej łupinie - powiedziała. - Radość z ponownego spotkania w Wielkim Tańcu jest jego słodkim mięszem. Ale skorupa jest gruba... gruba na tyle lat, że nie mogę policzyć.

- Widzisz teraz - rzekł Tor - co chciał z nami uczynić Zły. Gdybyśmy go posłuchali, próbowalibyśmy teraz dobrać się do owej słodyczy nie rozgryzając skorupy.

- I w ogóle nie byłoby „tej słodyczy” - dodała.

- Nadszedł czas jego odejścia - zabrzmiał głos eldila.

Ransom, gdy już ułożył się w skrzyni, nie znalazł słów, które mógłby wypowiedzieć. Jej boki wyrastały w górę jak ściany, a nad nimi, obramowane długim otworem trumiennym, ujrzał złote niebo i twarze Tora i Tinidril.

- Musicie zakryć mi oczy - rzekł wreszcie.

Dwie postacie zniknęły na chwilę, a kiedy się znowu pojawiły, każde miało w ramionach pęki czerwonych lili. Schylili się i ucałowali go. Król uniósł rękę w błogosławieństwie. Była to ostatnia rzecz, jaką widział w tym świecie. Obsypali mu twarz chłodnymi płatkami, aż oślepl wśród czerwonego, słodko pachnącego obłoku.

- Czy wszystko gotowe? - rozległ się głos Króla. - Żegnaj, przyjacielu i zbawco! - odezwały się dwa głosy. - Żegnaj do chwili, kiedy wszyscy troje opuścimy wymiary czasu. Mów o nas zawsze Maleldilowi, jak my zawsze mówimy Mu o tobie. Niech moc, miłość i chwała będą z tobą.

Rozległ się głośny, ciężki odgłos, z jakim wieko spoczęło na trumnie. Przez kilka sekund słyszał jeszcze dźwięki ze świata, z którym rozstawał się na zawsze. Potem stracił świadomość.